opusdei.org

Ernesto Cofiño. Szkic biograficzny człowieka z Opus Dei 1899-1991

Publikujemy biografię Ernesto Cofiño autorstwa José Luisa Cofiño, syna Ernesto. Książka składa się z siedemnastu listów José Luisa skierowanych do jego dzieci i opowiadających o ich dziadku.

01-03-2022

Podajemy elektroniczną wersję książki, która za jakiś czas pojawi się

drukiem. Zachęcamy do przeczytania na samym początku **Postscritpum mamy.**

Spis treści. Zanim rozpocznę - Rozdział I - Rozdział II - Rozdział III - Rozdział IV - Rozdział V - Rozdział VI - Rozdział VII - Rozdział VIII - Rozdział IX - Rozdział X - Rozdział XI - Rozdział XII - Rozdział XIII - Rozdział XIV - Rozdział XV - Rozdział XVI - Rozdział XVII - Postscritpum mamy

Zanim rozpocznę

6 października 2002 r.

Pomysł tej książki zrodził się w 1995 roku, kiedy hiszpański dziennikarz, José Miguel Cejas, przeprowadził ze mną wywiad dla telewizji na temat postaci mojego taty, Ernesta Cofiño, który zmarł cztery lata wcześniej.

– Czy nie myślał pan nigdy o napisaniu książki ze wspomnieniami? – zapytał, kiedy skończyliśmy.

– Bardzo często! – powiedziałem. – Potrzebuję jednak, by ktoś mi pomógł.

Wtedy wszystko się zaczęło. Rozmawialiśmy o ewentualnym projekcie współpracy, niczego nie konkretyzując, aż trzy lata później Cejas przybył ponownie do Gwatemali i ustanowiliśmy plan pracy. Miałem napisać do moich dzieci kilka listów na temat dziadka, a dziennikarz miał im nadać formę literacką.

Przez kolejne lata – 1999, 2000, 2001, 2002 – pracowaliśmy nad tym projektem. Nasze e-maile krążyły przez Atlantyk w jedną i w drugą stronę. I tak, przy pomocy poczty elektronicznej, narodziła się książka, którą czytelnik ma przed sobą.

Najpierw wyjaśnienie. Jestem wykładowcą uniwersyteckim w dziedzinie nauk ścisłych, a nie historykiem. Nie zamierzałem pisać studium historycznego. Pozostawiam to zadanie specjalistom. Te stronice to tylko rodzinne listy, które zawierają takie wspomnienia i anegdoty, jakie opowiada się w domowym zaciszu. Dlatego nie zdziwiłoby mnie, gdyby – mimo mojego wysiłku, aby porównywać dane – znalazły się tu rozbieżne daty tych samych wydarzeń albo pomylone nazwiska. W takim przypadku proszę czytelnika o wyrozumiałość.

Drogi Boże są nieprzewidywalne. Przeczuwałem, że początek nowego tysiąclecia okaże się pasjonujący, ale… jakże daleki byłem od myślenia o tym, co się wydarzy! Nigdy nie wyobrażałem sobie, że podczas opracowywania tej książki zostanie rozpoczęta sprawa kanonizacyjna

mojego ojca, że będę mógł uczestniczyć w związanych z tym ceremoniach i że kiedy przygotowywaliśmy te stronice, by przekazać je czytelnikowi, Kościół kanonizuje Josemaríę Escrivę, założyciela Opus Dei.

Z tej przyczyny datowałem ten prolog na ów historyczny i niezapomniany dzień 6 października 2002 roku – przeddzień uroczystości Najświętszej Maryi Panny Różańcowej. W tym dniu papież Jan Paweł II kanonizował na placu Świętego Piotra w Rzymie św. Josemaríę, w obecności tłumu wiernych przybyłych z całego świata, wielu spośród nich z Gwatemali.

Historia – a mówiąc właściwiej Boże miłosierdzie – dostarcza nam takich niespodzianek, napełnionych nieoczekiwanym znaczeniem.

Ostatnie wyjaśnienie. Napisałem te listy nie tylko poruszony

pragnieniem, żeby moje dzieci lepiej poznały postać swojego dziadka. W mojej woli – i woli Guiseli, mojej żony, która z taką miłością śledziła mą pracę – leży przyczyna o wiele głębsza.

Ta książka ma być przede wszystkim pochwalną pieśnią na cześć miłosierdzia Bożego w naszym życiu i aktem dziękczynienia naszemu Panu Jezusowi Chrystusowi i Jego Najświętszej Matce, Pani Różańca, Patronce Gwatemali. Wzrusza mnie myśl, że ukazuje się ona w Roku Różańca.

To jest najgłębszy i prawdziwy sens tych stronic – chęć złożenia dziękczynienia Bogu, ponieważ w swojej pełnej miłości Opatrzności Bóg udzielił nam niezrównanego daru poznania człowieka świętego i wspólnego życia razem z nim przez wiele lat, dzień po dniu.

José Luis Cofiño

ROZDZIAŁ I

5 czerwca 1999 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Dzisiaj po południu, gdy wracałem do domu, po uroczystości setnej rocznicy urodzin dziadka, myślałem o Was. W 1991 roku, kiedy dziadek umarł, byliście bardzo mali, i obawiam się, że stanie się z Wami to samo, co ze mną. Straciłem moją mamę, kiedy miałem sześć lat, i nic nie pamiętam: ani jednego jej słowa, ani jednego obrazu, nawet jednej miny.

Wydaje się to niewiarygodne, prawda? Wiem o niej to, co mi opowiedziano, albo to, co widziałem w albumie ze zdjęciami i w filmach, które kamerą Super-8 kręcił dziadek. Jak to możliwe? Być może jej śmierć była dla mnie tak silnym ciosem, że nagle wszystko zniknęło z mojej pamięci.

Ponieważ nie chcę, żeby przydarzyło się Wam to samo, opowiem Wam o życiu dziadka, list po liście, żebyście nigdy o nim nie zapomnieli.

Znalazłem na strychu (nie chcę, byście tam wchodzili, dlatego że w niektórych miejscach podłoga jest słaba i mogłaby się załamać) wiele jego rzeczy: cylinder ze *szczęśliwych lat dwudziestych*, hełm korkowy z lat czterdziestych, dżinsy z lat osiemdziesiątych… I dużo papierów, bo dziadek niczego nie wyrzucał. (Odziedziczyłem ten zwyczaj. Przechowuję szkolne elementarze, prace uniwersyteckie… Nawet zabawki z czasów, kiedy byłem chłopcem!)

Na górze, na strychu, znajdują się jego siodło, jego zeszyty, jego dyplomy, troskliwie zwinięte i obwiązane długimi czerwonymi wstążkami, interesujące go wycinki prasowe, ułożone chronologicznie w

odpowiednich teczkach, i różne paczki listów napisanych jego ręką. Nie chodzi o to, że był nastawiony nostalgicznie (przeciwnie – nie lubił patrzeć wstecz ani pogrążać się w przeszłości). Po prostu był człowiekiem uporządkowanym, który pragnął dokumentować wydarzenia.

Nie wiem, po kim odziedziczył ten zwyczaj… Oczywiście nie po swoim ojcu, o czym świadczy fakt, że mamy tak niewiele wiadomości o tej gałęzi rodziny. Pewne jest, że przodkowie dziadka byli Hiszpanami. Pierwszy Cofiño, który przybył do Gwatemali, pochodził z Infiesto – maleńkiej miejscowości w Asturii, regionie położonym na północy Hiszpanii.

Nigdy tam nie byłem, ale z tego, co opowiadają, wynika, że musi to być bardzo piękne miejsce. Rozszalałe Morze Kantabryjskie[1], wiecznie zielone łąki, nawadniane deszczem, i

górski łańcuch w głębi. Krajobraz podobny do krajobrazu Tierra Fría[2]. Otóż, zgodnie z uzyskanymi przeze mnie informacjami, ten pierwszy Cofiño – Pedro – przybył tutaj przed dwoma wiekami, w XIX stuleciu. Jest to, niech się zastanowię… dziadek Waszego dziadka, to znaczy Wasz prapraprapradziadek!

Nie wiem, czym się zajmował ten zacny człowiek i nie sądzę, żeby w rodzinie ktoś to wiedział. Nawet Wasz dziadek, który nie lubił łazić po gałęziach drzewa genealogicznego w nadziei znalezienia kilku kropelek błękitnej krwi albo przodka spokrewnionego z którymś z królów Kastylii. Te sprawy nie miały dla niego znaczenia.

Wiem natomiast, że moi pradziadkowie mieszkali w domu, który nazywali Domem pod Lwami[3], że mieli gospodarstwo Retana i przedsiębiorstwo elektryczne w

Antigui[4] i że dziadek urodził się kwadrans po godzinie dziesiątej w nocy 5 czerwca 1899 r. w mieście Gwatemala przy zaułku Luna pod numerem 9. Został ochrzczony cztery dni później, 9 czerwca, w parafii Najświętszego Sakramentu, jako Ernesto Guillermo.

W roku 1899. Rozumiecie? Dziadek był człowiekiem dziewiętnastego wieku!

Pierwsze lata swojego życia spędził w Antigui, niegdyś pięknym mieście, o starych, na pół zrujnowanych dworkach i świątyniach z murami nadgryzionymi zębem czasu, pokrytymi bluszczem. Tyle pozostało z blasku, który odszedł na zawsze w wyniku trzęsienia ziemi w 1541 roku[5]. Czytam raz jeszcze kronikę Juana Rodrígueza, świadka katastrofy. Tytuł brzmi *Historia straszliwego trzęsienia ziemi w Indiach Zachodnich, w mieście*

zwanym Gwatemala, a jej fragment brzmi następująco:

„W sobotę 10 września 1541 roku o godzinie drugiej w nocy […] była wielka nawała wody z wulkanu, który jest ponad Gwatemalą, i nastąpiła tak nagła […], tak wielka lawina ziemi, że niosła przed sobą wodę i kamienie, i drzewa, tak że my, którzy to widzieliśmy, byliśmy zdumieni. I weszła do domu adelantado[6] don Pedro de Alvarado, niech odpoczywa w chwale, i porwała wszystkie ściany i dachy jak leci, i poniosła bardzo daleko…”.

Chociaż dziadek w dzieciństwie był świadkiem wielu trzęsień ziemi, mam wrażenie, że dzieciństwo miał szczęśliwe; był swawolnym i psotnym chłopcem, który bawił się, pędząc na rowerze po alejach Antigui i popełniając drobne wybryki, pośród dziwnej ciszy…

Jednakże, zanim porozmawiamy o tej ciszy, powiem Wam coś o pradziadkach. Tata dziadka, José María, urodzony w 1863 roku, założył przedsiębiorstwo elektryczne. Był „człowiekiem starej daty”, jak mawiała jego siostra, ciotka Clarita. Jego charakter oddaje wiszący w korytarzu portret, na którym widać postać w czarnym garniturze, w jedwabnej koszuli, z zegarkiem w kieszonce kamizelki (zgodnie z ówczesną modą), z muszką i z wyostrzoną, spiczastą bródką. Zawsze robiła na mnie wrażenie surowość jego oblicza, to spojrzenie… Ci, którzy go znali, używali, mówiąc o nim, tego samego słowa: straszny.

Takim uczyniło go życie. Potem Wam o tym opowiem. Miał nieposkromiony temperament i niezwykle silny charakter. A jego żona, prababcia Clotilde, również musiała taki mieć…

Prababcia urodziła się w 1856 roku. To ciekawe – dokładnie sto lat przede mną. Z tego, co o niej mówią, wiem, że była żywym odbiciem *„dzielnej niewiasty”* z Biblii, chociaż jej portrety, które się zachowały, zawierają rys pewnej słabości. Jest taka drobniutka i wdzięczna, taka słodka, z tym wyrazem twarzy, o którym nie sposób powiedzieć, czy jest wyrazem łagodności czy smutku… Jednakże, jeżeli przyjrzeć się dobrze jej postawie i dłoniom na zdjęciu, na którym pojawia się razem z Waszym dziadkiem, można w niej odkryć głęboką wewnętrzną energię. Zdecydowanie ściska dłonie syna, jakby przekazując mu swoją moc, swoją siłę.

Wiele cierpiała. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Być może tego nie zrozumiecie… Pradziadkowie mieli czworo dzieci. Najstarsza była ciotka Eugenia. Potem zjawili się stryj José i stryj Ricardo, a najmłodszy był mój

tata. Jednak oprócz tego mój tata miał dwie przyrodnie siostry: ciotkę Marukę i ciotkę Claritę, które ogromnie kochał. A prababcia Clotilde wychowywała sześcioro w swoim własnym domu, nie robiąc żadnej różnicy między nimi, jakby wszystkie były jej dziećmi. Miała wielkie serce!

Czasami mamy błędne wyobrażenie o tym, czym jest godność. Uważamy, że polega ona na obronie nie wiadomo jakich elementów dumy, *których nie wolno się wyrzec*. Myślimy: do czego to doszło! I zapominamy, że ponad wszystko jest miłość. To wielka lekcja prababci Clotilde. Umiała kochać naprawdę i dlatego umiała przebaczać.

Zanim przejdziemy dalej, kilka słów o owej epoce. W tamtym czasie prezydentem był Manuel José Estrada Cabrera, adwokat z Quetzaltenango, który doszedł do

władzy w 1898 roku. Z pewnością widzieliście jego portret w książkach do historii. Potężne czoło i coś złego w spojrzeniu oraz olbrzymie wąsiska, opadające na usta…

Początkowo wydawał się stosunkowo umiarkowanym prezydentem. Do chwili zamachu bombowego z 1907 roku, kiedy to ujawniło się, kim jest – tyranem. Niektórzy historycy doceniają jego pragnienie podniesienia poziomu edukacyjnego kraju. Inni podkreślają postęp, jaki osiągnięto za jego rządów, podając jako przykład budowę linii kolejowej od wybrzeża Atlantyku do miasta Gwatemala.

Tak, był pewien postęp. Nie da się temu zaprzeczyć, ale… za jaką cenę! Potrzebowano robotników do budowy dróg? Nie było problemu. Aresztowano grupę Indian, zmuszając ich do dźwigania kamieni. Farmerzy z wybrzeża szukali

robotników do zbioru kawy? Też nie było problemu! Pisali do zaprzyjaźnionego politycznego zwierzchnika Altiplano[7] i prosili go o dwustu lub trzystu chłopaków po tyle a tyle quetzali[8] za każdego.

– Nie, to za mało. Wyślę ci robotników za tyle a tyle quetzali – odpowiadał zwierzchnik w listach, które przekazywano na grzbietach mulic między górami a wybrzeżem.

Targowano się. A kiedy udało się dojść do porozumienia, zwierzchnik mówił: „Cena przyjęta. Przyślij liny!”. Wysyłano liny, którymi związywano tubylców, tworząc z nich karawany, jakby byli zwierzętami, i posyłano ich pieszo drogami prowadzącymi na wybrzeże.

Opowiadam o czymś, co miało miejsce nie w XVI, ale na początku XX wieku. Wiem, że często współczesnym ludziom wydaje się to zamierzchłą przeszłością, ale minęło

nie tak wiele lat. Musi jeszcze żyć trochę dzieci tych ludzi, którzy byli traktowani jak niewolnicy.

Był to straszny czas. Kraj był pogrążony w obrzydliwej atmosferze, miał wszelkie cechy państwa policyjnego. Przestraszeni ludzie żyli w sieci donosów i podejrzeń. To był powód owej dziwnej ciszy, dziwnego milczenia, które dziadek dostrzegał w swoim dzieciństwie. Jeśli ktoś powiedział jedno słowo za dużo, mógł to przypłacić życiem.

Estrada rządził krajem tak, jakby to było jego prywatne gospodarstwo; zorganizował tajną sieć rządowych agentów, którzy przekazywali mu informacje o wszystkim w zamian za rozmaite korzyści. Nie myślcie, że byli to tylko policjanci. Takimi agentami mogli być fałszywy przyjaciel, sąsiad, znajomy… Wszędzie były „uszy” i niektórzy

konfidenci albo szpiedzy zyskali ponurą sławę i złowrogie przezwiska, jak Cwaniak albo Facet z bródką.

W tym świecie intryg i strachu dziadek żył w dzieciństwie i w młodości. Mówiono: „wszyscy są coś winni prezydentowi”, a Estrada konsekwentnie eliminował swoich przeciwników (czasami chodziło jedynie o jego ewentualnych przeciwników) jednego po drugim. Rozkazywał otruć jednego, rozstrzelać innego, zabić kijami trzeciego. Zakazywał „najwyższym rozkazem” podróży zagranicznych i bez jego pozwolenia nikt nie mógł wjechać do kraju ani go opuścić. Kierował prasą: „opublikować ten artykuł”. Kontrolował pocztę: „skopiujcie korespondencję takiego a takiego”. Uniewinniał i skazywał kogo chciał na dowolne szykany: „pilnujcie mi tego”; „wyprowadźcie

tych więźniów na godzinkę na słońce”.

Granados wspomina w swoim pamiętniku torturowanie uwięzionych: „Luis Echeverría Ávila […], wiek: 16 lat, mój kolega ze szkoły, […] 200 kijów […]. Rafael Rodil, 15 lat […], bito go po gołych nogach […]. Rodolfo Jaúregui […], 10 lat, poniósł podobną karę”.

Terror osiągnął taki poziom, że historycy twierdzą, iż w 1907 roku, kiedy dziadek skończył osiem lat, w Gwatemali nie było rodziny z wyższej klasy, która nie straciłaby ojca lub syna z powodu donosu lub próby buntu, fikcyjnej albo prawdziwej.

Nasza rodzina nie była wyjątkiem. Prezydencki wyrok 30 kwietnia 1907 roku nie oszczędził domu w Antigui i pradziadek José María oraz jego brat Pedro zostali „na mocy najwyższego rozkazu” aresztowani.

Niecałe dwanaście miesięcy później, 23 kwietnia 1908 roku, zabrzmiała salwa. Pedro Cofiño został rozstrzelany razem z Ramónem Palencią na tyłach kościoła św. Franciszka Wielkiego, gdzie jest pochowany Brat Piotr[9]. Powiedziano, że zostali skazani na śmierć „za sprzeciw wobec rządu". Luis Cardosa, którego ojciec dzielił celę z pradziadkiem, opowiada, że zrobiono losowanie, kogo zabić.

Nie byli jedyni. Tego samego dnia zamordowano wiele osób w ruinach kościoła Ducha Świętego, obok topolowej alei Świętej Łucji.

Wkrótce potem uwolniono pradziadka, który w tej sytuacji postanowił udać się z rodziną do miasta Gwatemala, żeby prezydent przekonał się na własne oczy, że José María Cofiño nie konspiruje przeciwko niemu.

W Antigui została jego matka, która umarła 22 maja 1910 roku w wieku 69 lat, dwa lata po rozstrzelaniu jednego z jej synów. Któregoś dnia musimy pójść na cmentarz św. Łazarza, żeby pomodlić się na jej grobie, na którym wyryto w marmurze słowa psalmu: „Postępują naprzód wśród płaczu, niosąc ziarno na zasiew: z powrotem przychodzą wśród radości, przynosząc swoje snopy”.

Zapoznawajmy się dalej z historią pradziadków. Przybyli do stolicy i kupili dom w dzielnicy Gerona, blisko Głównego Urzędu Celnego, przy końcowej stacji kolejowej. Myśleli, że im bliżej będą prezydenta Estrady – który został ponownie wybrany w 1910 roku – tym lepiej będą mogli bronić się przed aresztowaniem „na mocy najwyższego rozkazu”.

Spróbujcie wyobrazić sobie ową epokę. Gwatemala była o wiele mniejszym miastem niż obecnie. Była miastem tak małym, że człowiek o pozycji społecznej pradziadka nie mógł przejść niepostrzeżenie. Zwyczajna nieobecność na uroczystości publicznej była interpretowana jako niechęć do prezydenta. Zwykle to jego prosiło się na świadka ślubu. Jeżeli ktoś tego nie uczynił, oznaczało to prowokację.

Wyobraźcie sobie, że w tunelu czasu przybywamy do Gwatemali sprzed wieku… Na Paseo de la Reforma widzimy młodych kadetów paradujących z krótkimi szpadami wśród pań i panienek, które noszą długie spódnice i chronią się przed słońcem pod białymi parasolkami. Panowie noszą meloniki, rękawiczki i plastrony[10]. To francuska moda. Paseo ma wyraźnie francuski charakter, dlatego że Francja jest wymarzonym krajem, państwem *la*

grandeur, Paryż zaś – stolicą świata… Moda jest *par excellence* „modą paryską”, a budynki, które kazał wznieść prezydent, są skopiowane z Pól Elizejskich, jak Przytułek im. Joaquiny, nazwany tak na cześć jego matki, albo Placówka dla Rekonwalescentów im. Estrady Cabrery.

Żyją jeszcze, niczym wspomnienie minionych czasów, stare zwyczaje hiszpańskie. Odbywają się niekiedy walki byków, a w jednym z pomieszczeń Pasażu Handlowego[11] są starcy, wciąż rozmawiający o wojnach karlistowskich, toczonych w Hiszpanii w XIX wieku… Jest to zamknięty świat, gdzie wiele osób się zna i pozdrawia się przy spotkaniu. Przekupki pokonują wybrukowane ulice z koszami przepełnionymi owocami z wybrzeża, pośród woźniców land[12], młodych dziewczyn z błyszczącymi włosami i

sprzedawczyń ciastek z miodem, które nieustannie nawołują:

– Żółte ciastka! Białe ciastka!

Taki był świat pradziadka, który – chociaż nie uczestniczył w żadnej dywersyjnej akcji i chociaż przybył do stolicy właśnie po to, żeby uniknąć podejrzeń o takie uczestnictwo – ostatecznie został uwięziony i oskarżony, nie wiem o co. Na nic nie przydał mu się pomysł, by żyć bezpośrednio pod okiem prezydenta! Wszystko było możliwe w owym czasie, kiedy mordowano i torturowano na polecenie autora „najwyższego rozkazu”!

Nie wiem, kiedy pradziadka uwięziono ani dokąd go zaprowadzono. Najbardziej prawdopodobne jest, że znalazł się w Oddziale 2 Centralnego Więzienia Karnego wraz z innymi więźniami politycznymi (chociaż równie dobrze mogli go zamknąć w każdym z

sześciu więzień w Gwatemali), ze wskazaniem: „szczególnie polecony”. Oznaczało to, że strażnicy powinni traktować go brutalnie.

Są to jednakże tylko moje przypuszczenia, dlatego że nie pytałem Waszego dziadka o więcej szczegółów związanych z tą sprawą. Wiedziałem, że jest to dla niego bardzo bolesne wspomnienie i że nie zapomina, jak będąc dzieckiem odwiedzał w więzieniu swojego tatusia. Na takie odwiedziny prezydent udzielał pozwolenia, uważając to za przejaw swojej „szczególnej łaski”.

Pradziadek opowiadał o swoich dniach w więzieniu, wiążącego sploty koca, jaki mu dali. Kiedy go zwolniono po półtorarocznym uwięzieniu – po osiemnastu miesiącach smutku i bólu – zabrał koc ze sobą do domu.

Dziadek zachował ten koc jakby to była relikwia i w ostatnich dniach życia prosił mnie o niego. Chciałem mu dać nowy koc, jednak on się na to nie zgadzał. Mówił, że chce mieć koc, którym jego tata przykrywał się w owych tak smutnych miesiącach, dlatego że był przesycony jego łzami…

My, istoty ludzkie, reagujemy na cierpienia w różny sposób. Jednych ból unicestwia, innych czyni zawziętymi i upartymi, twardymi jak skała. Właśnie to drugie przydarzyło się mojemu pradziadkowi. Pod wpływem cierpienia zamienił się w człowieka z żelaza, oschłego i twardego, a jeśli chodzi o wychowanie dzieci – we wręcz strasznego, przeraźliwie wymagającego ojca.

To tłumaczy, dlaczego mój tata jednocześnie kochał go i bał się. Trochę oddalił się od niego w

młodości, ponieważ młody człowiek często nie może pojąć pewnych spraw. Z upływem lat coraz lepiej rozumiał ojca, wybaczył mu jego błędy i kochał go coraz mocniej.

Swoją mamę natomiast kochał do szaleństwa. Jak mówił, „była to święta niewiasta”. Prababcia Clotilde była osobą bardzo pobożną, w odróżnieniu od pradziadka, który, jak tylu innych mężczyzn z jego pokolenia, miał niedostateczną formację chrześcijańską. Wiecie już, że sytuacja Kościoła w Gwatemali była wstrząsająca, i to słowo nie jest przesadzone. Od czasu rządów tak zwanych liberałów z XIX wieku wszyscy arcybiskupi Gwatemali (z jednym wyjątkiem) doświadczyli wygnania z kraju. Skonfiskowano wszystkie kościoły i klasztory i zniesiono wszystkie zakony i zgromadzenia religijne z wyjątkiem jednego – szarytek. Było bardzo niewielu kapłanów i w zasadzie nie

pozwalano, żeby do Gwatemali przyjeżdżali zagraniczni księża.

Wiara katolicka zachowała się dzięki takim osobom jak prababcia, która przekazała ją dzieciom swoim słowem i przykładem. Codziennie, nie opuszczając ani jednego dnia, chodziła na poranną mszę odprawianą o godzinie piątej w kościele św. Dominika.

To ona przygotowała dziadka do Pierwszej Komunii. Stosowna uroczystość odbyła się 29 czerwca 1910 roku, w dzień Świętych Apostołów Piotra i Pawła, w kaplicy Głównego Domu Sióstr Szarytek, do którego jej syn uczęszczał na katechezę. Miał wówczas 11 lat – wtedy był to normalny wiek, w którym dzieci przystępowały po raz pierwszy do Komunii Świętej. Na pamiątce z tego wydarzenia, obok eucharystycznego obrazka, znajduje się następujący tekst:

Ten, kto miłuje Jezusa,

często o Nim myśli,

o Nim mówi,

szuka Go,

dla Niego działa i pracuje.

Dziadek uczył się do matury w Centralnej Państwowej Szkole Męskiej, prestiżowej placówce edukacyjnej, do której zapisywano sporo uczniów, a którą niewielu kończyło. Na przykład w 1901 roku naukę zaczęło 220 uczniów, a szkołę ukończyło 32. Dziadek nie otrzymał tam żadnego rodzaju formacji religijnej, gdyż w szkołach publicznych było to zabronione. Była to jedyna szkoła średnia w Gwatemali, ponieważ rządy liberałów, jak już Wam mówiłem, zamknęły wszystkie szkoły katolickie z epoki kolonialnej.

Szkoła zajmowała siedzibę dawnego seminarium, zrabowanego archidiecezji przez władze. Była czymś w rodzaju akademii wojskowej, zarówno z uwagi na atmosferę, jak też z powodu panującej tam dyscypliny i powszechność zjawiska zwanego falą. Ideologia była bardzo prosta: ojczyznę, będącą najwyższym ideałem, uosabiał prezydent.

González Villanueva pisze, że dziadek doświadczył w tej szkole „tragicznego dualizmu, który od czasów kolonialnych uniemożliwiał jedność i zespolenie narodu. Życie rodzinne i społeczne – do pewnego stopnia – to było jedno. Życie «publiczne», «oficjalne» to było coś innego”. Młody Ernesto Cofiño „słuchał szyderstw i ironicznych wypowiedzi nauczycieli przeciwko religii, najcięższych oskarżeń wymierzonych w Kościół, był też świadkiem najbardziej groteskowych

kpin ze wszystkiego, co w jego domu i dla niego samego było czymś najświętszym”.

Jaki był jako uczeń? Kolega z klasy, późniejszy laureat literackiej Nagrody Nobla, Miguel Ángel Asturias wspominał go jako chłopca „dowcipnego i groźnego, wymierzającego niezrównane ciosy”. Wyobrażam go sobie w wieku czternastu lat, pełnego żywotności, śpiewającego na ulicach, na słynnych świętach Minerwy…

Zapewne słyszeliście o tych świętach, które prezydent nakazał obchodzić na cześć rzymskiej bogini mądrości, żeby nagrodzić uczniów na koniec roku. Święta zaczynały się w ostatnią niedzielę października i trwały pełne trzy dni, z wszelką możliwą pompą i z przepychem: alegoryczne łuki, koncerty muzyczne, wyścigi konne, przejazdy samochodów (wówczas to była nowość), mecze piłki nożnej

(kolejna nowość) oraz ćwiczenia kalisteniczne i sportowe. W nocy zaś – pokazy sztucznych ogni.

W tych dniach cały kraj się zatrzymywał. Czy wyobrażacie sobie dziewięć tysięcy uczniów maszerujących aleją Estrady Cabrery? Byli ubrani w mundury wojskowe i nosili na ramieniu słynne *palotines* – niewielkie drewniane strzelby.

Estrada kazał wybudować świątynię Minerwy właśnie na te święta. Był to gigantyczny budynek naśladujący starożytne świątynie greckie, z wielkimi jońskimi kolumnami i z ozdobnym tympanonem z odniesieniami do bogini. Uczniowie przychodzili do świątyni, grali na trąbkach, panowie z szacunkiem zdejmowali kapelusze, dzieci prezentowały broń, dziewczynki śpiewały hymn narodowy, wciągano

na maszt flagę i… zaczynały się przemówienia.

A kiedy skończył mówić prezydent… Jakież salwy oklasków, jakież okrzyki entuzjazmu, jakież wychwalanie Zasłużonego dla Ojczyzny, Znakomitego Przywódcy, Protektora Uczącej się Młodzieży, gwatemalskiego Peryklesa! Potem śpiewano pieśni i w całym mieście odbywały się zabawy.

Czy wyobrażacie sobie dziadka, tańczącego w takt marimby i gwiżdżącego robiące furorę pieśni, jak *La Flor del Café*[13]? Być może jest Wam trudno, ale ja widzę go doskonale: tańczącego, radosnego i szczęśliwego, pośród wrzawy trwającej prawie miesiąc, ponieważ minerwalia, formalnie trzydniowe, w praktyce przeciągały się w czasie, łącząc się z urodzinami Estrady pod koniec listopada.

W wieku osiemnastu lat, 10 sierpnia 1917 roku, dziadek zdał maturę. Być może planował wstąpić do Szkoły Medycyny, którą, zgodnie z moimi danymi, w 1914 roku ukończyło w sumie ośmiu lekarzy. Ta liczba mówi sama za siebie. Dyrektorem szkoły był do 1910 roku Ortega y Carrascal[14], naukowa znakomitość, który po obronie doktoratu w Paryżu prowadził głównie nauczanie szpitalne.

Jak możecie przypuszczać, przy panującym w Gwatemali reżimie politycznym medycyna była w kraju słabo rozwinięta i koncentrowała się wokół Szpitala Generalnego, który Ortega y Carrascal unowocześnił, tworząc dział sterylizacji, umywalnię i salę pooperacyjną.

Nie myślcie jednak o uniwersytetach i szpitalach takich jak te dzisiejsze. Ani ochrona zdrowia, ani edukacja nie dysponowały środkami

materialnymi czy swobodą działania. Wszystkie wydziały uniwersyteckie: inżynieria, medycyna i farmacja, prawo i notariat były kontrolowane bezpośrednio przez prezydenta, który spowodował, że Zgromadzenie Ustawodawcze ochrzciło w 1918 roku Uniwersytet Państwowy imieniem Estrady Cabrery.

Kiedy dziadek postanowił wstąpić na uniwersytet, trzęsienie ziemi zmiotło część miasta Gwatemala podczas świąt Bożego Narodzenia w roku 1917.

W ciągu kilku chwil runęły liczne budynki, szczególnie te, które zostały zbudowane za rządów Estrady. Na domiar nieszczęścia cztery tygodnie później, 24 stycznia 1918 roku, kolejne trzęsienie ziemi zburzyło to, co jeszcze stało. Runęły m.in. wieże katedry, kościół św. Jana Bożego i wiele innych ważnych zabytków, jak posąg Kolumba na placu Broni.

Tysiące rodzin nie miały innego wyjścia niż zamieszkać w zaimprowizowanych obozowiskach w rejonie dzielnicy Tivoli.

Ta katastrofa zdezorganizowała ogromną pajęczynę policyjną, którą utkał prezydent, ponieważ ludzie, zjednoczeni nieszczęściem, zaczęli rozmawiać między sobą bez przeszkód. Było niemożliwością kontrolować wszystko tak, jak przedtem.

Uniwersytet został zamknięty. Służba zdrowia otrzymała niezwykle ciężki cios. Liczne sale Szpitala Generalnego – włącznie z niedawno otwartą nową salą operacyjną – legły w ruinie. Rząd nie umiał stawić czoła sytuacji. Powszechne oburzenie narastało i przestano się bać mówić głośno. W maju 1919 roku biskup Piñol[15] wygłosił kilka kazań w kościele św. Franciszka na temat korupcji, z zawoalowaną krytyką

rządu. Prezydent kazał go aresztować i w końcu wygnał z kraju, ale nic nie mogło być takie samo jak przedtem.

W ten sposób dotarliśmy do 1919 roku, kiedy rozpoczął się decydujący etap w życiu dziadka. Miał dwadzieścia lat. Od dwóch lat nie uczestniczył w zajęciach na uczelni; uniwersytet nadal był zamknięty. Miasto odbudowywano powoli, pokonując niezliczone trudności. W 1918 roku kraj dotknęła poważna epidemia grypy.

Aby nie tracić czasu, dziadek zorganizował u siebie w domu małe laboratorium i uczył się na własną rękę. Jednakże miesiące mijały i nie zanosiło się na to, by uniwersytet został szybko otwarty. Dziadek znalazł się w zaułku bez wyjścia. Co mógł zrobić? Czekać jeszcze rok, dwa, trzy lata? Był to okres niepewności i zamętu.

Paolu, wyda Ci się to niewiarygodne, ale zaledwie kilka lat wcześniej studia ukończyła Olimpia Altuve, pierwsza studentka w Gwatemali, i prezydent osobiście zechciał wręczyć jej dyplom. Fakt, że kobieta z Gwatemali podejmuje studia uniwersyteckie, wydawał się wówczas czymś tak nadzwyczajnym, jak to, że Gwatemalczyk studiuje za granicą. Wcześniej postępowały tak tylko znamienite osobistości, jak na przykład wybitny doktor Rodolfo Robles[16].

Opowiadam Wam to, żebyście docenili decyzję dziadka, który… Ale nie uprzedzajmy wypadków. Pewnego pięknego dnia 1919 roku doktor Arturo Gálvez Paiz, słynny lekarz, który studiował w Paryżu, powiedział pradziadkowi:

– Don José María, pański syn Ernesto jest inteligentny i pracowity.

Dlaczego nie pośle go pan na studia do Francji?

I pradziadek postanowił, że jego syn będzie studiował na Sorbonie.

Obok możliwości ekonomicznych pradziadek miał różne powody, żeby podjąć taką decyzję. Jednym z nich był brak konkretnej daty ponownego otwarcia uniwersytetu. Jest też bardzo możliwe, że pragnął wysłać swojego syna jak najdalej od prezydenta, który coraz bardziej odrywał się od rzeczywistości, czemu towarzyszyły niewątpliwe oznaki szaleństwa.

Bez względu na przyczynę jest faktem, że kiedy pradziadek powiedział o swojej decyzji dziadkowi, ten nie uwierzył. On, w wieku zaledwie dwudziestu lat, do Paryża! Nie odważył się o tym nawet marzyć! Tym bardziej, że chodziło o Sorbonę – jeden z najbardziej prestiżowych uniwersytetów na

świecie! Poza tym miał płynąć statkiem!

Nie śmiejcie się. Podróż statkiem oznaczała w owym czasie wielką przygodę, a dziadek nawet nie widział jeszcze morza. Najdłuższa podróż, jaką odbył, to pokonanie trasy z Gwatemali do Antigui, na wózku ciągniętym przez mulicę, co trwało siedemnaście godzin.

Przygotował walizki… I tutaj otwiera się pasjonujący rozdział jego życia, o którym opowiem już spokojnie innego dnia.

Z gorącą miłością

Tata

ROZDZIAŁ II

20 sierpnia 1999 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Jako datę tego listu wpisałem dzień innego jubileuszu dziadka. Niedawno przechodziłem koło stacji Pamplona, skąd odjechał do Francji 20 sierpnia 1919 roku – dzisiaj mija od tej chwili dokładnie osiemdziesiąt lat. Nie zapominam o tej dacie, ponieważ jest ona zbieżna z datą urodzin kuzynki Mercedes.

Cała rodzina udała się na stację, żeby go pożegnać. A kiedy pociąg ruszył, widział, pośród kłębów dymu z lokomotywy, jak prababcia klękała i błogosławiła mu, z twarzą zalaną łzami.

Ten obraz zawsze był obecny w jego pamięci. Jego mama, na kolanach, błogosławiąca mu, podczas gdy pociąg oddalał się z łoskotem w kierunku Puerto Barrios[17]…

Odjeżdżał zasmucony, a jednocześnie szczęśliwy. Miała się rozpocząć wielka przygoda jego życia. Wyobrażacie to sobie? Jakież miał

nadzieje, oglądając Sierra de las Minas i zieleń gór Mico, Zacapa, Quirigua…

Linia kolejowa, którą podróżował, istniała wówczas zaledwie około jedenastu lat i chociaż minął czas starych kolejarzy, którzy mieli narzeczoną na każdej stacji, podróż pociągiem była wciąż złotym snem dla większości Gwatemalczyków. Czy nigdy nie słyszeliście tej piosenki?

Przybył już pociąg w kierunku Mazatenango,

gwiżdże na bardzo radosnych równinach,

a kolejarze cieszą się na widok mango,

które maszynista wyjął mi z ust…

Pociąg jechał na wybrzeże dwanaście godzin, gwiżdżąc i kołysząc się. Przez tyle pasjonujących godzin – choć z

niekończącymi się postojami na stacjach – dziadek oglądał owe cudowne krajobrazy, o których słyszał tyle razy.

Wyobrażam go sobie w wagonie, podpartego na łokciach, wpatrzonego w okno, przypominającego sobie ostatnie dwa lata swego życia, od sierpnia 1917 do sierpnia 1919 roku. Dziwny okres: koniec liceum, trzęsienia ziemi, ponowny wybór Estrady przy poparciu intelektualistów i „myślących głów”… Uniwersytet, zamknięty na czas nieokreślony… A kiedy horyzont wydawał się najczarniejszy, nagle Paryż!

Widzę go, jak wysiada z pociągu, zmęczony podróżą, idzie z walizkami przy zatoce Amatique, nuci *Bella Guatemala*[18] między skrzyniami bananów i workami z kawą. Tam po raz pierwszy zobaczył morze.

Stamtąd zaś ruszył w nowym kierunku, do Nowego Jorku. Pewnie jego dusza była napełniona nadzieją, kiedy wstępował po trapie na statek. Nadzieją nasączoną smutkiem, ponieważ – jak opowiadał w liście wiele lat później – był to trudny rejs, pełen bólów i niepewności. Co go czekało w Paryżu? Miał studiować i zdawać egzaminy… po francusku! Był z natury optymistą, ale bał się, że to zadanie chyba przekracza jego siły i pewnie będzie musiał przegrany wrócić do Gwatemali…

Dopłynął do Nowego Orleanu i przejechał przez to miasto. Nie wiem, czy widział stare domy kolonialne z ich charakterystycznymi długimi balkonami, pełnymi kwiatów. Wiem tylko, że doświadczył po raz pierwszy izolacji, wynikającej z nieznajomości języka i obcych obyczajów. Jak najszybciej wsiadł do pociągu, który zawiózł go do Nowego Jorku. Tam nadal czuł się zagubiony,

nie mówiąc po angielsku i nie znając nikogo. Po kilku dniach ponownie wsiadł na statek, tym razem płynący do Europy.

Statek pokonał Atlantyk w rekordowym czasie dwudziestu jeden dni. Na owe czasy to zdumiewający rezultat.

Dotarł do Francji 10 września, w deszczowe popołudnie. Transatlantyk przybił do portu Hawr, który znajduje się stosunkowo blisko Paryża. Bardzo szybko, być może następnego dnia, zobaczył po raz pierwszy w oddali symbole Miasta Światła: wieże Notre-Dame, kopułę Sacré-Coeur[19], wieżę Eiffla…

Wyobrażam go sobie, dwudziestoletniego, pod dachami peronów *Gare d'Orsay*[20], jak pyta, bardzo zdecydowanie, swoim kiepskim francuskim, o ulicę, gdzie znajduje się rezydencja Luciano Boudousse'a, prowadzącego

przedsiębiorstwo importowo-eksportowe z siedzibą w Paryżu i pełniącego funkcję bankiera „obsługującego” tych niewielu Gwatemalczyków, którzy mieli synów we Francji. Był ich „zaufanym człowiekiem” w Europie.

Przypuszczam, że dziadek ubierał się w stylu popularnym w Ameryce Środkowej; chodził w kapeluszu panama i w lekkiej tropikalnej marynarce, która z pewnością zwracała uwagę w owym nowym dla niego świecie, przesuwającym się przed jego oczami – nad brzegami Sekwany, wśród ożywionego tłumu ludzi chodzących tam i sam, między stacjami metra w stylu *art nouveau*, w pełnej studenckiej wrzawy Dzielnicy Łacińskiej…

Z pewnością przecierał oczy, wciąż jeszcze nie wierząc, że to była prawda! Był w Paryżu – stolicy świata, gdzie podejmowano ważne

decyzje! Niedawno skończyła się pierwsza wojna światowa i miesiąc po przyjeździe dziadka, 11 października, francuski Senat ratyfikował Traktat Wersalski.

Był szczęśliwy, ale… Nie znał tu nikogo i był o tysiące kilometrów od swojej rodziny. I jeszcze to blade słońce… Z naszej wspaniałej światłości przybył do miasta niezwykłych budynków, ale często zasłoniętych przez szarawe mgły i ciężkie chmurzyska. Jesienny wiatr wywoływał w nim z pewnością nostalgiczne wspomnienia o naszej wiecznej wiośnie…

Nie zaznaliście jeszcze doświadczenia życia w samotności za granicą. Dziadek pisał do ciotki Clemen: „Rozpacz jest pierwszą rzeczą ogarniającą człowieka, która próbuje zapanować nad wolą. Człowieka ogarnia gorące pragnienie, żeby wrócić, żeby

porzucić to wszystko, by być szczęśliwym u boku najbliższych, obok tego, co kocha”.

Nie było innego sposobu niż zapanować nad swoimi uczuciami i dostosować się. Nie mogło to być łatwe.

Widziało się jeszcze w tym mieście na ulicach brytyjskie i amerykańskie mundury wojskowe, a po tak wielu latach niepokoju wybuchło frenetyczne, niemal szalone pragnienie radości życia.

John Dos Passos, powieściopisarz ze Stanów Zjednoczonych, określa Paryż owych lat jako miasto pełne muzyki. Miasto Światła, jak je nazywano, było mekką mody i luksusu, stolicą sztuki. Spotykali się tam wielcy artyści. Można było w modnych kawiarniach natknąć się na Chagalla lub Modiglianiego[21] przy sąsiednim stoliku…

W każdym razie, chociaż wiele kosztowało dziadka przystosowanie się do nowych obyczajów, zdumiewały go cnoty Francuzów, a kulturalna atmosfera paryska zachwyciła go. Fascynowała go cała Francja.

„Przybyłem do Paryża – wspominał – tuż po zakończeniu pierwszej światowej pożogi, która tak bardzo zraniła naród francuski, z odnowionym duchem podnoszącym się z gruzów wojny”.

Atmosfera ta wydawała się nową jutrzenką po latach burzy; były w niej optymizm i nadzieja, że podobny wandalizm się nie powtórzy.

Zaczął przygotowywać się do egzaminów wstępnych, zwanych w skrócie certyfikatem P.C.N.[22], obejmujących trzy przedmioty: fizykę, chemię i nauki przyrodnicze. Mógł uzyskać nostryfikację, ale

postanowił rozszerzyć wiadomości i zdać te egzaminy, dlatego że był świadomy niewystarczalności swojej edukacji.

Pomyślcie, jaką dojrzałość oznaczała ta decyzja, jaki realizm. „To jest błąd – tłumaczył – tych, którzy zamierzają studiować medycynę i korzystając z posiadanego tytułu bakałarza uzyskują zwolnienie z P.C.N. Wstępują oni na wydział medyczny zdezorientowani, nieprzyzwyczajeni do uczestnictwa w zajęciach, nie znając metod pracy, a często i języka”.

Rozpoczęło się życie uniwersyteckie. W salach wykładowych przeżywano szczególną chwilę. Po długiej przerwie wojennej w listopadzie owego 1919 roku wznowiono zajęcia. Nowo przybyli, jak dziadek, spotkali się ze studentami ze starszych roczników, którzy powrócili na uczelnię po spędzeniu kilku lat na

froncie, i z wykładowcami, którzy pracowali w czasie wojny jako lekarze wojskowi i zachowywali żywo w pamięci nieszczęścia będące skutkiem tego konfliktu. To nadało ówczesnemu Wydziałowi Medycyny praktyczny i rzeczowy charakter.

Sorbona była – i jest nadal – uniwersytetem o najwyższym prestiżu. Wystarczy odwiedzić budynek Wydziału Medycyny, żeby zdać sobie sprawę z przodującej pozycji francuskiej medycyny w świecie. Przekracza się obszerny dziedziniec wejściowy, wchodzi się na górę wspaniałymi schodami, z lasem kolumn z porfiru po bokach, i dociera się do wspaniałych sal z marmurowymi podłogami i ze ścianami ozdobionymi popiersiami słynnych lekarzy, z inskrypcjami jak ta, którą dla Was tłumaczę:

Za panowania Ludwika XVI wziął początek ten budynek,

poświęcony studiom i doskonałości chirurgii,

z rozkazu i pod auspicjami umiłowanego Ludwika,

w roku łaski MDCCLXIX.

We Francji w roku 1919 nie istniały szpitale nazywane obecnie klinicznymi, ale już na początku następnego roku akademickiego, 19 października 1920 roku, ratusz paryski i uniwersytet podpisały porozumienie, na którego podstawie wykładowcy Wydziału Medycyny stali się ordynatorami w różnych szpitalach w mieście.

Według historyków medycyny porozumienie to oznaczało wykonanie gigantycznego kroku, ponieważ dzięki niemu francuska służba zdrowia zaczęła korzystać z naukowych osiągnięć uniwersyteckich, a nowi studenci, jak dziadek, poznawali bezpośrednio

nauczanie kliniczne. Dlatego dziadek tłumaczył, że wstąpił „raczej do szpitala niż do szkoły medycyny, żeby przygotować się do pierwszego konkursu, noszącego nazwę eksternistycznego”.

W 1920 roku postanowił zmienić akademik. W akademiku *monsieur* Boudouse’a mieszkało bowiem wielu Latynosów i uważał, że z tego powodu nigdy dobrze nie opanuje języka francuskiego. Przeprowadził się więc do budynku przy rue du Dragon między Boulevard Saint Germain a ulicami Four i Grenelle.

Rue du Dragon to wąska ulica, charakterystyczna dla Dzielnicy Łacińskiej. Chciałbym, żebyście któregoś dnia ją zobaczyli, z jej wysokimi, czteropiętrowymi i pięciopiętrowymi budynkami o nieregularnych fasadach i domami o majestatycznych bramach. Na murach znajdują się tablice

upamiętniające osobistości, które niegdyś tam mieszkały. Na jednej z nich można przeczytać:

Wiktor Hugo mieszkał w tym domu w 1821 roku.

29 lutego 1907 r.

Hugofile

Trochę dalej mieszkał Huysmanns – budowniczy Paryża, a w sąsiednim domu – dwóch słynnych pisarzy: Giono i Martin du Gard.

Co tydzień dziadek otrzymywał list od swego ojca z Gwatemali. Nie przesadzam: pradziadek pisał do niego co tydzień. Za pomocą tego środka komunikacji dziadek, poza tym, że utrzymywał kontakt z rodziną, był zaznajamiany na bieżąco z życiem politycznym w ojczyźnie. Sytuacja uległa pewnej poprawie. Kongres uznał Estradę za niezdolnego do pełnienia funkcji,

stwierdzając, że jest szaleńcem, ale stary dyktator stawiał opór i ze swojej rezydencji „La Palma” zbombardował stolicę…

W końcu zastąpił go u władzy plantator trzciny cukrowej Carlos Herrera. Kilka miesięcy później w Kostaryce odbyła się konferencja, podczas której postanowiono utworzyć Federację Republik Środkowamerykańskich. Wydawało się, że wreszcie staje się rzeczywistością stare marzenie o zjednoczeniu i 15 września 1921 roku Gwatemala zjednoczyła się z Hondurasem i Salwadorem, tworząc nowe państwo ze stolicą w Tegucigalpie.

Jednakże marzenie o trwałym zjednoczeniu rozwiało się natychmiast. W Gwatemali doszło do zamachu stanu i zmuszono Herrerę do rezygnacji ze stanowiska[23]. Utworzono triumwirat. Główną rolę

odgrywał w nim bliski współpracownik Estrady, generał José María Orellana, który doprowadził do wystąpienia Gwatemali z krótkotrwałej unii z dniem 14 stycznia 1922 roku.

W latach 1921–1926 dziadek odbył, w wyniku konkursu, praktykę w paryskich szpitalach jako ekstern. Był dobrym i odpowiedzialnym studentem. Podkreślam Wam to, ponieważ beztroska i ekstrawagancka atmosfera lat dwudziestych, tak typowa dla cyganerii, cieszy się wciąż nieszczęsną sławą.

Był to Paryż szalonych lat. Tryumfy odnosiły fokstrot i *java* – tańce, o których na pewno nigdy nie słyszeliście. Czy pamiętacie filmy z Maurice'em Chevalierem, w których stepował, śpiewając: „nie ma niiiic / lepszego / niż / Paaaaaryż!"?

Co ja mówię! Jak macie znać Maurice'a Chevaliera, skoro uważacie, że Beatlesi to stary zespół?

Paryż przeżywał okres niepohamowanego rozkwitu zbytku i wystawności. Wieżę Eiffla oświetlało pół miliona żarówek i miasto to, razem z Nowym Jorkiem, było światowym symbolem postępu i nowoczesności. „Nowoczesności" dość szalonej w swoich obyczajach i bez odniesień moralnych, chociaż, dzięki Bogu, dziadek, jak opowiadała ciotka Uca, nie dał się wciągnąć w tę atmosferę, w której „zbytek stał się zwyczajną regułą".

Zgodnie ze słowami ciotki Uki dziadek „nie nauczył się złych rzeczy, których ludzie uczą się w tych krajach, mimo że był młodzieńcem i nie żył jak mnich ani nikt w tym rodzaju. Jednakże absolutnie nigdy nie był rozpustnikiem ani nałogowcem w żadnym tego słowa

znaczeniu! Ani też człowiekiem niemoralnym, ani rozrzutnikiem… Nigdy!”.

Ten czas był dla dziadka czasem intensywnej i odpowiedzialnej nauki i pracy. Chyba trochę pogubiłem się i już nie wiem, o czym Wam mówiłem… Aha, mowa była o atmosferze, która otaczała go w 1926 roku, kiedy, po zakończeniu etapu eksternistycznego, zaczął się przygotowywać do egzaminu na studenta-rezydenta w paryskich szpitalach – „wielkiej szkole” francuskiej medycyny.

Bycie studentem-rezydentem paryskich szpitali oznaczało chwałę, spełnienie się złotego snu, najwyższej aspiracji studenta medycyny w owych czasach. Wszystkie wielkie postacie francuskiej medycyny dziewiętnastego wieku wygrywały prowadzący do tego celu konkurs

egzaminacyjny, który cieszył się ogromnym prestiżem we Francji i poza jej granicami.

Konkurs taki funkcjonował w bardzo specyficznym francuskim systemie. Kiedy studenci wygrywali konkurs na rezydenta, nadal byli studentami, ale od tej pory pełnili funkcje lekarzy, zamieniając się na cztery lata w tak zwanych lekarzy i chirurgów rezydentów, a na zakończenie studiów bronili prac doktorskich pod kierunkiem naukowych sław w danej specjalności.

Dziadek postawił sobie za cel pójście tą drogą, chociaż wiedział, że jest to niezwykle trudny konkurs. Do obsadzenia było niewiele miejsc – w sumie siedemdziesiąt – dla setek kandydatów, zdawał więc sobie sprawę, że będzie musiał intensywnie się uczyć, latami zamknięty w czterech ścianach swojego pokoju.

Stawił się na konkurs po raz pierwszy – i nic. Znowu więc zamknął się w pokoju, żeby zdobywać wiedzę.

Zmieniały się pory roku (tam nie mają ciągle wiosny, jak jest u nas) – lato, jesień, zima…, a dziadek wciąż siedział w samotności i powtarzał ciągle na nowo tematy egzaminacyjne, słysząc dobiegające przez okno odgłosy paryskiej krzątaniny…

Zostawmy na chwilę rue du Dragon i przygotowania dziadka do konkursu. Powróćmy do Gwatemali, do domu pradziadków. Powiedziałem Wam przedtem, że prababcia Clotilde była kobietą z charakterem, bardzo niezależną, jak na ówczesne zwyczaje. Otóż Wy troje możecie uprawiać te same dyscypliny sportowe; chociaż bardzo wątpię, Paolu, że będziesz grać w piłkę nożną. Czy wiesz, co o Tobie mówił

dziadek? „Moja wnuczka nie chodzi, tylko tańczy! Będzie tancerką”. To prawda, Paolu. Kiedy byłaś mała, chodziłaś po korytarzach na czubkach palców, jakby wykonując kroki baletowe.

Znowu się pogubiłem… Aha, mówiłem Wam, że teraz Wy troje macie równe szanse, możecie uprawiać te same dyscypliny sportowe, podróżować za granicę… Ta równość na początku lat dwudziestych, przynajmniej w Gwatemali, była czymś nie do pomyślenia. Ogromna większość kobiet była zamknięta we własnych domach, bez żadnego rodzaju aspiracji, zaniedbana społecznie i kulturowo. I pod tym względem prababcia Clotilde była wyjątkiem.

Poza tym była niespokojna o swojego syna, którego nie widziała od kilku lat, i ta rozłąka stała się dla niej nie do zniesienia.

Wówczas odległości wydawały się ogromne, o wiele większe niż dziś. Teraz, jeżeli wykręcimy numer kierunkowy do Meksyku, możemy pogadać z ciocią Clemen, ale wtedy prababcia mogła się kontaktować ze swoim synem tylko przy pomocy poczty, pisząc listy, których przesyłanie trwało tygodniami.

Aż pewnego dnia nie mogła już dłużej wytrzymać i powiedziała pradziadkowi, że powinni odwiedzić Ernesto w Paryżu. Pradziadek się zaniepokoił. Wiedział, że kiedy jego żona na coś się zdecydowała, bardzo trudno było ją powstrzymać.

– Francja? Co za szaleństwo, Clotilde! Po co mamy jechać do Francji?

– Żeby zobaczyć naszego syna! Czy to nieważny powód?

Kłócili się i kłócili, aż w końcu pradziadek rzekł:

– Słuchaj! Możesz pojechać… sama!

– W takim razie pojadę sama!

– Słucham? Nie pojedziesz!

– Oczywiście, że pojadę. To mój syn i chcę go zobaczyć!

– Clotilde! Jeżeli pojedziesz, nie wracaj do tego domu!

Prababcia przybyła do Paryża, nie znając w ogóle francuskiego, i spędziła tam pewien okres, z trudem dając sobie radę. Punktem odniesienia był dla niej sklep, przy którego drzwiach zawsze widziała dynię, sprzedawaną po kawałku, aż… pewnego dnia sprzedano całą dynię i prababcia się zgubiła. Zaczęła krążyć po Dzielnicy Łacińskiej. Na szczęście spotkała policjanta i pokazała mu karteczkę, na której dziadek napisał adres swojego domu…

Razem pojechali do Lourdes. Nie wiem, co tam się wydarzyło; wiem tylko, że owa pielgrzymka była bardzo ważna dla dziadka, który do tego czasu nie wydawał się szczególnie zainteresowany religią. Pobyt w Lourdes oznaczał w jego duszy oddzielenie „przedtem” od „potem”.

Nie chodzi o to, że nie miał wiary. Wierzył w Boga, ale jego wiara w owych chwilach nie była czymś decydującym w jego życiu. Myślał tylko o nauce, o byciu studentem-rezydentem w szpitalach, o sukcesie. Nie mam jednak więcej danych na temat tej kwestii. Mówiłem Wam już, że to tylko moje wrażenie.

Kiedy prababcia powróciła do Gwatemali i zapukała do drzwi domu, na jej powitanie wyszedł pradziadek.

– Przyjechałam – powiedziała do niego.

– Słucham? Wróciłaś? Tutaj? – powiedział pradziadek wściekły.

– Oczywiście, że wróciłam „tutaj”. To przecież mój dom!

Weszła z walizkami… I na tym konflikt się skończył.

Tacy byli. Oboje mieli ognisty charakter i wulkaniczny temperament. Za każdym razem, kiedy widzę wulkany Agua i Fuego[24], myślę o babci i dziadku…

Powróćmy do Paryża, gdzie zostawiliśmy pradziadka przygotowującego się do konkursu.

Stawił się po raz drugi na egzaminy. Zdawał trzy egzaminy pisemne. Łatwo sobie wyobrazić jego radość, gdy się dowiedział, że został oceniony pozytywnie i zakwalifikowany do następnego etapu.

To pozwoliło mu przystąpić do straszliwego egzaminu ustnego, który trwał… pięć minut!

I na tym się skończyła jego druga próba zostania studentem-rezydentem.

Po raz trzeci zamknął się z książkami w swoim pokoju. Minęły miesiące i w końcu, w 1927 roku, znów udał się na egzamin. Za trzecim podejściem zdał trzy egzaminy pisemne i dopuszczono go do egzaminu ustnego, który również zdał, uzyskując 56 punktów. Był już studentem-rezydentem! Nareszcie!

Chociaż w rzeczywistości był tylko „tymczasowym rezydentem”, dlatego że, aby otrzymać tytularną rezydenturę, potrzebował 56 i… pół punktu.

Pół punktu więcej, pół punktu mniej, w każdym razie „wstąpił” już do paryskich szpitali. W tym okresie

odwiedził go jego przyjaciel Miguel Ángel Asturias, który zrobił z nim wywiad dla *El Imparcial*[25], opublikowany w Gwatemali niewiele później.

„Ostatni tryumf Ernesto Cofiño – pisał Asturias – sprawił, że oderwałem go od jego zajęć, odwiedzając go, co obiecywałem mu od mojego przyjazdu do Paryża i czego do tej pory nie mogłem zrobić. Odwiedziłem go w jego mieszkanku przy ulicy Smoczej[26] i po długim powitaniu powiedziałem do niego:

– Przychodzę, żebyśmy rozmawiali nieprzerwanie przez tysiąc pięćset nocy.

– Bardzo chętnie, bracie – odpowiedział mi – ale o czym będziemy rozmawiać tyle czasu?

– O tobie…

– O mnie?

Usiedliśmy na ciemnoniebieskiej kanapie i powtórzyłem mu, że będziemy rozmawiać o nim, o doktorze Ernesto Cofiño, o studencie-rezydencie paryskich szpitali.

– Pamiętasz…

– Żadnego «pamiętasz» – przerwałem mu. Wspomnienia interesują jedynie nas obu, a ja przychodzę zrobić z tobą wywiad. Chcę, żeby czytelnicy z Gwatemali (czy pamiętasz o Gwatemali?) wiedzieli, że jesteś pierwszym Gwatemalczykiem i – po doktorze De Bayle – pierwszym mieszkańcem Ameryki Środkowej, który osiągnął prestiżowe stanowisko rezydenta.

– Ale za jaką cenę, bracie. Najlepsze lata mojego życia poświęciłem, by otrzymać wymarzoną rezydenturę. Zawsze uważałem, że naukowy tytuł uniwersytecki z Paryża jest bardzo zaszczytny, ale o wiele

zaszczytniejsza jest kategoria rezydenta […].

– Twój tryumf napełnia mnie entuzjazmem – mówiłem dalej. – To zdecydowane stwierdzenie w ustach gwatemalskiej młodzieży. Jeżeli chcemy zastąpić starych, musimy być zdolniejsi niż oni. A nad czym pracujesz obecnie?

– Kieruję oddziałem w szpitalu dla chorych dzieci”.

Przyszły noblista przedstawiał dziadka jako wzór do naśladowania dla młodych Gwatemalczyków. Nie chciał, żeby uważano go za ideał osiągalny tylko dla uprzywilejowanych umysłów, i kończył zbolałym tonem:

„Nie chciałbym, żeby czytając i komentując ten wywiad mówiono: Cofiño jest bardzo inteligentny. Dlatego, że dobrze wiemy, iż w Gwatemali wszyscy przeciętniacy

cieszą się sławą inteligentnych. Chciałbym czegoś więcej. Chciałbym, żeby czytelnik powiedział: to człowiek bardzo pracowity, to wielka wola w służbie normalnego mózgu. Powinniśmy się zgodzić, że Cofiño dotarł tam, dokąd zamierzał, nie tylko dzięki swojemu rozumowi, ale również dzięki swojej woli, pracy i poświęceniu – cnotom, których potrzeba w krajach, gdzie szarlatan wzbudza zachwyt, a przeciętniak peroruje na temat dziedzin, których nie zna albo które zna ledwie powierzchownie”.

Dziadek podjął największy wysiłek przygotowując się do konkursu na rezydenta, poświęcając temu ideałowi najlepsze lata swojego życia, jak powiedział swojemu przyjacielowi Asturiasowi. Po latach, kiedy denerwowałem się moimi egzaminami na uniwersytecie, mówił mi, że on – będąc już żonaty –

cierpiał niekiedy w nocy śniąc koszmary i budził się zlany potem…

– Co ci się stało, Ernesto? – pytała go babcia.

– Śniło mi się, że znowu mam egzamin…

Zaczął pracować w szpitalu dla chorych dzieci przy rue de Sèvres, który nadal działa. Można jeszcze spacerować po wielkiej centralnej alei na jego terenie, po której bokach rosną rzędy kasztanowców, między pawilonami pomalowanymi na biało. Tam praktykował medycynę obok wybitnych postaci francuskiej pediatrii.

Warto było poświęcić tyle wysiłku. „Być rezydentem – mówił – to być bardzo blisko ordynatora, patrona, jak go nazywaliśmy, czując do niego doskonale połączone czułość, szacunek i wdzięczność. Było z tym związane również odczuwanie

satysfakcji z powodu bycia odpowiedzialnym, odbywania obchodu, bycia «małym szefem». Rezydenci pełnili dyżury, robili badania przy boku wielkich specjalistów, przebywali stale przy chorych […] i wszystko to budowało w nich wspaniałą teoretyczną i praktyczną formację”.

W ciągu tego samego 1927 roku dziadek opublikował z Jeanem Hutinelem, laureatem złotego medalu Wydziału Medycyny i lekarzem honorowym szpitala dziecięcego od 1921 roku, studium na temat zapalenia otrzewnej. Rok później opracował inne studium, tym razem z Mozerem, na temat szczepionki przeciwko błonicy.

Współpracował z *wielkimi:* z Pierre’em Nobécourtem, laureatem prestiżowej nagrody w dziedzinie medycyny w 1898 roku i szefem kliniki szpitala od 1914 roku, z

Aviragnetem i z Pierre'em Lereboulletem, laureatem złotego medalu Wydziału Medycyny i profesorem nadzwyczajnym patologii wewnętrznej. Pracował też razem z Robertem Debré, szefem kliniki, który według historyków medycyny stał się „najznakomitszym spośród francuskich pediatrów XX wieku i jednym z czołowych lekarzy na świecie".

Robert Debré był szczególną osobowością. Wysoki, chudy, o kanciastym obliczu, gęstej brodzie i orlim nosie. Pochodził z Sedanu, miasta położonego przy granicy z Belgią. Był wówczas w szczytowym okresie swojego życia zawodowego. Szczególnie podziwiano go za wykłady z bakteriologii na Wydziale Medycyny, za kursy pediatrii w szpitalu i za prace badawcze.

Miał zupełnie niekonwencjonalne – wśród lekarzy – humanistyczne

wykształcenie uniwersyteckie. Po ukończeniu liceum studiował filozofię. Był uczniem Charlesa Péguy, a także przyjacielem intelektualistów, jak Jacques Maritain, i poetów, jak Paul Valéry. Dwa lata po uzyskaniu magisterium z nauk humanistycznych postanowił – ku powszechnemu zdziwieniu – „zamienić książki na ludzi i myślenie na działanie", po czym zaczął studiować medycynę.

Debré był niestrudzonym badaczem, światłym i tolerancyjnym, o cudownej żywotności i pamięci, człowiekiem upartym, kreatywnym i nowatorskim, o głębokiej wrażliwości na problemy najbardziej potrzebujących. Kiedy dziadek go poznał, był on związany z Instytutem Pasteura i kierował ważnymi badaniami w dziedzinach bakteriologii i anatomii patologicznej. Skupił się na badaniach pediatrycznych,

wprowadzając w życie radę, którą dawał swoim studentom:

„Trzeba dokonać desperackiego wysiłku – i to wyrażenie nie jest przesadzone – żeby być na bieżąco we wszystkich dziedzinach medycyny dziecięcej”.

Dziadek utrzymywał z nim bardzo intensywne relacje zawodowe. Debré kierował pracą doktorską dziadka i był jego mistrzem w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Ze swej strony zawsze darzył dziadka wielką sympatię, którą zwykł był okazywać na zewnątrz, co było rzeczą niezwykłą, ponieważ, zgodnie z tym, co się opowiada, z zasady odnosił się do ludzi z rezerwą i z dystansem.

Z duchowego punktu widzenia podążali różnymi drogami. Debré wzrastał w intensywnie religijnym klimacie rodzinnym. Jego ojciec był wielkim rabinem izraelskiej społeczności w Neuilly. Jednak już w

młodości Robert porzucił wiarę swoich ojców. „A ty jaką religię wyznajesz?” – zapytała go jego siostra, kiedy miał piętnaście lat. „Jestem poganinem!” – odpowiedział.

W przeciwieństwie do niego dziadek przeszedł od pozornej duchowej atonii[27] we wczesnej młodości do stopniowego zbliżania się do Boga. Na temat tej „atonii” istnieją różne opinie. Jedni zapewniają, iż słyszeli, jak mówił, że kiedy mieszkał w Paryżu, to – wierny pouczeniom prababci – uczestniczył w niedzielnych mszach świętych. Inni z kolei twierdzą, że w tym czasie nie chodził na msze święte, ponieważ był bardzo skoncentrowany na swojej pracy; pozostawał jednak człowiekiem wierzącym, żył w czystości i postępował dobrze.

Nie wiem, co o tym myśleć, ponieważ nie zwykliśmy rozmawiać z moim ojcem o przeszłości, mam jednakże

wrażenie, że w tych latach zaniedbywał trochę swoje życie duchowe. Według cioci Clarity postanowił pozostać w Paryżu między innymi z tego powodu, że zakochał się w pewnej Francuzce.

Pozostać w Paryżu? To nie mieściło się w planach pradziadka, który nadal pisał raz w tygodniu list do swego syna. Dziadek próbował odpowiadać mu z tą samą częstotliwością, ale kiedy zaczął pracować w szpitalu, nie było już możliwe utrzymanie takiej systematyczności, przy pewnej okazji wysłał więc swojemu ojcu dziesięć listów naraz.

Pradziadek odpowiedział mu odwrotną pocztą:

„Kochany Synu,

Nie zadawaj sobie trudu, żeby pisać naraz dziesięć listów. Widziałem, że wszystkie mają ten sam datownik”.

I zdecydował, że przywiezie dziadka z powrotem do Gwatemali.

Jak postanowił, tak zrobił. W 1929 roku wsiadł z ciotkami Claritą i Maríą na parostatek firmy przewozowej Hamburg-American Lines i udał się do Paryża.

Przez miesiąc płynęli do Amsterdamu. Ciotka Clarita wspomina, że w Europie była przepiękna pogoda i że holenderski krajobraz z wiatrakami i polami pełnymi tulipanów ich zachwycił.

Z Holandii udali się do Paryża i zamieszkali z dziadkiem w hotelu, naprzeciwko kościoła *Saint-Germain-des-Prés*. Ciotka Clarita ma wyrytą w pamięci postać dziadka w wieku trzydziestu lat, spacerującego po bulwarach Dzielnicy Łacińskiej: „Wysoki, szczupły, elegancki, o jasnych oczach i wesołym charakterze, bardzo wesołym! […] I

niekiedy złośliwy, chociaż z czasem stopniowo złagodniał”.

Ciotki były młodziutkie i dziadek postanowił zabrać je do opery, żeby poznały *le grand monde*[28]. Ponieważ nie mogły iść byle jak ubrane, kupiły sobie wieczorowe suknie. Potem jednak – nie wiem, co było tego przyczyną – pradziadek się rozgniewał i powiedział: „Z opery nici!”.

– I co teraz zrobimy z sukniami? – skarżyły się zapłakane ciotki.

– Założycie je w Gwatemali! – powiedział pradziadek.

Być może pradziadek nie chciał, żeby jego córki zakochały się w ludziach Paryża, jak to przydarzyło się jego synowi Ernesto. Według ciotki Clarity pradziadek był gotów przywieźć go tutaj za wszelką cenę i ujawnił jej plan, który zamierzał wykonać. Miał z córkami pojechać do Hiszpanii, a

po miesiącu, kiedy wrócą, dziadek miał już posiadać doktorat! Taki warunek postawił swemu synowi.

Wyobrażam sobie odpowiedź dziadka. Jakby pracę doktorską można było napisać i obronić w tak krótkim czasie!

Swoje europejskie *tour* rozpoczęli od Infiesto, w *„poszukiwaniu korzeni”*, a następnie pradziadek obwoził córki po Andaluzji. Zawiózł je do Sewilli, żeby zobaczyły doroczną wystawę powszechną, a po miesiącu, jak zamierzał, wrócili do Paryża.

– Już się obroniłeś? – zapytał go pradziadek tuż po przybyciu.

Oczywiście dziadek jeszcze się nie doktoryzował.

Wówczas pradziadek postanowił… zostać choćby cały rok w Paryżu, w oczekiwaniu, aż dziadek pracę doktorską obroni!

W ten sposób opowiada tę historię ciocia Clarita. Jeśli chodzi o francuską narzeczoną… Nie mam pojęcia, jak było naprawdę. Być może jest w tej sprawie coś z literatury, być może nie. Być może jest w tym pewne upodobanie do wyobrażania sobie romansów tam, gdzie ich nie było… Przecież obie ciocie były wówczas młodziutkimi dziewczynami… Ja mogę Wam tylko powiedzieć, że dziadek twierdził, iż zawsze chciał się ożenić z Gwatemalką, a w Paryżu jest niewiele Gwatemalek…

Czy historia o francuskiej narzeczonej jest prawdziwa, czy nie, to opowieść cioci Clarity wiernie oddaje charakter dziadka – pracowitego i odpowiedzialnego, a także pradziadka – upartego jak mało kto, człowieka wybitnie „starej daty”.

Wspominając pradziadka często myślałem, że to dobry przykład tego,

jak Bóg posługuje się nawet naszymi wadami i ograniczeniami, żeby realizować swoje plany zbawienia. Przecież gdyby nie ten upór i autorytarny charakter pradziadka, wątpię, czy dziadek powróciłby tak szybko z Paryża.

Dziadek obronił swoją pracę doktorską, napisaną pod kierunkiem Roberta Debré, 6 listopada 1929 roku. Miała ona niezwykle interesujący naukowy temat: *wrażliwość na tuberkulinę u dzieci po otrzymaniu szczepionki BCG*. Udowodnił w niej, że podawana doustnie szczepionka jest w stanie wywołać pozytywną reakcję tuberkulinową. Nie mogę Wam powiedzieć o tej pracy wiele więcej, dlatego że nie jestem lekarzem.

Praca doktorska dziadka została odznaczona srebrnym medalem Wydziału Medycyny. Srebrny medal! Był to ogromny zaszczyt.

Z obronioną – i to z tak znakomitym efektem – pracą dziadek postanowił pod koniec 1929 roku opuścić Paryż. W owym roku w mieście odbyło się ostatnie pożegnanie marszałka Ferdinanda Focha, bohatera pierwszej wojny światowej, z wielkimi uroczystościami pogrzebowymi. Umieszczono wielki katafalk pod Łukiem Tryumfalnym i zorganizowano defiladę na jego cześć. Orszak uroczyście wkroczył do katedry Notre-Dame przy dźwięku trąbki i w świetle pochodni.

Wydawało się, że groźba wojny zniknęła na zawsze…

Dziadek napisał, że „był optymizm w atmosferze i nadziei, że ten wandalizm się nie powtórzy. Była to tylko nadzieja…!”.

Złudzenie. Szybko się okazało, jak mówił pisarz z epoki, że tamto szalone miasto „latami tańczyło na wulkanie”.

I… na dzisiaj wystarczy. Bardzo się rozpisałem. Innego dnia będziemy kontynuować tę historię.

Z wielką miłością

Tatuś

ROZDZIAŁ III

15 września 1999 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Chwytam ponownie za pióro. W 1929 roku, siedemdziesiąt lat temu, dziadek powrócił do Gwatemali. Nie znalazłem nigdzie dokładnej informacji, w którym to było miesiącu. Ciotka Clarita wspomina tylko, że ona i ciocia María przy powitaniu „miały na głowie bereciki w hiszpańskim stylu”. Musiało to być w grudniu, dlatego że dyplom doktorski nosi datę 8 listopada.

Pewną wskazówkę stanowi też zachowany zapisek. Dziadek pisał:

„Kończył się rok 1929. Przybyłem po długiej podróży statkiem, po jedenastu latach rozłąki. Odżyła moja miłość do rodziny, do ziemi, do naszych zwyczajów […], ale równocześnie nie znikła tęsknota za Paryżem”.

Ta tęsknota za Paryżem i za Francją towarzyszyła mu przez resztę życia. Nigdy nie zapomniał o kraju, wobec którego – jak mówił – zaciągnął „dług miłości, który wciąż jest dla mnie świeży, jak konwalia, kwitnąca wiosną w Paryżu”.

Przez owych jedenaście lat miasto Gwatemala potroiło liczbę mieszkańców (do 250 tysięcy), ale nadal zachowało wiele starych tradycji. Życie towarzyskie, na przykład, koncentrowało się nadal wokół salonów, gdzie odbywały się długie wieczorne spotkania, podczas których śpiewano przy

akompaniamencie fortepianu albo akordeonu.

Miasto podniosło się po trzęsieniach ziemi z przełomu lat 1917 i 1918. Odbudowano na przykład wieże katedry. Dziadek jednak uważał, że pozytywne zmiany następowały zbyt wolno, gdyż pisał z bólem: „Był niemal marazm; od kiedy stamtąd wyjechałem, rozwój był pozorny”.

Jego przyjaciele zaznajomili go z aktualną sytuacją. Nie obchodzono już minerwaliów, jak w czasach Estrady, chociaż pozostało upodobanie do defilad (które trwa zresztą nadal). Prezydentem był Lázaro Chacón, wojskowy ze wschodniej Gwatemali, a klimat polityczny nadal był niestabilny. We wrześniu tamtego roku wybuchło powstanie, stłumione po kilku tygodniach, co spowodowało, że w kraju do marca obowiązywał stan wojenny.

Niektórzy dziwili się, widząc dziadka ponownie w ojczyźnie. Po co wracał? W Paryżu był już „ustawiony”, a tutaj… Wskaźnik analfabetyzmu był bardzo wysoki. Brakowało szkół i książek. Nauczycieli, zresztą z reguły źle przygotowanych i jeszcze gorzej wynagradzanych, także było za mało.

Jeśli chodzi o uniwersytet, to nie ma o czym mówić. Przy próbach porównania z paryskim byłoby lepiej, żeby zapomniał o Sorbonie! Nie było specjalistów z dziedziny radiologii. Szpital Generalny nie miał pawilonu do izolowania chorych zakaźnie…

Mimo znakomitego naukowego przygotowania dziadka jego zawodowe początki w Gwatemali nie były drogą usłaną różami, ponieważ we Francji mógł być tym, kim był, ale tutaj był nikim…

Nikim, który w trzydziestym pierwszym roku życia pragnął uniezależnić się finansowo. Co robić?

– Ernesto – powiedział jego starszy brat, wuj Chepe – wynajmij klinikę w dobrym miejscu, a ja ci pomogę. Zapłacisz mi, kiedy będziesz mógł!

Założył klinikę, w której pełen nadziei umieścił przy drzwiach metalową tabliczkę z napisem: „Ernesto Cofiño. Lekarz”. Założył długi biały fartuch – jeden z tych dawnych fartuchów, które sięgały prawie do ziemi – i zabrał się do przyjmowania pacjentów.

Jednakże pacjenci nie przychodzili. Kiedy wuj Chepe się o tym dowiedział, zaczął dzwonić do swoich przyjaciół:

– Iksiński, zrób mi przysługę: pójdziesz do kliniki mojego brata i poprosisz go, żeby cię zbadał.

– Ależ ja się świetnie czuję!

– Nie szkodzi. Niech cię zbada na cokolwiek. Masz, weź te quetzale i zapłać nimi za wizytę. I niech ci nie przyjdzie do głowy mówić, że to ja cię namówiłem!

I tak, z pomocą wuja Chepe i dzięki własnej ciężkiej pracy, dziadek zbudował sobie prestiż. Brał 25 centavos za wizytę w klinice. Odbywał też wizyty domowe. Leczył pacjentów z wszelkich chorób, nie tylko „dziecięcych”.

W Gwatemali nie było do tej pory wyspecjalizowanych lekarzy pediatrów. Dziecko uważano za dorosłego w miniaturze i niektórzy medycy ze „starej szkoły” przyjęli nowego kolegę źle. Mówili: „Czegóż mnie może nauczyć ten młodzieniaszek? Mnie, praktykującego dziesiątki lat?”. Pediatria gwatemalska opierała się na wiedzy z początków wieku… A on

przybywał z jednego z najnowocześniejszych szpitali świata!

Stopniowo torował sobie drogę pośród tysiąca trudności. Pierwsze kroki w zawodzie nie były łatwe. Manuel Tilve opowiada, że niektórzy stawiali przed nim przeszkody, zanim jeszcze uzyskał w Gwatemali prawo wykonywania zawodu. Żeby praktykować, musiał ponownie zdać egzamin. Stało się to 28 lutego, a po czterech dniach, 4 marca 1930 roku, jednogłośnie przyznano mu prawo wykonywania zawodu.

W 1931 roku został czynnym członkiem Towarzystwa Ochrony Dziecka, instytucji prywatnej utworzonej przez różnych lekarzy w celu opieki nad ubogimi dziećmi. Towarzystwo zbudowało w 1928 roku ambulatorium z 12 łóżkami, które nazywano „szpitalikiem”.

W 1932 roku mianowano go szefem kliniki Oddziału Medycyny Dziecięcej Szpitala św. Jana Bożego. Nadal publikował prace badawcze na temat chorób dziecięcych, niedożywienia i gruźlicy.

Tymczasem skomplikowała się sytuacja polityczna. Generał Chacón 10 grudnia 1930 roku miał wylew krwi do mózgu, a dwa dni później Rada Ministrów wyznaczyła na tymczasowego prezydenta Baudilia Palmę.

Wykorzystując koniunkturę, różne grupy polityczne próbowały obalić istniejący reżim. W stolicy doszło do krwawych walk, w których zginął Maurio de León, wiceprezydent, a Palma ocalił życie, chroniąc się w poselstwie niemieckim.

17 grudnia 1930 roku zastąpił go – jako tymczasowy prezydent – generał Manuel Orellana. Po nim funkcję tę pełnił José María Reina Andrade.

Zarządził on wybory, w których wyniku do władzy doszedł inny generał, Jorge Ubico. W jednym ze swoich pierwszych dekretów zniósł on, i tak już ograniczoną, autonomię uniwersytetu, aby „zapobiec propagowaniu idei dywersyjnych”. Zastosowanie takiego środka odzwierciedla jego idee polityczne.

Jednak o Ubico będziemy mówić potem. Teraz porozmawiajmy na inny temat, ponieważ życie nie ogranicza się do pracy i polityki.

Dziadek był dobrze sytuowanym trzydziestolatkiem o nienagannej prezencji. Stanowił, jak się kiedyś mówiło, „dobrą partię”. Był młody, sympatyczny, pracowity i miał przed sobą obiecującą przyszłość. Pragnął się ożenić, ale brakowało mu czasu na szukanie kandydatki na narzeczoną, dlatego że zawsze był zajęty swoimi pacjentami…

Aż pewnego dnia, w grudniu 1930 roku, kiedy rozmawiał w aptece z pewnym przyjacielem, Rafaelem Barnoyą – kawalerem jak on – zobaczył przechodzącą 6. aleją może dwudziestoletnią dziewczynę, wysoką, o czarnych włosach i bardzo ładnych oczach.

– Cześć, Clemencia! – powiedział Rafael.

– Cześć, Rafael! – odpowiedziała z niejaką nieśmiałością, przechodząc w oddali.

Dziadek patrzył na jej twarz. Widział, że jest taka powściągliwa, tak bardzo poważna…

– Któż to?

– Nie znasz jej? Clemencia Samayoa.

Kiedyś w określonych środowiskach znali się wszyscy. Ciotka Uca opowiada, że po nazwisku

natychmiast cię kojarzyli: „Aha, Iksiński! To syn tego i kuzyn tamtego!”. Przyjaciel dziadka, Rafael, zapewne opowiedział mu, że Clemencia to młoda nauczycielka z Quetzaltenango, że jej siostra nazywa się Uca i że…Ale najlepiej będzie, żebym przepisał Wam to, co ciotka Uca zapisała na temat tego spotkania.

„– Jaka piękna dziewczyna! – krzyknął Ernesto na jej widok (i była to prawda, ponieważ Clemencia była śliczną dziewczyną, drobniutką, malutką, niższą niż ja, chociaż byłam od niej o cztery lata młodsza, i miała piękne oczy, o głębokim i pogodnym spojrzeniu). – Posłuchaj, Rafael – powiedział. – Ze wszystkich dziewcząt, które tędy przechodziły, to pierwsza, która nie kokietuje mężczyzn… Czy nie mógłbyś mnie jej przedstawić?

– Z miłą chęcią – powiedział Rafael – ale nie powiem przecież, żeby

przyszła się tu z tobą zobaczyć. Będziemy musieli poszukać jakiejś okazji. A właściwie… dlaczego nagle tak się nią zainteresowałeś?

– Dlatego, że przeczuwam, Rafael… Przeczuwam, że ożenię się z tą dziewczyną!

Zbliżał się Nowy Rok, a był wówczas zwyczaj, że spędzano Sylwestra w Klubie Niemieckim, na uroczystym balu.

– Skoro chcesz – powiedział Rafael, dosyć zdziwiony – pójdziemy do Klubu Niemieckiego i jeżeli ona przyjdzie, a prawie zawsze przychodzi, przedstawię cię…”.

I poszli na bal do Klubu Niemieckiego, znajdującego się na rogu 11. ulicy i 5. alei strefy 1 i bardzo znanego z wieczorków z kameralnymi koncertami, które organizował. Ciotka Uca opowiada dalej:

„– Tam jest! Widzisz? – powiedział Rafael do Ernesto, kiedy nas zobaczył. – Przyszła! A nie mówiłem?

Był to bal z innych czasów… Muzyka, którą lubiliśmy, była bardzo rytmiczna i przyjemna, bez tych obecnych skoków i krzyków. Wszystko odbywało się zgodnie z zasadami etykiety: ze spokojem, bez pośpiechu… Przetrwały niektóre zwyczaje o europejskim rodowodzie – to, co jeszcze nam pozostało z Hiszpanii… Na przykład etykieta nakazywała, żeby pary zmieniały się przy każdym tańcu.

Po zakończeniu jednego z tańców Rafael podszedł do nas i powiedział:

– Clemencia, przedstawiam ci mojego przyjaciela Ernesto, który właśnie przybył z Francji, gdzie został lekarzem na Sorbonie.

Tak jakbym go widziała: wysoki, przystojny, postawny, elegancki, ze

sztywnym kołnierzykiem o niepokalanej bieli, wystającym ponad ciemny krawat, z owym tak szczególnym uśmiechem i *savoir-faire*[29]…

– Zatańczy pani ze mną? – zapytał Ernesto. Clemencia zgodziła się, jak zwykle w takiej sytuacji; była pełna prostoty i zachowywała pewien dystans. Właśnie skończyłam szesnaście lat i obserwowałam uważnie tę scenę.

Zaczęli tańczyć. Tworzyli całkowity kontrast. Ona była dwudziestolatką, niemal nastolatką, a on – dojrzałym mężczyzną po trzydziestce. Ona była nieśmiałą nauczycielką z Quetzaltenango, on – przyszłą nadzieją w dziedzinie medycyny, laureatem srebrnego medalu paryskiego uniwersytetu! Ona nie znała prawie nic, on zaś był człowiekiem światowym i widać to było u niego we wszystkim: w

sposobie przedstawiania się, wypowiadania, uśmiechania…

Na koniec Ernesto zapytał ją, czy po zmianie pary poświęci mu najbliższy taniec. I tańczyli następny i następny, i następny – co drugi, zgodnie z etykietą. I zawsze przy ostatnim takcie Ernesto mówił do niej:

– Tutaj, w tym miejscu, będę na panią czekał. Proszę poświęcić mi następny taniec…

I czekał na nią, nie ruszając się ze swojego miejsca, jak uczeń. Oczywiście, uczeń z dawnych czasów! Owej nocy rozmawiali o tysiącu spraw: ona mówiła o kolegium Minerwy, gdzie się uczyła, on zaś o Sorbonie i o wielkich miastach, które poznał…

Była olśniona. Jest to zrozumiałe: między nimi było jedenaście lat różnicy (on był z 1899, a ona z 1910 roku); była prawie dziewczynką.

Była do tego stopnia dziewczynką (obie byłyśmy dziewczynkami), że nie później niż o dwunastej musiałyśmy być w domu. On poprosił ją, żeby zatańczyć kolejny raz, ale Clemencia, patrząc na zegarek, powiedziała bardzo poważnie:

– Ja się już pożegnam. Dobrej nocy!

– Proszę jeszcze nie odchodzić, proszę poczekać, panno Clemencio.

– Bardzo mi przykro, ale w domu oczekują nas przed dwunastą.

– A gdzie będę mógł panią znowu zobaczyć?

Cała ta opowieść jest tak romantyczna… Choćby pragnęło się zobaczyć kogoś ponownie, trzeba było odpowiedzieć w takiej sytuacji z pewnym lekceważeniem, jakby z zupełną obojętnością… Były to lata trzydzieste XX stulecia, a mnie

wydaje się to sceną z romantycznej powieści z XIX wieku. Jednakże nasze pokolenie, w Gwatemali, było wychowane w ten sposób. Co za czasy! Wydawaliśmy się ludźmi z innej epoki i być może nimi byliśmy, dlatego że żyliśmy w świecie tak odmiennym od dzisiejszego.

Ona nie mogła powiedzieć, że nie, ponieważ była oczarowana (uważam, że na tym balu zakochali się w sobie wzajemnie), ale nie mogła również powiedzieć, że tak, dlatego że gra polegała na tym, by dać się prosić, na tym, by zmuszać do czekania… A zatem odpowiedziała mu:

– Zobaczymy się gdziekolwiek; spotkaliśmy się przypadkowo i przypadkowo spotkamy się ponownie…

Natomiast trzy dni później (wiem to wszystko dlatego, że ona mi o tym opowiedziała, a poza tym śledziłam

wszystko bacznym okiem), przy wejściu do szkoły, o czwartej po południu, Ernesto czekał na nią na rogu ulicy jakby był piętnastoletnim uczniakiem. Odprowadził ją do domu, a przy pożegnaniu zapytał:

– Czy jutro mogę panią odprowadzić?

– Cóż… – odpowiedziała Clemencia, udając niezdecydowanie. – Dobrze.

I odprowadzał ją i kolejnego, i następnego dnia do drzwi jej domu – naturalnie nie wchodząc do środka – aż pewnego dnia spotkał się na ulicy z jej tatą, który zapytał: «Doktorze Cofiño! Co pana tutaj sprowadza?». I tata Clemencii, zgodnie z etykietą, zaprosił go do domu. Clemencia była przerażona.

Zawołano mamę – mnie nie, miałam szesnaście lat i się nie liczyłam – i od tej chwili Ernesto zaczął przychodzić do naszego domu. Rozpoczęły się przejażdżki tym jego pięknym

packardem (teraz nie ma już tej marki) – samochodem, który podarował Ernesto jeden z jego braci.

Była to pierwsza miłość. Dla niej, naturalnie! Dla Ernesto, oczywiście, nie…”.

Co chciała przekazać ciotka Uca, pisząc: „dla Ernesto, oczywiście, nie”? No cóż… Nie wiem. O tym nigdy z dziadkiem nie rozmawiałem. Powiedział mi tylko raz, kiedy byłem narzeczonym mamy, że najpiękniejszym okresem w życiu kobiety jest narzeczeństwo.

Bardzo się między sobą różnili, chociaż pod pewnymi względami byli do siebie niezwykle podobni. Byli bardzo nowocześni jak na ich czasy: śmiali, przedsiębiorczy, bez przesądów, tolerancyjni, wykształceni… Babcia należała do wybitnych uczennic szkoły Minerwy w Quetzaltenango, dokąd

uczęszczały panny z „najlepszych rodzin” w mieście.

Mówiłem Wam już, że w tamtym czasie było rzadkością, by kobieta studiowała. Wielu uważało, że jeżeli panie umieją zajmować się domem i grać na fortepianie, jest to wystarczające. „Jednakże Clemencia była inna – opowiada ciotka Uca – i zawsze pragnęła się uczyć, rozwijać się, być użyteczną […]. Była jedną z niewielu uczennic, jeśli nie jedyną, wśród swoich koleżanek, która uzyskała magisterium”.

Dziadek chciał się żenić natychmiast, po dwóch miesiącach, „ponieważ był zawsze bardzo niecierpliwy” – pisze ciotka Uca.

Musiał być trochę niecierpliwy, ale nie działał na łapu-capu. Lubił robić wszystko we właściwym czasie. Podziwiałem to, że w latach osiemdziesiątych nadal używał maszyny Remington Portable – tej

samej, na której napisał swój doktorat ponad pięćdziesiąt lat wcześniej, na dodatek utrzymywaną w doskonałym stanie. Za każdym razem, kiedy kończył pisać, chował maszynę ze spokojem i ostrożnością do futerału. I tak postępował ze wszystkim.

Sądzę, że chciał ożenić się natychmiast nie z powodu niecierpliwości, tylko dlatego, że był przekonany, iż odnalazł kobietę swojego życia: przepiękną dziewczynę, o czystych obyczajach, wykształconą, łagodną, inteligentną.

Musiał jednak poczekać dość długo, ponieważ 11 listopada 1932 roku umarła po długiej chorobie w wieku 66 lat prababcia Clotilde.

Prababcia prosiła, żeby na znak pokory po śmierci położono jej ciało na podłodze. Nie chciała wystawnego pogrzebu. To tłumaczy, że kiedy moja mama przybyła do domu, żeby

złożyć kondolencje, widząc prababcię w takim stanie, a nie znając przyczyny, czyniła dziadkowi wyrzuty, ponieważ wydawało jej się to brakiem miłości do matki…

Pochowano ją na Cmentarzu Głównym. Za każdym razem, kiedy idę pomodlić się przy jej grobie, proszę, żeby wstawiała się za nami, ponieważ prababcia Clotilde poprzez swoją wiarę i męstwo była chrześcijańskim fundamentem dziadka i całej naszej rodziny.

Kontynuujmy naszą historię. Zostawiliśmy dziadka i babcię tuż przed ich ślubem. Jak nakazywała tradycja, dziadek „przygotowywał dom dla narzeczonej”, wspomagany przez swoich braci. Kiedy się tym zajmował, babcia zachorowała na dur rzekomy, chorobę wówczas z reguły śmiertelną.

Wyobraźcie sobie jego ból i przygnębienie. „Najpierw moja

matka – musiał pomyśleć – a teraz narzeczona”. Dołożył wszelkich starań, by ją ratować. Udał się do najlepszych specjalistów. Modlił się…

Owe nieszczęścia oczyściły jego duszę i miłość do Chrystusa zawładnęła jego sercem, coraz bliższym Krzyżowi.

Babcia została wyleczona i wreszcie, po długiej rekonwalescencji, 21 maja 1933 roku narzeczeni pobrali się w kaplicy Hospicjum Państwowego. Był to „dzień nadzwyczaj gorący – wspomina ciotka Uca. – Ona szła niezwykle piękna w swojej zwiewnej sukni, a on u jej boku wydawał mi się bardziej niż kiedykolwiek wielkim panem”.

Świeżo poślubieni zamieszkali na rogu 13. ulicy i 2. alei strefy 1, w bardzo nasłonecznionym dwupiętrowym domu, z podwórzem, jak wspomina ciotka Uca,

porośniętym jaśminami, geranium i azaliami.

W tym domu, znajdującym się bardzo blisko Wydziału Medycyny, „zadebiutowało” wiele spośród tych mebli: biurko, przy którym piszę, fotele z lwami z salonu, biblioteka, salonik przy wejściu w stylu Ludwika XV, cała jadalnia, zegar z wahadłem, który był ślubnym prezentem od pradziadka…

Tam dziadek założył swoją prywatną klinikę. Kuzynka Mercedes opowiada, że ściany przychodni miał udekorowane zdjęciami dzieci, które leczył. Wysyłali mu je wdzięczni rodzice.

Dziadkowie byli bardzo szczęśliwi w małżeństwie i od początku wspaniale się rozumieli.

„Miał bardzo dobry charakter – pisze ciotka Uca. – Był sympatyczny, wesoły, energiczny. Był dobrym

człowiekiem, ale wychowanym po dawnemu. Wówczas mężczyzna był królem i panem domu, i robiono wszystko to, co powiedział. To zaś, co powiedział, stanowiło ostatnie słowo…

Niemniej jednak nie było między nimi problemów, dlatego że bardzo ją kochał i starał się zawsze utrzymywać ją w jej środowisku, bardzo zadbaną, bardzo dopieszczoną szczęściem.

To ciekawe. Czasami odmienne charaktery się zderzają, innym razem się uzupełniają. Tak właśnie było w tym przypadku. To ona wygładzała stopniowo jego kolce i łagodziła jego wady. On dominował. Był przyzwyczajony do rozkazywania, tak żeby nikt mu nie szemrał, a ona łagodziła go jednym zdaniem, jednym spojrzeniem.

I tak stopniowo Ernesto się zmieniał… A Clemencia też, dlatego

że u jego boku dojrzała i stała się kobietą. Być może na początku on traktował ją trochę jak córkę, z głębokim uczuciem ojcowskim i opiekuńczym starał się o nią dbać, chronić ją, dlatego że ona była czystą niewinnością, a on… On przybywał bardzo dobrze «wychowany» po swoim długim pobycie w Europie, w Paryżu, gdzie żył życiem, owszem, skromnym i przyzwoitym, ale był wolny jak ptak!

W owych czasach miodowego miesiąca zachwycało go życie towarzyskie. Pójść na tańce, uczestniczyć w wieczorkach i spotkaniach towarzyskich, często bywać w kręgu znajomych, pójść na jeden kieliszek (nie więcej), i zawsze z Clemencią.

W ten sposób zmieniali się oboje – on przystosowywał się do niej, a ona do niego. Na tym właśnie polega małżeństwo: jest to ustępowanie,

nauka kochania drugiej osoby taką, jaka jest, a nie taką, jaką chcielibyśmy, żeby była, oraz wzajemne wspomaganie się w tym, co dobre.

Oni oboje zaś mogli czynić wiele dobra. Clemencia była kobietą mającą wiele zalet. Miała wielkie i hojne serce. Umiała przebaczać, umiała zapominać – co jest w małżeństwie bardzo ważne. Umiała wspierać Ernesto we wszystkim… Co stałoby się z Ernesto, gdyby zamiast spotkać niewiastę, która była w stanie zostać magistrem w dziedzinie pomocy socjalnej, żeby lepiej mu pomagać, zetknął się z lekkomyślną kobietą, która myślałaby tylko o swoich kaprysach, albo z kobietą drażliwą, albo…?

Mówią, że miłość nie polega na patrzeniu sobie w oczy, tylko na umiejętności spoglądania obojga w tym samym kierunku. To właśnie

uczyniła Clemencia: nauczyła się patrzyć w tym kierunku, w którym patrzył jej mąż, i miłowała go, miłując to, co miłował on.

Władczy charakter Ernesto miał drugą stronę medalu: wielkiego ducha samodoskonalenia się. I zaraził nim Clemencię. W początkowych latach po powrocie do Gwatemali Ernesto nie potrafił zbyt dobrze wypowiadać się publicznie, ale z czasem stał się wielkim mówcą – rozkoszą było słuchanie jego wystąpień.

Znał biegle francuski i nigdy nie utracił swojej miłości do Francji, ale ponieważ coraz częściej potrzebował mówić po angielsku, postanowił nauczyć się tego języka i nauczył się go, chociaż nie miał wolnej nawet minuty. Po obiedzie, kiedy był zmęczony po porannej pracy w szpitalu, do domu przychodził nauczyciel. Przypominam sobie, jak

widziałam Ernesto, dzień po dniu, niemal martwego ze zmęczenia i z niewyspania, powtarzającego zdanie po zdaniu, aż opanował ten język.

Żona zaś szła jego śladem. Jako mężatka i matka studiowała, opanowywała kolejne specjalności, towarzyszyła mu w kongresach. I wszystko to czyniła z miłości – żeby być u jego boku, żeby lepiej mu pomagać.

Kiedy się ożenił, na początku był trochę zazdrosny. To naturalne. Jednak później pozwalał Clemencii z całkowitym zaufaniem, żeby podróżowała sama lub z przyjaciółką. Nigdy nie było z tym problemu.

Ona starała się pomagać wszystkim potrzebującym osobom, z którymi się spotykała. On bardziej dbał o to, żeby zostawić swojej rodzinie spory majątek, żeby w przyszłości jego najbliżsi nie mieli problemów

finansowych. Myślał, że umrze wcześniej niż ona i gromadził wszystko, co mógł. Wówczas nie był zbyt hojny.

Jednakże zmieniał się. Dla niej”.

Rodziły się dzieci: stryj José Ernesto – 28 maja 1934 roku, ciotka Clemen – w grudniu 1937 roku, ciotka Sofía – w 1943 roku, stryj Roberto – 21 września 1947 roku. Ciotka Uca opowiada, że dziadek dał swoim dzieciom takie samo wychowanie, jakie otrzymał – wymagające, wręcz autorytarne, nie zdając sobie sprawy, że czasy się zmieniły. Był to nie przejaw braku miłości, tylko efekt wpływu przestarzałej koncepcji wychowania.

„Moim zdaniem w tym się mylił – opiniuje ciotka Uca. – Uważał, że dzieci będą podążać jego śladem z tym samym poświęceniem, co żona. Był przekonany, że wystarczy to wszystko, co dla nich robił –

«zabijanie się» pracą, żeby dać im dobrą szkołę, dobrą sytuację materialną, dobrą przyszłość […]. I nie zdawał sobie sprawy, że bardziej niż tego, co im zapewniał, potrzebowały jego obecności.

To bardzo powszechny wówczas (i obecnie) błąd: przenieść ciężar wychowania dzieci na kobietę. A dzieci w pewnym wieku potrzebują przebywać z ojcem, opowiadać mu o swoich problemach. Szczególnie w okresie młodości. Powinnością ojca jest wtedy «przybyć na czas»… A on nie przybył”.

Rozumiem ciotkę Ukę. My, rodzice, często myślimy, że nigdy dla dzieci nie robimy tyle, ile powinniśmy. Kiedy pojawia się jakiś problem, mówimy: „to moja wina, nie zdążyłem”. I czasami zapominamy, że nasze dzieci są przecież ludźmi swojej epoki, swojej szkoły, dorastającymi pod wpływem swoich

kolegów, kształtowanymi przez cechy swojego charakteru (również swojego złego charakteru), mającymi swoje zalety i swoje wady.

Ja wówczas jeszcze się nie urodziłem i mogę tylko Wam powiedzieć, że moi bracia i siostry pamiętają dziadka jako człowieka zapracowanego, ale jednak zawsze będącego z nimi. Stryj Roberto opowiada, że „czas, który spędzał z nami, był wystarczający, ponieważ zawsze była tam jego obecność”.

Ciotka Clemen pamięta weekendy w San Juan, gdzie uczył dzieci grać w krokieta i jeździć konno. „Czasami pakowaliśmy się do łóżka, w którym leżał – pisze – i wtedy zaczynał się z nami bawić. Mówił nam, że jesteśmy molami i zjadamy kawałek drewna”.

Cóż. Mamy już żonatego dziadka – głowę wielodzietnej rodziny. A teraz… Teraz nie pozostaje mi nic

innego, jak pożegnać się z Wami, dlatego że ten list jest już zbyt długi.

Zatrzymujemy się tutaj, w początkach lat trzydziestych.

Gorąco całuję,

Tata

ROZDZIAŁ IV

Listopad 1999 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Zatrzymaliśmy się w początkach lat trzydziestych, za rządów Ubico – autorytarnego, bardzo kontrowersyjnego przywódcy, znanego jako budowniczy wielu gmachów publicznych. Luján pisze, że w okresie jego władzy „myślano nie o budowaniu szpitali, szkół itp., tylko o budowie Pałacu Policji Państwowej, Pałacu Poczty, Głównego Urzędu Celnego, terminalu lotniczego La Aurora, a przede

wszystkim Pałacu Narodowego, najambitniejszego, «rozbuchanego» dzieła, rozpoczętego w listopadzie 1943 roku”.

Prezydent nadzorował osobiście każdy projekt. Dysponował liczną siłą roboczą, w pewnym stopniu darmową, dlatego że murarzami byli często pijacy schwytani w obławach dokonywanych w weekendy w knajpach, którzy spłacali grzywnę dniami pracy.

Rządy Ubico miały wiele blasków i cieni. Jego najbardziej znany dekret, o numerze 1995, wyzwolił tubylców z sytuacji bliskiej niewolnictwu. Do tego czasu *mozos colonos*[30] żyli podporządkowani swoim panom za pomocą olbrzymich długów, których nigdy nie byli w stanie spłacić. Byli to tak zwani wyrobnicy za długi.

Tym dekretem wszystkie takie długi zostały ostatecznie zlikwidowane. Jest zrozumiałe, że tubylcy nazywali

Ubico *Tata Presidente* i witali go radośnie, kiedy udawał się do różnych miejscowości, nadzorując stan dróg, rozstrzygając spory o ziemię i podejmując wiele innych decyzji, szlachetnych samych w sobie, ale zupełnie mu nieprzysługujących z tytułu sprawowanego urzędu.

Ubico zakazał istnienia związków zawodowych i organizacji robotniczych oraz ustanowił „prawo o drogach” zmuszające mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat do płacenia dwóch quetzali rocznie na utrzymanie i budowę dróg. Posługując się tym prawem ponownie zapewniono państwu siłę roboczą, ponieważ ci, którzy nie mogli zapłacić owych dwóch quetzali, odpracowywali tę kwotę.

Tymczasem dziadek stopniowo rozwijał i pogłębiał swoją duchowość. Troszczył się też o to,

żeby jego dzieci otrzymały chrześcijańską formację i zapisał je do szkół kierowanych przez zakonników. Był to owoc nauk prababci Clotilde i dobrego przykładu mojej mamy.

„Nie byłem złym człowiekiem – mówił mi po latach – ale moje obcowanie z Bogiem ograniczało się w owym czasie do wyznawania «religii towarzyskiej» – religii ślubów i pogrzebów”.

Dziadkowie zwykle chodzili w niedziele na mszę świętą sprawowaną o godzinie dwunastej w katedrze. Podobno dziadek nosił zapakowane w torebkę cukierki dla licznych dzieci z rodzin, z którymi się witał. A któż w owych latach nie znał w stolicy Gwatemali doktora Cofiño?

Opowiadano mi, że 28 grudnia któregoś roku wuj Leonardo – mąż ciotki Uki – spłatał mu wspaniałego figla[31]. Widział go rano podczas

mszy chodzącego z tacą, a w południe zadzwonił do niego i powiedział zmienionym głosem:

– Doktor Cofiño? Dzwonię w imieniu księdza arcybiskupa, z jak największą przykrością i całkowicie dyskretnie, ale proszę się natychmiast stawić, dlatego że nie zgadzają się rachunki z tacy.

Dziadek najpierw się zdziwił, a potem powiedział twardo:

– Słucham? Ja nigdy nie wziąłem niczego, co by do mnie nie należało! Zaraz to wyjaśnię!

Wtedy usłyszał w słuchawce śmiech wuja Leonardo…

W tym czasie dziadek poznał Piedad Garcíę – wyjątkową kobietę, o której opowiem Wam w innym liście. Przedstawiła go ona proboszczowi kościoła św. Sebastiana, kapłanowi, któremu było dane mieć decydujący

wpływ na jego życie – księdzu Mariano Rossellowi.

Ksiądz Rossell (to on wiele lat później udzielił mi Pierwszej Komunii Świętej) był o pięć lat starszy niż dziadek. Urodził się w Esquipulas w 1894 roku, a na kapłana został wyświęcony w 1918 roku. Był wysokim, chudym mężczyzną o przenikliwym wzroku, bardzo gorliwym, który towarzyszył na wygnaniu arcybiskupowi Muñozowi y Capurónowi, wydalonemu z Gwatemali w 1922 roku.

Po pewnym czasie arcybiskup poprosił młodego księdza, żeby powrócił do kraju. Było to bardzo trudne, ponieważ rząd wydał ścisłe rozkazy, żeby zabronić mu wjazdu. Ksiądz Rossell uzbroił się w odwagę, udał się do Meksyku i wjechał pociągiem do ojczyzny przez Ayutlán. Tuż po przejechaniu granicy pociąg wykoleił się. Wówczas, nie

zważając na to, że może zostać rozpoznany, kapłan opiekował się rannymi.

Z miejsca wypadku udało mu się w końcu uciec. Jednakże władze dowiedziały się, że powrócił, i zaczęły wszędzie go szukać. Odnaleziono go w Esquipulas i zaprowadzono stamtąd pieszo do więzienia w Chiquimula.

Po latach, już wolny, przybył do miasta Gwatemala i pracował w wielu parafiach. Wówczas między innymi opiekował się małym sierotą, Mario Casariego, który pracował jako pucybut.

Ksiądz Rossell i dziadek natychmiast się zaprzyjaźnili. Ksiądz stał się nie tylko proboszczem dziadka, ale również jego pacjentem i jednym z najlepszych przyjaciół. I to właśnie on… Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jesteśmy już w 1934 roku, kiedy to mianowano dziadka dyrektorem medycznym Towarzystwa Ochrony Dziecka i „szpitalika”. Dwa lata później, 25 czerwca 1936 roku, otrzymał katedrę pediatrii, a po miesiącu, jak można przeczytać w jego życiorysie – katedrę wychowania dzieci. Był pierwszym profesorem pediatrii w Gwatemali i znano go powszechnie jako ojca gwatemalskiej pediatrii.

Tymczasem, w okresie między 1934 a 1938 rokiem, prezydent Meksyku Lázaro Cárdenas del Río doprowadził do wywłaszczenia zagranicznych przedsiębiorstw naftowych działających w tym kraju, Hiszpania wykrwawiała się w wojnie domowej, Rzesza Niemiecka anektowała ziemie sąsiednich krajów, Japonia wypowiedziała wojnę Chinom…

Ten międzynarodowy kryzys miał swoje konsekwencje również w

Gwatemali. Rząd ściśle nadzorował nauczycieli, adwokatów i lekarzy – ogólnie intelektualistów – których uważał za ewentualne „ogniska wywrotowe” i „pasy transmisyjne idei z zagranicy”.

Dziadek, po doświadczeniu we wczesnej młodości reżimu Estrady, wychowywał się na wolności w Paryżu, nie mógł zatem czuć się komfortowo w owym represyjnym systemie, który ostatecznie zmilitaryzował w 1939 roku wszystkie szkoły średnie. Gęste sieci szpiegów ponownie zaczęły kontrolować przekazy telegraficzne i korespondencję Gwatemalczyków.

Dziadek postępował roztropnie, w zależności od sytuacji, ale bez żadnej służalczości. Chociaż odrzucał autorytarne metody stosowane przez reżim, ten pozwalał mu rozwijać różne prywatne inicjatywy.

Nie opowiadał się za żadnym ustrojem ani partią polityczną, i to nie z powodu braku zainteresowania kwestiami społecznymi. Przeciwnie – znana była jego głęboko prospołeczna postawa. Uważał, że w tak skonfliktowanym społeczeństwie, często o nader zradykalizowanych poglądach, jako lekarz powinien mieć zawsze drzwi otwarte dla wszystkich.

10 stycznia 1939 roku wygrał konkurs na stanowisko ordynatora oddziału w Szpitalu św. Jana Bożego. Jego przybycie wywarło pewne poruszenie, ponieważ w owym szpitalu byli ordynatorzy, którzy zjawiali się w pracy o jedenastej rano. Dziadek stawiał się punktualnie o szóstej trzydzieści i wymagał od personelu, żeby przestrzegał ustanowionego harmonogramu. Ależ to była zmiana! Pewien jego kolega opowiadał, że owe środki okazały się dramatyczne

w skutkach dla niejednego pracownika.

Jak pisze Gustavo González, dziadek „wymagał od osoby, która nie chce bawić się ludzkim życiem, skoncentrowania uwagi na tym, co robi w danej chwili, oraz powagi i odpowiedzialności. Nie było ważne, czy chodziło o umierającą dziewczynkę z San Juan Chamelco czy z San Luis las Carretas[32], czy też o dziecko ze stolicy o znamienitym nazwisku. Wymagał, żeby wszystkim poświęcano właściwą uwagę, jeśli chodzi o podawanie właściwych leków w dokładnie ustalonej dawce i w odpowiednim momencie, o należyte odżywianie i o obserwację przebiegu choroby”.

Wkrótce potem, 26 kwietnia 1939 roku, jego wielki przyjaciel Mariano Rossell został wyświęcony na biskupa Gwatemali. Dla dziadka oznaczało to wielką radość. Nadal

starał się pomagać mu w miarę możności.

O następnym okresie, o dekadzie lat czterdziestych, mam niewiele danych, zwłaszcza o latach 1940–1946. Była to epoka, w której cały świat wykonał dramatyczny zwrot. Wybuchła druga wojna światowa, przeczuwana i zapowiadana przez wielu. Dziadek pracował wówczas jako dyrektor medyczny Towarzystwa Ochrony Dziecka i był uznanym lekarzem w gwatemalskim społeczeństwie, o rosnącym wpływie w środowiskach uniwersyteckich.

Postanowił zająć się problemami zdrowotnymi, które wynikały z głębokich upośledzeń cywilizacyjnych. Większość indiańskich kobiet była analfabetkami, a w szkołach stosowano pamięciową metodę nauczania, niedostosowaną do mentalności Indianek,

przyzwyczajonych do „nauki podczas pracy” (teraz dochodzi się do drugiej skrajności: uczy się ich niewielu rzeczy na pamięć, podczas gdy pamięć trzeba ćwiczyć, ponieważ jest niezwykle ważnym narzędziem).

Wskaźnik śmiertelności, zarówno ogólny, jak i śmiertelności wśród dzieci, był bardzo wysoki. Wciąż istniał stary problem niesprawiedliwego podziału ziemi. Krajowa produkcja rolna nadal była skoncentrowana na bananach i kawie, z silną zależnością od zagranicznego kapitału.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, rząd znalazł się w trudnej sytuacji, ponieważ, z jednej strony, prezydent sympatyzował z ideologią rządu niemieckiego, który był jednym z głównych eksporterów naszej kawy, a niemieccy plantatorzy kawy stanowili jedną z najpotężniejszych grup w kraju, z drugiej zaś strony

Ubico był zaangażowany w interesy gospodarcze i polityczne Stanów Zjednoczonych.

W końcu to interesy amerykańskie przeważyły i rząd Gwatemali był jednym z pierwszych, który poparł USA po japońskim ataku na Pearl Harbor, wypowiadając wojnę Japonii 8 grudnia 1941 roku, a Włochom i Niemcom trzy dni później.

Dziadek – człowiek pokoju – cierpiał, myśląc o starej Europie, która ponownie poznała nieszczęścia wojny. Hitler spacerował po Polach Elizejskich, bo niemieckie wojska okupowały Paryż.

Co się stało z jego nauczycielem Robertem Debré, wielkim patriotą, i jego kolegami ze szpitala?

Rok 1942 nie był w Gwatemali wolny od smutnych wydarzeń. W nocy z 6 na 7 sierpnia nastąpił wstrząs tektoniczny, który między innymi

uszkodził szpital dla dzieci. W tym samym roku pewien ksiądz apostata publicznie oczernił biskupa Rossella i antykatolicka prasa wykorzystała to jako okazję do ataku na Kościół.

Jednak pojawiały się nie tylko nieszczęścia. W dniu 5 września rozpoczęła się realizacja jednego z najważniejszych projektów w życiu dziadka: Kolonia Dziecięca w San Juan Sacatepéquez[33], pod auspicjami Klubu Lwów, gdzie dziadek pracował przez czternaście lat.

W 1944 roku przebywał w Stanach Zjednoczonych na kursie, zaproszony przez Departament Stanu, żeby mógł poznać najnowsze światowe osiągnięcia w dziedzinie ochrony zdrowia dzieci. Jeśli chodzi o ten wyjazd, to wiem tylko o udziale dziadka w Międzynarodowym Kongresie Pediatrii w Nowym Jorku i o jego pobycie na trzech prestiżowych uniwersytetach, na

których pracował z osobami „numer jeden” w jego specjalności. Przebywał, jako zagraniczny asystent, na Duke University u profesora W. Davidsona, na Minneapolis University u profesora Irvinga McQueriego, a także w słynnej Klinice Mayo u profesora Henry’ego Frederica Helmholza.

Wrócił w 1945 roku. Doktor de la Riva, który był wówczas młodym lekarzem rezydentem, opowiadał, że niektórzy lekarze rezydenci, kiedy dowiedzieli się o tym, poprosili, żeby przenieść ich na inny oddział, ponieważ, jak mówili, „doktor Cofiño był bardzo surowy”.

I mieli rację! Dziadek nie tolerował niepunktualności, bylejakości, zniechęcenia ani pracy wykonywanej niedbale. Nie był perfekcjonistą, chciał tylko, by praca była wykonywana jak najlepiej. Wymagał

dużo od samego siebie i wymagał dużo od swoich współpracowników.

W tym, jak i w tylu innych sprawach, podążał śladem swojego mistrza Debré. Dokładnie studiował każdą historię kliniczną, konsultował się z odpowiednimi specjalistami, wnikliwie badał dzieci. De la Riva pamięta go jako dyrektora medycznego „bardzo wrażliwego i zawsze gotowego do pomocy innym. U jego boku oddychano nauką w stylu francuskim”.

Nie wiem, co miał na myśli de la Riva używając terminu „nauka w stylu francuskim”, ale posłuchajcie. Jestem wykładowcą uniwersyteckim i zapewniam Was, że nie jest łatwo zrobić to, co zrobił dziadek: rozpoczynać od zera w swojej dziedzinie zawodowej, wprowadzić w niej nową mentalność, stworzyć szkołę, kształcić uczniów, kierować różnymi liniami badawczymi, być na

bieżąco z najnowszymi publikacjami i dokonaniami oraz przekazywać uczniom aktualną i praktyczną naukę.

Osiągnął te cele dzięki swojemu naukowemu przygotowaniu, dzięki inteligencji i pracowitości. I bardzo pomogły mu naturalna życzliwość, umiejętność obcowania z ludźmi i wyjątkowy talent organizacyjny.

Kiedy dziadek przebywał w USA, 21 czerwca 1944 roku w Gwatemali miała miejsce wielka studencka rewolta przeciwko rządowi, który sprawował władzę od trzynastu lat.

Następnego dnia grupa obywateli przekazała prezydentowi słynny *Memoriał 311*, w którym żądano „przywrócenia zawieszonych gwarancji, żeby ludzie mogli bezzwłocznie cieszyć się pełnią swoich praw konstytucyjnych”. W niedzielę 25 czerwca odbyły się dwie

inne demonstracje, brutalnie stłumione przez kawalerię.

Byli zabici i ranni. W tej sytuacji Ubico ogłosił swoją rezygnację. Jednak zamiast zrobić to przed zgromadzeniem parlamentarnym, przekazał władzę swoim stronnikom, którzy utworzyli triumwirat wojskowy złożony z Federico Ponce Vaidesa, Eduardo Villagrána Arizy i Buenaventury Pinedy.

Powrócili wygnańcy i utworzono liczne partie polityczne z różnymi przywódcami, jak María Chinchilla Recinos, Juan José Arévalo, Ponce Vaides…

Wyznaczono wybory nowego prezydenta na dni 17, 18 i 19 grudnia. Jednak 1 października został zamordowany dyrektor gazety *El Imparcial* i kilkanaście dni później doszło do puczu grupy wojskowych i cywilów, która po krwawym boju objęła władzę.

Następnie ustanowiono juntę rewolucyjną, utworzoną przez cywila Jorge Torriello Garrido oraz wojskowych Francisco Javiera Aranę Castro i **Juana Jacobo Árbenza Guzmána**.

Dziadek nadal powiększał zakres swojej pracy zawodowej, choć i wcześniej był on niezwykle szeroki. Był członkiem honorowym Northwest Pediatric Society, dyrektorem Narodowej Walki z Gruźlicą (w latach 1945 i 1946), delegatem Gwatemali w Międzyamerykańskim Instytucie Dziecka (przez dziesięć lat), członkiem założycielem i pierwszym prezesem Pediatrycznego Stowarzyszenia Gwatemali oraz uczestnikiem licznych międzynarodowych kongresów w San José, Tegucigalpie, Managui, Atlantic City, Nowym Jorku, Hawanie, Monterrey, Nancy…

Poza tym pracował przy reorganizacji Szpitala Przeciwgruźliczego św. Wincentego, o pojemności pięćdziesięciu łóżek, który rozpoczął działalność w kwietniu 1943 roku. Dzięki pracy dziadka szpital mógł po pewnym czasie przyjmować trzy razy więcej pacjentów.

W tym szpitalu, jak wspominał Clemente Marroquín, dawny kolega z instytutu, głos dziadka był decydujący. „Jak wiadomo, szpital św. Wincentego jest przeznaczony wyłącznie dla gruźlików lub suchotników, jak nazywa się ofiary białej zarazy. Zgodnie z tym, czego mogliśmy się dowiedzieć, był to nie szpital, tylko przerażająca nora. Pacjenci przebywali tam na oddziałach, które wydawały się lochami, co oczywiście przyspieszało śmierć chorych, którzy poza lekarstwami potrzebowali powietrza, pożywienia i odpoczynku […]. Otóż

doktor Cofiño, który jest aktywny, przedsiębiorczy, a przede wszystkim kompetentny, dał szpitalowi nowe życie.

Wydobył chorych z lochów i zaczął ich lepiej odżywiać, dostarczać im rozrywki, uprzyjemniać im życie. Utworzył sale dla dzieci chorych na gruźlicę, wprowadził liczne nowe usługi. Kilka lat później gazeta *Nuestro Diario* stwierdziła, że to sanatorium zawdzięcza mu «*niemal wszystko*»".

Możecie sobie wyobrazić radość dziadka, kiedy dowiedział się (oczywiście z radia i gazet; telewizji wówczas nie było), że oddziały aliantów wyzwoliły Paryż.

Alejandro Deutschmann, który miał wtedy około piętnastu lat, pamięta dzień, w którym dziadek, blisko zaprzyjaźniony z jego rodziną, przybył do jego domu z paczką

zawiniętą w papier do pakowania prezentów i powiedział do niego:

– Powiedz twojemu tacie, żeby zszedł i spotkał się ze mną w jadalni…

Zeszli rodzice Alejandra (bardzo związani z Francją, dlatego że jego mama tam studiowała, a jego tata też miał francuskie wykształcenie), a także Jorge Herrera i Humberto Garabito.

Wtedy dziadek uroczyście rozwinął paczkę. Była w niej butelka francuskiego wina – prezent od ojca dziecka, któremu dziadek uratował życie.

Napełnił kieliszki i z radością wznieśli toast z okazji wyzwolenia Paryża.

– *Vive la France*!

– *Vive la France*!

Miłość do Francji i kultury francuskiej towarzyszyła dziadkowi przez całe jego dorosłe życie.

I tak dotarliśmy do przełomowego roku – 1946.

Jednakże, jeżeli pozwolicie, ten temat zostawimy na następny list.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ V

7 grudnia 1999 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Przeczytałem właśnie orędzie papieża, przygotowane w celu wygłoszenia z okazji Światowego Dnia Pokoju, który będzie obchodzony 1 stycznia. Zrobiło ono na mnie tak wielkie wrażenie, że

postanowiłem przepisać z niego dwa akapity, dlatego że opisują świat, w którym żył dziadek.

„W kończącym się stuleciu ludzkość została boleśnie doświadczona przez niekończącą się serię straszliwych wojen i konfliktów, przez kampanie ludobójstwa i «czystki etniczne», które stały się przyczyną nieopisanych cierpień: śmierci milionów ofiar, zniszczenia rodzin i całych krajów, tułaczki rzesz uchodźców, nędzy, głodu, chorób, zacofania, utraty ogromnych zasobów. Źródłem tak wielkiego cierpienia jest logika przemocy, podsycana przez żądzę panowania i wyzysku bliźnich, przez ideologie władzy albo totalitarne utopie, przez chorobliwe nacjonalizmy lub zastarzałe nienawiści plemienne. Tej brutalnej i systematycznej przemocy, zmierzającej wręcz do totalnej zagłady lub zniewolenia całych

narodów i regionów, trzeba było czasem stawić opór zbrojny”.

Słowa te są dramatyczną i prawdziwą syntezą historii XX wieku, który właśnie kończymy.

W Gwatemali prawie przez jedną trzecią stulecia żyliśmy w stanie wojny. Mijały kolejne straszne dekady wciąż nowej przemocy. Wojny partyzanckie, porwania, zbiorowe mogiły, uchodźcy, zabójstwa tysięcy niewinnych osób…

Przesłanie dziadka, który bardzo wiele ucierpiał w wyniku przemocy, zawsze mówiło o zgodzie i pokoju. Jednak nie poprzestał on na słowach. Kiedy inni niszczyli, poświęcił się budowaniu pokoju i postępu wszystkimi siłami, pogłębianiu rozwoju osobistego, wspieraniu społecznego i duchowego rozwoju swojego kraju. Wypromował liczne inicjatywy dla dobra narodu gwatemalskiego, zwłaszcza na rzecz

najbardziej poszkodowanych, ponieważ wiedział, że rozwój, jak mówił Paweł VI, „to nowe imię pokoju”.

„Wiek XX – mówił dalej papież Jan Paweł II – pozostawia nam w spadku przede wszystkim taką przestrogę: wojny są często przyczyną kolejnych wojen, ponieważ podsycają głęboko zakorzenione nienawiści, prowadzą do niesprawiedliwości, depczą godność i prawa osoby ludzkiej. Zazwyczaj nie rozwiązują przy tym problemów, stanowiących przedmiot konfliktu, i stąd okazują się nie tylko straszliwie niszczące, ale także bezużyteczne. Wojna jest przegraną ludzkości. Tylko w warunkach pokoju i przez pokój można zapewnić poszanowanie godności człowieka i jego niezbywalnych praw”.

Opowiem Wam dalej o życiu dziadka. Kiedy skończyła się II wojna

światowa, dowiedział się, że jego mistrz Robert Debré przeżył i że w czasie okupacji uczestniczył czynnie w ruchu oporu. Niektórzy jednak spośród jego dawnych kolegów mieli mniej szczęścia: jedni zostali zamordowani, inni zaś byli torturowani lub deportowani.

Postanowiłem datować ten list na dzisiejszy dzień, 7 grudnia, na pamiątkę owego 7 grudnia 1946 roku – dnia, w którym rzeczywistością stał się jeden z wielkich snów dziadka: Placówka Opiekuńcza w San Juan Sacatepéquez, dziecięca kolonia dla dzieci chorych na gruźlicę. Jestem przekonany, iż wybrał tę datę dlatego, że był to przeddzień święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Obecnie koncepcja kolonii dziecięcej jest już przebrzmiała, jednakże w owych czasach oznaczała krok naprzód w walce z gruźlicą. Wysiłki

dziadka spotkały się z uznaniem: Towarzystwo Ochrony Dziecka nadało mu w 1946 roku prestiżowe odznaczenie – Odznakę Emaliowaną.

Wówczas taka kolonia była pilną koniecznością. Tysiące dzieci, w większości tubylczych, wzrastały pośród wielkich niedostatków materialnych i sanitarnych. Nie było antybiotyków i kiedy dzieci zachorowały na gruźlicę, to umierały, jak mówi de la Riva, „w stu procentach”.

Na początku infrastruktura medyczna kolonii składała się tylko z poradni, pogotowia ratunkowego, szpitala, izby porodowej, aparatu rentgenowskiego i laboratorium. Potem była unowocześniana – dzięki dziadkowi, który dokładał starań, żeby wprowadzać do tego oddalonego miejsca najnowsze zdobycze medycyny.

Doktor Hurtado pisał: „Musi być powodem dumy dla samej placówki i dla San Juan Sacatepéquez fakt, że jest to pierwsze wiejskie środowisko w całej republice, gdzie wykonuje się masowo szczepienia przeciwko gruźlicy za pomocą wakcyny BCG – szczepionki Calmette'a i Guérina".

Dzieci chore na gruźlicę zwykły przechodzić w kolonii okres rekonwalescencji pod troskliwym kierunkiem dziadka. Dyrektorem placówki była zaprzyjaźniona z nim Piedad García, która pracowała z zespołem lekarzy i pielęgniarek.

Zapamiętajcie to nazwisko: to Piedad García skontaktowała dziadka z księdzem Rossellem. I to ona była oddana duszą i życiem kolonii, poprzez swoje poświęcenie i gorliwość.

Dziadek portretuje ją jako „wielką damę. Miała serce, które biło dla każdego dziecka jak pełne miłości

serce matki. Była jak anioł dla każdego z nich i one zawdzięczały jej więcej niż tylko lekarstwa.

Ileż energii wkładała w świętowanie Bożego Narodzenia i Wielkanocy! Wszyscy wzruszaliśmy się, radując się żywymi obrazami, które ona nakazywała przygotowywać ze szczególną delikatnością”.

„Placówka Opiekuńcza w San Juan – twierdził *El Imparcial* – narodziła się w cieple jej miłości. Jest to cenna instytucja, która stanowi dowód tego, co może uczynić inicjatywa prywatna we współpracy z państwem i co z dumą możemy przedstawiać jako wzorzec dla wszystkich miejscowości republiki”.

Wzrusza mnie odczytywanie tego, co dziadek napisał na temat „choroby głodu”, która była główną przyczyną gruźlicy u wielu spośród zarażonych dzieci. Mówił, że głód jest problemem numer jeden Ameryki

Środkowej i że te dzieci odczuwają dwa rodzaje głodu: głód chleba i głód miłości.

Dokładał starań będących w jego zasięgu, by chore dzieci cieszyły się przyjemną atmosferą, zdrowym jedzeniem i pełną miłości troską pielęgniarek. Dla chorego dziecka – mówił – miłość jest czymś decydującym. I sam rozdawał miłość pełnymi garściami. Wiem, że podczas Świąt Bożego Narodzenia przebierał się za Świętego Mikołaja, żeby zanosić tym dzieciom prezenty. Był kimś o wiele więcej niż lekarzem. Mówiąc ściślej, był lekarzem w najgłębszym znaczeniu tego terminu.

Doktor de la Riva opowiadał, że dzieci przybywały do kolonii jak szkielety, niedożywione, z ciałkami nadgryzionymi przez chorobę. Dokładano starań będących w zakresie możliwości lekarzy, by ratować im życie, a kiedy medycyna

nie mogła już nic zrobić dla danego dziecka, wysyłano je do szpitala ogólnego, mówiąc siostrze Matilde, pomagającej im zakonnicy: „to dziecko jest jak pisklak”. Dawano jej w ten sposób do zrozumienia, że trzeba zgadzać się na wszystkie jego kaprysy, ponieważ właśnie umiera…

Dziadek wypruwał z siebie żyły, żeby ocalić życie tych dzieci. A kiedy mu się to nie udawało, szedł z tymi, którzy mu pomagali, do sali, w której odbywały się sekcje zwłok, żeby zobaczyć, czy badania, które przeprowadził, były prawidłowe.

Rodzina, nauka, szpitale… Będziecie sobie z pewnością zadawać pytanie: W jaki sposób udawało mu się to wszystko godzić?

Myślę, iż osiągał to przede wszystkim dlatego, że bardzo dobrze wykorzystywał czas, a także dlatego, że poświęcał podejmowanym

zadaniom nawet godziny swojego odpoczynku.

We wszystkie soboty rano, po długim tygodniu pracy w klinice i na uniwersytecie, udawał się z żoną i dziećmi do Świętej Klotyldy – domku, który mieli w San Juan, blisko placówki opiekuńczej. W niedzielę wstawał wcześnie, szedł na mszę świętą do parafii i składał wizytę dzieciom z kolonii. Po południu, po odpoczynku z rodziną w Świętej Klotyldzie, wracali do miasta Gwatemala.

I tak weekend za weekendem. To tłumaczy fakt, o którym słyszałem wiele razy, że w tym regionie wszyscy tubylcy znali doktora Cofiño.

Dziadek łączył troskę o swoją rodzinę z opieką nad chorymi dziećmi. Wujowie pamiętają, że podróże do San Juan bywały bardzo zabawne. Ciotka Sofía, która była wówczas

bardzo mała, często opowiada, że dziadek kupował każdemu członkowi rodziny lody i robiono konkursy; wygrywał ten, komu zjedzenie loda zajęło najwięcej czasu…

Mówiłem Wam przedtem, że doktor Cofiño był bardzo wymagający w stosunku do swoich pomocników. Jest to zrozumiałe. Musi być bardzo trudne patrzenie dzień po dniu, jak umiera dziecko i kolejne, i jeszcze jedno…, kiedy tak często nie można nic zrobić z lekarskiego punktu widzenia, ponieważ medycyna nie była wówczas tak rozwinięta jak obecnie.

Jest logiczne, że dziadek pragnął, by praca była wykonywana w sposób możliwie najdoskonalszy i że niekiedy, dostrzegając czyjś błąd albo poważne zaniedbanie, zdecydowanie karcił winnego tego stanu rzeczy współpracownika.

Na szczęście babcia łagodziła te jego wybuchy („nazwijmy je po imieniu: były to ataki gwałtowności” – mówił dziadek z pokorą po latach) *i po „burzy”* zapraszała jego współpracowników na obiad do Świętej Klotyldy.

W ten sposób osiągała swoim łagodnym i wyrozumiałym postępowaniem taki skutek, że owi współpracownicy nie dystansowali się od dziadka. Również pod tym względem, tak samo jak pod wieloma innymi, umiała zatem stać u boku dziadka, pomagając mu niepostrzeżenie w dyskretny i roztropny sposób.

Dziadek wykonał w Placówce Opiekuńczej w San Juan Sacatepéquez olbrzymią pracę medyczną i naukową. W 1955 roku, kiedy stamtąd odszedł, zostawił archiwum z sześcioma tysiącami zdjęć rentgenowskich i z

dokumentacją ponad tysiąca obserwacji klinicznych, drobiazgowo sklasyfikowanych i opisanych. Przy czym charakter jego pisma znamionują zdecydowanie i pewność, a jednocześnie jest ono niemal nieczytelne, co w przypadku tak wielu lekarzy jest częstym zjawiskiem…

Dlaczego opuścił kolonię dziecięcą? Jest to bolesna historia, na której nie chcę zbyt długo się zatrzymywać. Kilka osób z zarządu Klubu Lwów, któremu podlegała kolonia, oskarżyło go, ni mniej, ni więcej, tylko o malwersację funduszy, mimo że pobierał za swoją pracę w San Juan kwotę tak niewielką, że nie wystarczała ona nawet na naprawę uszkodzeń samochodu spowodowanych fatalnym stanem dróg.

Malwersacja funduszy! Mówiono, że nie powinien otrzymywać nic,

ponieważ ludzie z Klubu Lwów pracują tylko *ad honorem*. Jednakże jest oczywiste, że to nie to samo poświęcać godzinę miesięcznie na posiedzenia zarządu co poświęcać wszystkie weekendy w roku na wykonywanie profesjonalnej pracy, jak to robił dziadek.

W rzeczywistości zaczął pracować w kolonii dziecięcej w maju 1942 roku, a swoją pierwszą, bardzo niewielką, pensję otrzymał ponad osiem lat później, w grudniu 1950 roku.

Dziadek tłumaczył:

„Obsługa kolonii dziecięcej z medycznego punktu widzenia wymaga nie tylko dużo czasu, ale również wiele doświadczenia i stałej uwagi.

Nie jest sprawiedliwa chęć zrównania funkcji kierowniczej (jak w przypadku zarządu Klubu Lwów albo zarządu kolonii) z

funkcją techniczną; w tym drugim przypadku usługi są świadczone nie z tytułu bycia członkiem Klubu Lwów, tylko są to usługi o charakterze fachowym, technicznym.

Nie jest czymś sprawiedliwym godzenie się, że jakiś człowiek przez lata (ponad 10 lat) pracował bez żadnego wynagrodzenia, poświęcając swoje dni odpoczynku na opiekę nad kolonią, a poza tym w dni robocze poświęcając czas na opiekę nad ambulatorium, szkolenie personelu medycznego, załatwianie wielu pojawiających się co chwila spraw."

Minęły lata i w 1976 roku zarząd Klubu Lwów zrewidował ten przypadek i wyjaśnił owo smutne wydarzenie, żałując decyzji, która głęboko dotknęła część współpracowników dziadka, wśród nich Piedad Garcíę. Doznała ona

ataku serca, który unieruchomił ją w łóżku na 14 lat. Jego uczniowie również opuścili kolonię. Niektórym oferowano zajęcie jego miejsca z kuszącą pensją, ale żaden z nich nie chciał się na to zgodzić.

„Obecny zarząd, świadomy przyczyn, które uzasadniały jego rezygnację, głęboko ubolewa nad bolesnym incydentem… Niestety – pisał Jaime Briz Sandoval, prezes Klubu Lwów, o oskarżeniach pod adresem Cofiño sprzed ponad dwudziestu lat – w minionych i obecnych czasach istniały i istnieją sprawiedliwość i niesprawiedliwość. Jesteśmy pewni, że żaden z nas nie podjąłby takiej decyzji”.

O tych sprawach miałem do niedawna jedynie niejasne pojęcie, dlatego że dziadek nie miał zwyczaju o tym mówić. Umiał przebaczać i zapominać. Teraz zapoznałem się z tym dokładniej. Jednakże nie chcę

podawać Wam nazwisk, żebyście nie zachowywali do nikogo urazy ani nawet żalu. Trzeba przebaczać wszystko i wszystkim, z całego serca. Oby Bóg zechciał, żebyście zawsze naśladowali przykład dziadka, który po latach zaprosił do Ciudad Vieja, w dowód miłości i przebaczenia, człowieka, który był jego głównym oszczercą.

Cierpienia gruźliczych dzieci, połączone z niesprawiedliwościami, których doświadczał, oczyszczały jego serce. Odkrywał w dziecięcych twarzach, przeszytych bólem, cierpiące oblicze Jezusa Ukrzyżowanego. Wówczas płomień ognia, płomień miłości zamieniał w popioły samowystarczalność z czasu jego młodości. Stawał się pokorniejszy i cierpliwszy, bardziej wyrozumiały i hojny. I zaczął w gwałtowny sposób odczuwać konieczność miłowania Boga z całej duszy. Opiszę Wam pewne zdarzenie,

które dobrze obrazuje to jego stopniowe przeobrażanie się. Ciotka Uca, która pracowała cztery lata w jego gabinecie, w latach 1948–1952, opowiada, że pewnego dnia pojawiła się tam kobieta trzymająca w ramionach konające dziecko.

– Szybko! – powiedział dziadek. – Trzeba mu natychmiast zrobić transfuzję krwi!

Pierwsza transfuzja krwi w Gwatemali miała miejsce zaledwie kilka lat wcześniej, 4 stycznia 1942 roku, i była bardzo kosztowna.

– Oni nie mają pieniędzy – odezwała się ciotka Uca – ani na transfuzję, ani na nic.

– Nie szkodzi! – odparł dziadek. – Trzeba sprawdzić, skąd weźmiemy krew.

– Ja mam uniwersalne zero – powiedziała ciotka Uca.

Szybko poszli do laboratorium i dziadek próbował nakłuwać jej żyły. Nie trafiał, a każda upływająca sekunda zmniejszała szanse na uratowanie dziecku życia. Ciotka Uca nie mogła więc być krwiodawczynią. Wreszcie znaleźli osobę z odpowiednim typem krwi i łatwo dostępnymi żyłami. Dziadek zrobił transfuzję i nie dopuścił do śmierci biednego dziecka, nie biorąc za to ani grosza.

W 1949 roku ponownie przebywał w Europie, razem z moją mamą, która pragnęła poznać Francję. Któż by nie pragnął? Tak wiele razy rozmawiali o Paryżu! Była to jedyna podróż do Europy, jaką wspólnie odbyli. To dzięki jego pozycji społecznej mogli sobie pozwolić na tę podróż i na wiele innych.

Nie myślcie, że była to podróż jedynie dla przyjemności. Uczestniczyli w kursie pediatrii

społecznej, który zorganizowało w Paryżu Międzynarodowe Centrum Ochrony Dzieci. Dziadek pojechał na kurs jako przewodniczący Komitetu Gwatemalskiego, babcia natomiast, która przygotowywała swoją pracę magisterską jako pracownik socjalny, była bardzo zainteresowana omawianymi tam tematami z zawodowego punktu widzenia. Towarzyszył im doktor Alberto Vassaux.

Podczas tego kursu, który trwał sześć miesięcy, odwiedzili wiele ośrodków społeczno-opiekuńczych we Francji i w Holandii. Nawiązali kontakty ze specjalistami z całego świata: Bułgarami, Chińczykami, Grekami, Finami, Polakami i osobami innych narodowości.

Czy pamiętacie filmy o szerokości 8 mm, które czasami wyświetlamy w domu, za pomocą przedpotopowej machiny? Zaskakuje mnie, że ona

nadal działa. Dziadek nagrał niektóre z nich podczas tej długiej podróży, a jedyną bohaterką była babcia.

Dziadek filmował ją zresztą wielokrotnie, nie tylko w Europie, ale również w Sololá, nad jeziorem Atitlán z wulkanem w tle, przechodzącą obok różanego ogrodu, wychyloną z balkonu w Świętej Klotyldzie… Lubił robić ujęcia ukazujące na pierwszym planie jej twarz, a zwłaszcza oczy. Te taśmy pokazują, jak bardzo był w niej zakochany.

Ta podróż do Europy była bardzo ważna dla Gwatemali, dlatego że dziadkowie przywieźli z Paryża szczepionkę przeciwgruźliczą BCG, dzięki której uratowano życie tysięcy ludzi.

Tymczasem w kraju wciąż czekały na rozwiązanie palące kwestie. W 1950 roku wskaźnik analfabetyzmu wynosił 70 procent i był jednym z

najwyższych w Ameryce Środkowej i Południowej, a służba zdrowia toczyła boje z olbrzymimi wyzwaniami. Nie utworzono jeszcze wówczas, w sensie formalnym, ministerstwa zdrowia i nieliczne w Gwatemali pielęgniarki pracowały bez odpowiednich środków. Otrzymywały bardzo niskie wynagrodzenie, a organizacyjnie były włączone do struktury należącej w znaczącym stopniu do wojska.

Ta informacja pokazuje, do jakiego stopnia były uzależnione od dyktatorskiej władzy niektóre dziedziny życia w kraju. Dziadek wciąż działał na wąskim marginesie niezależności, na jaki pozwalał mu reżim.

Opowiada Gustavo González: „Ten, kto nie należał do oficjalnie uznanego związku zawodowego i do partii, stawał się obywatelem drugiej kategorii. Jeżeli pełnił jakąś

publiczną funkcję, to wiedział, że może zostać zdymisjonowany z dnia na dzień z błahego powodu, na mocy anonimowego «najwyższego rozkazu».

Ernesto odmawiał zapisania się do związku zawodowego lub do partii politycznej. Nie zgadzało się to z jego sposobem bycia i postępowania. Był naukowcem, badaczem. Starał się czynić dobro, nie rozróżniając między dziećmi pochodzącymi z prawicy czy z lewicy, między komunistami czy antykomunistami.

Znając ten sposób postępowania swojego dyrektora i uprzedzając to, co mogło się zdarzyć, chorzy ze Szpitala Przeciwgruźliczego św. Wincentego opublikowali 7 lutego 1949 roku w oficjalnym dzienniku list, w którym wyrażali uznanie i pochwałę dla doktora Ernesto Cofiño za jego pracę w szpitalu oraz za

przyczynienie się do rozkwitu kolonii dziecięcej w San Juan Sacatepéquez.

Kilkanaście dni później, 26 lutego, w departamentach Izabal i Escuintla, z powodu konfliktów między pracownikami a pracodawcami, zostały ograniczone gwarancje konstytucyjne. W Kongresie stronnictwa ogłosiły otwartą wojnę polityczną. Pod koniec marca rząd stawił czoło kolejnemu spiskowi. Kwiecień i maj były miesiącami antyrządowych demonstracji, które zostały stłumione za pomocą pałek i gazów łzawiących".

Sytuacja społeczna zaostrzała się aż do 18 czerwca 1949 roku, W tym dniu pułkownik Arana, mocny człowiek rządu Juana José Arévalo i szef sił zbrojnych, został zamordowany, gdy powracał znad jeziora Amatitlán. Zaczęła się nowa faza rewolucyjnego wrzenia, a 25

czerwca zawieszono gwarancje konstytucyjne.

Pośród innych zamieszek, licznych w tym okresie, miała miejsce demonstracja protestacyjna z powodu zabójstwa Arany. Policja rozgoniła demonstrantów kulami, Było wielu rannych, wśród których znalazł się Alejandro Deutschmann, około dwudziestoletni syn bliskich znajomych dziadka.

Kiedy powiedziano o tym dziadkowi, który był w podróży za granicą, wrócił jak najszybciej i udał się bezpośrednio z lotniska do szpitala, żeby zobaczyć Alejandra.

– Jesteś w złym stanie… bardzo złym – powiedział mu. – Ale wyjdziesz z tego. Musisz żyć!

I natychmiast poszedł odwiedzić jego rodziców, żeby dodać im otuchy.

Alejandro nigdy nie zapomniał tego spojrzenia, pełnego ufności i energii, ani tych słów, które dały mu głęboką pogodę ducha: musisz żyć!

W październiku 1949 roku w Gwatemali następowały po sobie częste gwałtowne burze i deszcze nawalne. W kolonii dziecięcej w San Juan również odczuto ich skutki, chociaż dzięki Bogu nie było ofiar, inaczej niż w wielu departamentach.

W kraju rozpętała się też inna burza, polityczna, z atakami na wolność prasy, wypędzaniem dziennikarzy, strajkami pracowników i wielkimi tarciami społecznymi, o których opowiem Wam w następnym liście.

Jak zapewne zauważyliście, stałym elementem wieku, który obecnie dobiega końca, była przemoc – i jeszcze więcej przemocy. Wiek XX był stuleciem niesprawiedliwości i ubóstwa dla dużej części naszego narodu, który doświadczył licznych

represji, zabójstw i krwawych masakr. A jednocześnie było to stulecie wielkich społecznych i osobistych osiągnięć, niesamowitych dokonań w dziedzinie medycyny i głębokich postępów duchowych.

Kończę mój list jeszcze jednym cytatem z orędzia, które wywarło na mnie tak wielkie wrażenie. Papież przypomina, że w XX wieku żyły tysiące osób, które były świadkami Chrystusa, nazywając je ludźmi, którzy ocalili „honor ludzkości".

„Na tle tej wojennej scenerii XX stulecia honor ludzkości został uratowany przez tych, którzy przemawiali i działali w imię pokoju.

Mamy obowiązek pamiętać o rzeszach tych, którzy przyczynili się do uznania praw człowieka i do ich uroczystego ogłoszenia, do klęski totalitaryzmów [...]. Świetlane i prorocze wzory pozostawili nam ci, którzy kierowali się w życiu zasadą

niestosowania przemocy. Swoim konsekwentnym świadectwem wierności, często posuniętym aż do męczeństwa, zapisali wspaniałe stronice, z których czerpiemy cenne pouczenia.

Mówiąc o ludziach działających w imię pokoju, nie wolno zapominać o tych, dzięki którym dokonał się wielki postęp we wszystkich dziedzinach nauki i techniki, co pozwoliło na pokonanie groźnych chorób oraz na podniesienie jakości i przedłużenie życia”.

Kiedy czytałem te zdania, myślałem o dziadku, który zawsze pracował w imię pokoju.

Do usłyszenia wkrótce

Tata

ROZDZIAŁ VI

Boże Narodzenie 1999 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Trzymam w rękach napisane przez dziadka długie *Wspomnienie*, które zaczyna się tak:

„Postanowieniem rządowym z 12 lipca 1951 roku zostałem mianowany dyrektorem Centrum Wychowawczo-Opiekuńczego. Objąłem to stanowisko w bardzo nienormalnych warunkach, związanych z poważnym wybuchem społecznych napięć i niepokojów. Wybuch ten był konsekwencją pospiesznych środków, które, dalekie od skutecznych technicznie koncepcji pomocy społecznej, zostały zainspirowane działaniami politycznymi o charakterze sekciarskim”.

Aby wytłumaczyć Wam okres, o którym tu mowa, przedtem muszę zorientować Was w konkretnym kontekście historycznym.

W połowie stulecia, które wkrótce będziemy nazywać – bez względu na to, jakby nam się to wydawało dziwne – „ubiegłym wiekiem”, po wyborach z 10–12 listopada 1950 roku, w bardzo niespokojnej sytuacji społecznej prezydentem został wybrany Juan Jacobo Árbenz Guzmán.

Dziadek znał jego rodzinę – Jacobo, jego żonę Maríę i ich dzieci – od dłuższego czasu, z powodów odległych od polityki. Wiele lat wcześniej byli oni w stosunku do dziadka najemcami, gdyż mieszkali przez pewien okres na drugim piętrze pierwszego domu, który był jego własnością – domu z podwórkiem, znajdującego się naprzeciwko uniwersytetu.

Árbenz doszedł do władzy w szczególnie konfliktowym okresie historii Gwatemali i świata podzielonego na dwa wielkie bloki,

zdominowane przez tak zwane *supermocarstwa*: Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone. Ten okres nosił nazwę „zimnej wojny”.

Każdy blok – Rosjanie i Amerykanie – miał swoje własne interesy i potężny aparat propagandowy. Teraz dla Was zabrzmi to tylko jak cytat ze starych filmów, ale w życiu codziennym Gwatemalczyków nastąpiła radykalizacja postaw w poglądach politycznych.

W zwyczajowych rozmowach biel i czerń przeważały nad szarością i łatwo dochodzono do niezwykle prostackich absurdów. Na przykład o arcybiskupie, ponieważ nie był komunistą, niektórzy mówili, że „koniecznie musi być z CIA”. I odwrotnie. Jeśli okazywało się, że dana osoba demaskowała niesprawiedliwości albo wspierała zmiany społeczne, to „koniecznie musiała być komunistą”.

Albo było się z CIA, albo było się komunistą, nie było innych możliwości. Jeżeli będziecie świadomi tego klimatu emocjonalnego, zrozumiecie lepiej to, co nastąpiło później.

Jednocześnie w tej epoce komunistyczne reżimy niektórych krajów europejskich, azjatyckich, afrykańskich i amerykańskich realizowały – i tu Gwatemala nie była wyjątkiem – szereg kampanii przeciwko Kościołowi.

Węgry, Polska, Czechosłowacja, Litwa… Tysiące kapłanów i świeckich zostało zabitych, uwięzionych albo deportowanych tylko z tego tytułu, że byli katolikami. Setki kościołów i szkół chrześcijańskich zamknięto albo przejęto i przeznaczono na inne cele. W Europie Wschodniej narodził się tak zwany Kościół milczenia. Nie było w tym nic nowego dla Kościoła

w Gwatemali, który powoli przezwyciężał skutki zażartej polityki antykatolickiej tak zwanych rządów liberalnych z XIX wieku.

Dziadek, który nie był zwolennikiem skrajnych postaw, nadal zajmował się w ramach swojej działalności najróżniejszymi osobami, bez względu na kolor skóry czy wyznawaną ideologię, i nie wiązał się z żadnym konkretnym prądem ani z żadną partią polityczną.

Trochę więcej niż pół roku po wyborach, które spowodowały dojście Árbenza do władzy, w lipcu 1951 roku, władze zdymisjonowały dyrektora Ośrodka Wychowawczo-Opiekuńczego (Centro Educativo Asistencial – CEA), jak nazywano były Narodowy Ośrodek Młodzieżowy Gwatemali (to w należącej do niego świątyni pobrali się dziadek i babcia).

Następnie mianowano dyrektora, który chciał zmusić pracowników ośrodka, by zapisali się do związków zawodowych. Osiemdziesięciu spośród nich odmówiło i zostało zwolnionych z pracy.

Tenże dyrektor wystąpił z projektem, by przenieść siostry miłosierdzia (szarytki), obsługujące CEA od wielu lat, do szpitala w Mazatenango. Jak pamiętacie, to zgromadzenie było jedynym, które nie zostało wygnane z Gwatemali w dziewiętnastym wieku, kiedy z kraju wypędzono wszystkich kapłanów i zakonników.

Skutki tych i innych decyzji i pomysłów nowego dyrektora wywołały oburzenie w bardzo różnych sektorach społecznych. Dla niektórych straganiarek nowa sytuacja oznaczała pozostawienie ich dzieci poza szkołą. Ośrodek był z założenia rodzajem więzienia, w którym miały być zamykane

porzucone dzieci, jednak rzeczywistość była zupełnie odmienna. Nie wszyscy spośród przebywających tam byli sierotami; było wiele dzieci straganiarek i innych bardzo ubogich osób.

Mieszkało tam około siedmiuset dzieci. Większość przebywała w CEA do ukończenia osiemnastu lat. Po osiągnięciu tego wieku zostawiano ich „na ulicy”, zazwyczaj bez pracy, przez co wielu tych młodych ludzi kończyło jako przestępcy. Tylko szarytki i grupa pań z opieki charytatywnej dodawały tamtemu miejscu trochę człowieczeństwa.

Sytuacja ośrodka była wynikiem długiego szeregu niedostatków. „W ciągu wielu lat – pisał dziadek – inicjatywa prywatna odgrywała pierwszorzędną rolę w administracji, rozwoju i rozbudowie Narodowego Ośrodka Młodzieżowego (…), aż państwo przejęło go całkowicie, w

związku z czym dyrektor pozostał tam w charakterze zwykłego funkcjonariusza, którego uprawnienia były stopniowo ograniczane, i w końcu został zredukowany do poziomu zwykłego zarządcy.

Jest oczywiste, że po zaniku inicjatywy prywatnej w opiece charytatywnej dyrektor stracił możliwość uzyskiwania pomocy materialnej lub pomocy w wykonywaniu pracy czy nawiązywania współpracy ekonomicznej; w sumie został pozbawiony wszystkich czynników pozwalających wcześniej skutecznie ratować ograniczone finanse ośrodka i zapewniać bezpośrednią współpracę kompetentnego personelu, którego nieobecność zauważa się teraz bardzo wyraźnie.”.

Próba przeniesienia mniszek była kroplą, która przelała czarę goryczy.

Kiedy mieszkańcy ośrodka dowiedzieli się, że nowy dyrektor próbuje zabrać im zakonnice, zbuntowali się przeciwko niemu i 10 lipca 1951 roku ogłosili strajk. Rano zamknęli wszystkie drzwi wejściowe i rozstawili tam posterunki, nie pozwalając mu wyjść.

Ci, którzy oskarżali Árbenza o to, że jest komunistą, ponieważ w jego rządzie znalazło się kilku komunistów i ponieważ przeprowadził kontrowersyjną reformę rolną, otrzymali świetną okazję do działania. Kilka godzin później, około drugiej po południu, grupa buntowników zebrała się przy drzwiach ośrodka, wznosząc okrzyki przeciwko prezydentowi.

Zaczął padać deszcz. Przybyła policja, która otworzyła drzwi, żeby dyrektor ośrodka mógł wyjść. Kiedy demonstranci – według niektórych gazet około półtora tysiąca osób – go

zobaczyli, zaczęli go atakować, krzycząc „śmierć komunizmowi!” i żądając dymisji dyrektora.

Było tak wiele zamieszania, że około wpół do dziewiątej wieczorem stawił się w tym miejscu abp Rossell, by uspokoić nastroje. Chciał wejść do ośrodka, ale – według części mediów – uczniowie odmówili otwarcia drzwi.

Informacje, jakie przedstawia prasa owych dni – na których opieram się, żeby opowiedzieć Wam tę historię – są bardzo niejasne, a w niektórych punktach sprzeczne. Niektóre media były zradykalizowane tak samo jak sytuacja społeczna. Trzeba by zestawić i dokładnie przeanalizować wiele z tych danych, żeby ustalić, czy i do jakiego stopnia są prawdziwe.

Na przykład: według innych źródeł informacji agenci policji, którzy byli przy wejściu, powiedzieli arcybiskupowi, że nie mogą go

wpuścić bez pozwolenia swoich przełożonych. Wykonali wiele połączeń telefonicznych, nie otrzymując odpowiedzi, podczas gdy abp Rossell czekał na ulicy, w deszczu, prosząc rozemocjonowanych uczniów, żeby się uspokoili. Wreszcie o dziesiątej piętnaście, po prawie dwóch godzinach oczekiwania, widząc, że nie dostanie się do środka, postanowił odejść.

Bez względu na to, jak było, jest faktem, że dwa dni później, w czwartek 12 lipca o świcie, do ośrodka dotarło rozporządzenie rządu o wygnaniu szarytek z CEA. Dowiedziawszy się o tej decyzji, siostra Teresa Vanegas, przeorysza, poszła do kaplicy, zabrała Najświętszy Sakrament i wyszła z innymi mniszkami na zewnątrz, kierując się ku głównemu domowi zakonnemu. Była godzina piąta rano.

Widząc, jak siostry wędrują o tej porze ulicą, straganiarki i inne sprzedawczynie zaczęły krzyczeć i miotać groźby pod adresem policji. Tymczasem uczniowie na znak protestu uderzyli w dzwony kaplicy CEA.

Grupa kobiet z miasta, razem z niektórymi sprzedawczyniami z targu, poszła do Pałacu Narodowego, żeby tam protestować. Przyjął je jeden z ministrów Árbenza, od którego zażądały – po wyjaśnieniu mu, że nie mają nic wspólnego z buntownikami – żeby mniszki pozostały w ośrodku.

Widzicie już, że pozornie przyczyną protestu było to samo: przeniesienie mniszek, ale w istocie cele były bardzo różne.

Buntownicy próbowali zamienić wydarzenie w iskrę ludowego buntu przeciwko rządowi Árbenza, którego oskarżali o komunizm. Kobiety zaś

prosiły tylko, żeby CEA zachowało swoją tożsamość i nie przekształciło się, jak przypuszczano, w ośrodek indoktrynacji marksistowskiej.

W tych wydarzeniach – zgodnie z informacjami przekazywanymi przez prasę – uczestniczyli również, na swój sposób, kieszonkowcy i inni złodzieje, którzy wykorzystali zamieszanie, żeby zrobić złoty interes. W mętnej wodzie łatwo łowić ryby.

Prezydent spotkał się z komisją doradców, po czym przychylił się do próśb kobiet i postanowił zmienić dyrektora ośrodka. Jednakże wybór odpowiedniej osoby nie był prosty przez wzgląd na wymiar publiczny, którego sprawa nabrała w powstałych okolicznościach. Potrzebny był specjalista o dużym prestiżu, ale bez znaczenia politycznego, który byłby znany i szanowany dzięki swoim działaniom

na rzecz najuboższych i opuszczonych.

Árbenz doszedł do wniosku, że cechy te posiada dziadek, i kazał go wezwać. Tymczasem w mieście narastała atmosfera podniecenia, co wróżyło najgorsze. Przez cały poranek tłum zbierał się naprzeciwko Pałacu Narodowego z intencjami tak różnymi, jak przyniesione transparenty. Na jednym napisano: „Panie Prezydencie, wierzymy Panu”. Na innym: „Niech Siostry zostaną uszanowane”. Na jeszcze innym: „Żądamy wygnania komunistycznych przywódców”. Według *La Hora*[34] zgromadziło się tam około sześciu tysięcy osób.

O drugiej po południu dziadek stawił się, razem z babcią, w Pałacu Narodowym. Kiedy wszedł do środka, władze – prawdopodobnie

prezydent osobiście – zaoferowały mu kierownictwo CEA.

Dziadek zgodził się mimo swoich rozlicznych zajęć, myśląc, że jest to sposób na uspokojenie sytuacji, a jednocześnie kolejna okazja, by służyć krajowi. Postawił jeden warunek: jego mianowanie nie będzie rozwiązaniem przejściowym, przyjętym ze względu na wyjątkowe okoliczności. Chciał otrzymać dostatecznie dużo czasu, żeby wprowadzić swoje idee w życie. Árbenz – albo ten, kto go reprezentował – zgodził się i od tej chwili dziadek otrzymał wsparcie bez ograniczeń.

Kiedy dziadek wyszedł z Pałacu Narodowego, zderzył się z demonstrantami, którzy nadal krzyczeli i protestowali na schodach. Poprosił ich o ciszę. Gdy się nieco uspokoili – co udało się osiągnąć z wielkim trudem – stojąc na stopniach

prowadzących do wejścia do pałacu powiedział:

– Panie i panowie, rząd republiki raczył powierzyć mi kierownictwo ośrodka, ja zaś stanowisko dyrektora przyjąłem z najlepszą wolą. Jednym z uzgodnień, które już przyjęliśmy, jest powrót trzech sióstr szarytek, w związku z czym proszę państwa o spokojny powrót do domów.

Po wiwatach i oklaskach jednego sektora protestujących poprosił, żeby obecni rozeszli się w pokoju, i skierował się do głównego domu zakonnego sióstr miłosierdzia, gdzie przebywała siostra Teresa z dwiema innymi mniszkami, które pracowały w ośrodku. Powiadomił je o mianowaniu go dyrektorem i poprosił siostry, żeby udały się do CEA, gdzie przybyły wśród sporej liczby straganiarek i innych kobiet.

Tymczasem inny sektor demonstrantów pozostawał naprzeciwko Pałacu Narodowego, wciąż wznosząc okrzyki. Miało to stworzyć okazję, którą – według *Diario de Centroamérica*, „oficjalnego rzecznika rewolucji” – wykorzystaliby strzelcy wyborowi, by rozstawić się w różnych punktach Parku Centralnego. Szóstą aleją nadjechał samochód, Hudson 46, prowadzony przez człowieka, który usiłował utorować sobie drogę wśród tłumu. Zbesztano go, on odpowiedział, doszło do sprzeczki, a kiedy próbowano go zaatakować, wysiadł z samochodu i zaczął biec. Widząc, że im uciekł, demonstranci wyładowali agresję na samochodzie.

„Samochód – pisała *La Hora* – został wywrócony do góry kołami, następnie wielokrotnie go obracano, wybito w nim szyby, wyrwano drzwi i inne elementy, aż przestał się

nadawać do użytku, a na koniec go podpalono”.

Zdjęcie z tym obrazem – samochód w płomieniach, pośród rozwrzeszczanego tłumu – pojawiło się na stronach tygodnika *Time* i zostało rozpowszechnione w różnych krajach świata.

Po pożarze zamieszki nasiliły się. Dominowały okrzyki „Śmierć Árbenzowi i komunizmowi!”. Nadjechały trzy ciężarówki policyjne i zaczęła się strzelanina, w której zginęło pięciu demonstrantów, a zraniono ponad pięćdziesięciu.

Niektóre informacje o tych wydarzeniach są mylące, ponieważ jedno z pozarządowych źródeł podwyższyło liczbę śmiertelnych ofiar do siedemnastu. Rząd zadekretował ograniczenie gwarancji konstytucyjnych.

Nie mogę Wam powiedzieć, czy dane, które czerpię z informacji prasowych z owych dni, są obiektywne i prawdziwe. Wiem tylko, że opisane wydarzenia głęboko smuciły dziadka, który przywracał normalność w ośrodku, „nie patrząc na kolory ani lewicy, ani prawicy. Po prostu – jak zadeklarował w *La Hora* – wypełniał misję zawodową”.

Opis dawnych stołówek ośrodka wychowawczego, który przedstawił w swoim *Pamiętniku*, daje wyobrażenie żałosnego stanu miejsca: „Sypialnie to wielkie sale, ciemne, o ponurym wyglądzie, w których z powodu braku dostatecznej wymiany powietrza atmosfera pozostaje chronicznie przesycona zapachem stęchlizny. Stoły – długie, nakryte porysowanymi granitowymi blatami, uniemożliwiającymi utrzymywanie ich w prawidłowym stanie czystości. Długie, niewygodne ławki do siedzenia. Byle jakie

obtłuczone naczynia i wybrakowane sztućce dopełniają nędznego obrazu”.

Zaczął wprowadzać zmiany z otwartym umysłem, nie unikając nazywania rzeczy po imieniu.*Diario de Centroamérica* zamieścił informację o jego pierwszych deklaracjach: „Doktor Cofiño pokazuje, że w Gwatemali jesteśmy opóźnieni o wiele lat, utrzymując ten ogromny ośrodek, że taki rodzaj koszarowych instytucji nigdzie już nie istnieje. Ośrodek powinien się rozpaść. Do problemu należy podejść przyjmując naukowe rozwiązania, odpowiednie dla takich przypadków. Nowy dyrektor jest za umieszczeniem chłopców w rodzinach zastępczych”.

W swoim *Pamiętniku* dziadek opowiada: „Moim pierwszym celem było uspokojenie nastrojów – co istotnie osiągnąłem, przedkładając

interes społeczny uczniów nad wszelkie inne sprawy – żeby stworzyć warunki, które sprzyjałyby obiektywnemu i beznamiętnemu zbadaniu sytuacji”.

Dziadek wiedział, że poprzedni dyrektorzy nigdy nie dysponowali niezbędnymi środkami rzeczowymi i ludzkimi ani wystarczającym budżetem, żeby móc rozwiązać istniejące problemy. Konsekwencją tego było, że „sierota – który w rzeczywistości jest zasadniczym celem istnienia ośrodka wychowawczego – został odsunięty na plan dalszy, przestano zwracać na niego główną uwagę i nie starano się, żeby jego wychowanie było integralne, a takie podejście stanowi prawdziwe zaprzeczenie prawidłowo ukierunkowanej pediatrii społecznej”.

Podkreślał z jasnością i zdecydowaniem, że „państwo

częściowo spełniło swój obowiązek, w tym sensie, że ofiarowało dach nad głową, odzież i pożywienie – z ograniczeniami, które wskażę później. Jednakże oczywiście i bezdyskusyjnie zawiodło pod względem wychowawczym. Nie tylko w integralnym znaczeniu tego słowa, ale również pod względem czysto szkolnym i pod względem nauki rzemiosł, w których to obu przypadkach spotyka się błędy i bardzo poważne braki”.

Próbował szukać pomocy w sektorze prywatnym. Osiągnął tyle, że niektórzy przedsiębiorcy współpracowali z nim w jego staraniach, nie spotkał się jednak z takim przyjęciem, jakiego oczekiwał. Pragnął, żeby główni ludzie odpowiedzialni za przemysł i handel pomagali w edukacji dzieci znajdujących się w ośrodku, ale jego wysiłek spotykał się „niekiedy ze zdecydowaną odmową, a innym

razem z oferowaniem pomocy, która w rzeczywistości była udzielana tylko częściowo”.

Jego rządy w CEA miały decydujące znaczenie dla ośrodka. Sklasyfikował i wybrał dzieci rzeczywiście potrzebujące takiej formy stałej opieki, doprowadzając do tego, by mieszkały tam tylko te, które nie mają rodziny. Odmówił akceptowania rekomendacji. Utworzył dobry oddział pediatryczny. Zmodyfikował system sypialń,**kończąc raz na zawsze z promiskuityzmem i zatłoczeniem.** I zreorganizował służbę medyczną.

Lista osiągnięć, których dokonał, jest niezwykle obszerna. Wyposażył w nowe materiały i niezbędny sprzęt warsztaty stolarski i blacharski, kuźnię, warsztaty szewski i krawiecki. Pozyskał do współpracy ponad trzydzieści prywatnych osób, które pracowały *ad honorem*. I

utworzył Szkołę Gospodarstwa Domowego dla dziewcząt, z kuchnią, pralnią, zajęciami z kosmetyki i kwiaciarstwa, sklepem, nauką zachowania w społeczeństwie i zarządzania domem.

Uruchomił nowatorski program prewencji społecznej „Kluczyk”, który polegał na wręczaniu klucza do ośrodka tym jego wychowankom, którzy ukończyli 18 lat, żeby nie stracili więzów z ośrodkiem i w razie potrzeby mogli doń wrócić.

Utworzył żłobek „Gniazdo” i przedszkole „Wróble” w gospodarstwie „Piękny Widok” oraz zorganizował kolonie wakacyjne „Jaskółki” dla zdrowiejących dzieci.

Przedstawił władzom projekt prawa dotyczącego ośrodka. Prosił w nim, żeby ustanowiono patronat, który uwolni inicjatywę prywatną od zależności od instytucji politycznych i oficjalnych, ponieważ „bardzo

często wspaniałe chwilowe złudzenia i wspaniale przygotowane projekty popadają w zapomnienie w szufladach jednego z biur ministerstwa”.

Mimo że sposób postępowania dziadka nie miał żadnego politycznego zabarwienia, podejmowano próby nadania jego działaniom wymiaru politycznego, ponieważ Ośrodek Wychowawczo-Opiekuńczy był zależny finansowo od sektorów społeczeństwa gwatemalskiego związanych z konkretnymi partiami. W odpowiedzi dziadek utworzył Radę Gospodarczą CEA, niezależną od partii i ich haseł.

Musiał na nowo skosztować – jak tylu ludzi, którzy zamierzają czynić dobro w swoim życiu – gorzkiego owocu oszczerstw. Dlatego nie dziwcie się, jeżeli w przyszłości zapłacą Wam tą samą monetą. W ten

sposób traktowano naszego Pana, a wszak uczeń nie będzie większy niż Nauczyciel. Zamiast podziękować dziadkowi za pracę, niektórzy wykorzystywali każdą sytuację, żeby go atakować.

Przyczyny były śmieszne. Na przykład, gdy nie przyjął tubylca na określone stanowisko w CEA, ponieważ kandydat nie miał dostatecznego przygotowania zawodowego, oskarżono go ni mniej, ni więcej, tylko o… rasizm! Człowiek, który przez tyle lat swojego życia promował tubylców i wspomagał najbardziej potrzebujące osoby w Gwatemali, nie bacząc w najmniejszym stopniu na kolor skóry – rasistą!

Oszczerstwa te (przy czym dziadek zawsze oszczercom przebaczał) nie osiągały celu, do którego zmierzały – odsunięcia go od kierowania ośrodkiem – ponieważ prezydent

Árbenz wielokrotnie i publicznie potwierdzał swoje zaufanie do niego.

„Były to lata ciężkiej, pełnej walki, ale wdzięcznej pracy – pisał dziadek. – A ta młoda kobieta – siostra Maria Teresa – była duszą tej walki, którą prowadziliśmy ramię w ramię”.

Wśród jego najwierniejszych współpracowników znajdował się Carlos Cossich, student ostatnich lat medycyny. Pewnego razu dziadek powiedział mu, żeby zbadał grupę dzieci. Cossich widząc, że nie są w stanie samodzielnie usiąść i utrzymywać prosto głów, wywnioskował – zgodnie z tym, czego nauczył się w trakcie studiów – że mają poważny defekt psychiczny.

– Doktorze – powiedział dziadkowi, zaalarmowany. – Tutaj jest czterdzieści osób z niedorozwojem umysłowym.

Dziadek popatrzył na niego z rozbawioną miną i odrzekł:

– Tak? Zobaczymy…

Zarządził, żeby zaprowadzono je do „Gniazda”, gdzie Cossich będzie je okresowo badał.

W „Gnieździe” były dobre pielęgniarki, które wprowadzały w życie, z inicjatywy dziadka, tak zwaną „wczesną stymulację”.

Stan dzieci stopniowo się poprawiał. Cossicha spotykała niespodzianka za niespodzianką. Najmłodsze dzieci, które kilka tygodni wcześniej nie były w stanie utrzymać się na nogach, stawiały pierwsze kroki, starsze natomiast wybiegały mu na powitanie, kiedy widziały, jak nadjeżdża samochodem.

– Niech pan przyjdzie tutaj, Cossich – powiedział mu pewnego dnia dziadek, uśmiechając się, kiedy

spotkali się w „Gnieździe” – i przedstawi mi swoich opóźnionych umysłowo!

– Nie ma ani jednego, panie doktorze.

– No widzisz… Teraz oddamy je do adopcji.

I objaśnił mu, na czym polega program adopcji, który stworzył zgodnie z wnioskami babci przygotowującej w Gwatemalskim Instytucie Ubezpieczeń Społecznych dysertację pod tytułem *Projekt organizacji rodzin zastępczych w Gwatemali*.

Założenia programu były bardzo innowacyjne jak na tamtą epokę. Teraz, co jest zrozumiałe, niektóre z nich się zestarzały, ale wiele innych wciąż wykazuje pełną żywotność, nadal rozwijając się w kierunku, który wskazali dziadkowie.

Jeśli chodzi o adopcję, dziadkowie wyprzedzili o kilka dekad mentalność typową dla swoich czasów, ustanawiając podstawy systemu podobnego do tego, który jest stosowany obecnie, pół wieku później, w przodujących w tej dziedzinie krajach.

W okresie, w którym dziadek rozpoczynał kierowanie ośrodkiem CEA, porzucone dzieci mieszkały w domach dziecka. Tam opiekowano się nimi do momentu, aż jakieś małżeństwo wybierało któreś z nich – to, które najbardziej mu się podobało – płaciło określoną kwotę i zabierało je do siebie.

Dziadek nigdy nie akceptował tego systemu, gdyż wydawał mu się on upokarzający. Nie chciał się godzić z zasadą, że przyszli rodzice wybierają albo odrzucają dzieci jak towary, bo są wysokie albo niskie, jasnowłose albo ciemnowłose. Mówił im:

– Dlaczego chcą państwo najpierw zobaczyć dzieci? To ja powinienem najpierw wiedzieć, kim państwo są, co robią, jak żyją…

I takiej kolejności przestrzegał. Dopiero kiedy uzyskiwał pozytywne informacje na temat przyszłych rodziców i kiedy miał pewność, że dzieci będą wychowywane w odpowiedniej atmosferze rodzinnej, zapadała decyzja o zgodzie na adopcję. Zachowała się obszerna dokumentacja na ten temat.

Na I Środkowoamerykańskim Kongresie Pediatrii w Kostaryce dziadek wygłosił na temat pomocy dzieciom osieroconym i porzuconym bardzo znamienny wykład, w którym przedstawił podstawowe tezy swojej metody.

Opieka nad takimi dziećmi była zadaniem pięknym, ale także trudnym i dramatycznym, ponieważ niekiedy dzieci chorowały, a niektóre

umierały. Pewnego razu Carlos Cossich stwierdził z niemocą, że z medycznego punktu widzenia nie może już zrobić nic, żeby uratować życie jednego z dzieci będących pod jego opieką. To musi być okropne, kiedy umiera małe dziecko, a lekarz jest bezradny, prawda? My, którzy nie jesteśmy lekarzami, nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich sytuacji. Lekarze natomiast muszą, we właściwy sobie sposób, stawić im czoło. W przeciwnym wypadku zostaliby w pewnym sensie sparaliżowani i nie mogliby dłużej wykonywać swego zawodu.

To właśnie przydarzyło się Cossichowi. Dziadek, zdając sobie sprawę z możliwych konsekwencji tego stanu, chwycił go za ramię, wyprowadził z budynku na zewnątrz i powiedział:

– Kucharkom rozbijają się naczynia. A dlaczego? Dlatego, że

pracują z naczyniami! A my, lekarze, pracujemy z chorymi… Niektórzy chorzy umierają! Mimo że zrobiłeś wszystko, co możliwe, żeby ich uratować. Dołożyłeś wszelkich starań!

Pocieszał go i dodawał mu odwagi, tłumacząc, że musi być silny, ponieważ, niestety, z pewnością znajdzie się w swoim życiu w takiej sytuacji niejeden raz.

Cossich pamiętał, że będąc świeżo upieczonym absolwentem uczelni medycznej spotkał kiedyś dziadka na wydziale. Gdy znaleźli się na osobności, dziadek zapytał:

– Cossich, czy pracuje pan już gdzieś?

– Nie, panie doktorze. Tylko tutaj.

Współpracował bowiem z wydziałem, ale bez wynagrodzenia.

– A w jaki sposób zarabiasz pieniądze?

Cossich wytłumaczył, że nadal jest uzależniony materialnie od swojej rodziny. Wówczas dziadek chwycił czek, podpisał go na odwrocie i powiedział:

– Od teraz będziemy się dzielić po połowie. W jednym miesiącu czek biorę ja, a w drugim ty.

I dawał mu taki czek przez bardzo wiele miesięcy, aż tamten uzyskał płatne stanowisko pracy.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś postępował w ten sposób – mówił Cossich. – Ja też jeszcze nigdy nie zrobiłem tego samego w stosunku do nikogo, pomimo dobrego przykładu, który mi dał Ernesto Cofiño.

Inny lekarz, De la Riva, opowiadał o podobnym zdarzeniu. Powrócił z zagranicy bez środków finansowych

wystarczających, żeby sobie poradzić, a dziadek, by mu pomóc, zastawił dom, żeby mógł on nabyć posiadłość.

– To są sprawy – mówił wzruszony De la Riva – które uszlachetniają duszę i które wryły się głęboko w moją pamięć…

Codzienny kontakt z cierpieniem dzieci nieustannie oczyszczał duszę dziadka. Jego obcowanie z Bogiem stawało się coraz intensywniejsze, tak samo jak jego troska o chrześcijańską formację swoich dzieci. Na Wielkanoc zabierał moich braci do El Molino, w gminie Tecpán, do domu rodziny Matheu. Tam, poza odpoczynkiem i zabawą w bardzo ładnym miejscu, mogli uczestniczyć w obrzędach religijnych w parafii.

W El Molino była tubylcza kucharka, która cierpiała od roku na bóle głowy. Dziadek zainteresował się nią i odkrył, że jakiś czarownik jej

powiedział, żeby nosiła na głowie wilgotną szmatkę, by obniżać temperaturę. To zaś właśnie nasilało ból.

Zawiózł kucharkę do miasta i zaprowadził do otorynolaryngologa, który ją wyleczył. A kiedy wróciła do El Molino, poradził jej, żeby w przyszłości więcej obcowała z naszym Panem i zapomniała o czarownikach…

Znał bardzo dobrze tubylczy świat. Mam wycinek z gazety z jego deklaracjami dla *La Tribuna del Pueblo*, dziennika z San Juan, w których stwierdza, że medycyna powinna być „jak drzewo, rozdzielające swoje owoce wszystkim, których chroni”. Trzeba dotrzeć do wszystkich środowisk społecznych – mówił zdecydowanie – a zwłaszcza do świata tubylczego: „musimy dotrzeć do Indian,

przywracać im zdrowie, wiarę i zaufanie”.

Kiedy pracował w CEA, w Gwatemali trwała jeszcze tzw. rewolucja październikowa[35]. Zaginieni i torturowani ludzie, więzienia przepełnione zatrzymanymi… Ofensywy pod znakiem komunizmu… Listy pasterskie i publiczne słowa krytyki ze strony abp. Rossella…

W owej napiętej atmosferze dziadkowie nadal wspierali działalność dobroczynną i rozwój społeczny. W dniu 30 lipca 1953 roku nadano babci tytuł pracownicy społecznej Uniwersytetu św. Karola. To pozwoliło jej współpracować z dziadkiem jeszcze ściślej.

Od 19 do 30 sierpnia tego samego roku odbyło się krajowe seminarium, zorganizowane przy wsparciu rządu przez Panamerykański Instytut Ochrony Dziecka. Dziadek był stałym

delegatem do tego instytutu, a działał w sposób tak aktywny, że prasa komentowała to tak: „dynamiczny dyrektor CEA jest w awangardzie mistrzów publicznej dobroczynności”.

Jego prestiż przekraczał już granice Gwatemali. W tymże roku, w dniach 6, 7 i 8 listopada, specjalizująca się m.in. w sprawach opieki nad dziećmi María Rosario Araoz opublikowała cykl artykułów w *La Nación* w Limie, stwierdzając w nich:

„W Gwatemali nie można mówić o ochronie dzieciństwa, nie odnosząc się do Ernesto Cofiño – niezwykłego człowieka, którego talent i serce dokonują w jego kraju jednego z piękniejszych i donioślejszych przeobrażeń w dziedzinie pomocy dzieciom. […] Ojciec pediatrii w Gwatemali, doktor Cofiño, jest nie tylko inicjatorem specjalistycznej pomocy dzieciom z medycznego

punktu widzenia. Jest również niestrudzonym propagatorem służby społecznej w jej najmądrzejszym znaczeniu”.

Sytuacja polityczna ulegała pogorszeniu do chwili, aż Jacobo Árbenz uznał, że musi podać się do dymisji. Stało się to 27 czerwca 1954 roku. Rozwiązano związki zawodowe i partie polityczne. W dniu 8 lipca władzę objął zawodowy wojskowy Carlos Castillo Armas, który następnie od 1 września sprawował urząd prezydenta republiki.

Niektórzy rozhisteryzowani komentatorzy twierdzili, że dziadek, który wyjechał wówczas do Stanów Zjednoczonych, udał się tam tylko po to, żeby wydostać z kraju syna prezydenta Árbenza, Jacobito, który był jego pacjentem.

Po powrocie do Gwatemali dziadek wyjaśnił, że odbył tę podróż z powodów ściśle osobistych.

Stwierdził przy tym, że gdyby musiał pomóc tamtemu dziecku, zrobiłby to z wielką przyjemnością bez względu na okoliczności, ponieważ był lekarzem i w swoich działaniach kierował się wyłącznie kryteriami humanitarnymi i medycznymi, a nie politycznymi.

Po obaleniu Árbenza nadal nękano dziadka, tym razem za pośrednictwem prasy antykomunistycznej. Nastąpiło przejście od klimatu fanatyzmu komunistycznego do klimatu fanatyzmu antykomunistycznego.

Oskarżono dziadka o bycie… komunistą (!), o oszukanie arcybiskupa i nowego rządu, o odbywanie podróży zagranicznych mających na celu troszczenie się o interesy Árbenza i tak dalej.

Jego postać była już jednak nazbyt dobrze znana w Gwatemali, by mogła dotknąć go tak prostacka

kampania prasowa. Nowy rząd utrzymał go na zajmowanych przez niego stanowiskach i…

…i będziemy o tym mówić dalej w innym liście.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ VII

1 stycznia 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Często myślę o dziadku. W rzeczywistości nie ma dnia, w którym bym sobie o nim nie przypominał, ale w tych dniach mam go szczególnie w pamięci. Kilka dni temu, kiedy widziałem w telewizji, jak papież otwiera Drzwi Święte, myślałem, jak bardzo by się dziadek cieszył, oglądając takie widoki. Ogląda je z pewnością z nieba, jestem tego pewien. Stamtąd będzie nam

pomagał w dobrym przeżyciu tego Jubileuszu – jubileuszu roku 2000!

Mówiłem Wam w moim poprzednim liście o jego działaniach w latach rządów Árbenza. Dzisiaj chcę Wam opowiedzieć o jego zachowaniu jako chrześcijańskiego lekarza, dobrego profesjonalisty, który stawił czoło problemom w sposób spójny etycznie i który ułatwiał dostęp do sakramentów swoim pacjentom, w ogromnej większości katolikom.

Jeżeli nowo narodzone dziecko znajdowało się w niebezpieczeństwie śmierci, dziadek sprawiał, że natychmiast je chrzczono. Jeżeli pacjent był umierający i o to prosił, dziadek zawiadamiał kapłana, żeby udzielił choremu ostatniego namaszczenia, jak wtedy nazywano namaszczenie chorych.

Jednak, stopniowo, odczuwał w duszy, że Bóg żąda od niego więcej w jego życiu duchowym. Więcej w

oddaniu innym. Więcej w poznawaniu wiary… I w 1953 roku zapytał swojego przyjaciela, arcybiskupa, czy zna jakiegoś kapłana, który mógłby nim duchowo pokierować.

„W tych latach – pisał – odczuwałem potrzebę zbliżenia się do Pana. Czułem, że potrzebuję tego dla spokoju duszy. Wychodząc od chorego przyjaciela, przy którym czuwałem, spotkałem się przy wejściu z abp. Rossellem, w towarzystwie księdza Antonio, który właśnie przybył do Gwatemali, żeby zorganizować w niej działalność Opus Dei.

Ten dzień miał dla mnie fundamentalne znaczenie, tak jak, w moim wyobrażeniu, dla wszystkich, którzy poszukują najpewniejszej drogi dojścia do Boga”.

Latem 1953 roku zdarzyło się to, co dziadek nazywał „wielkim spotkaniem”. Chorym przyjacielem, którego odwiedził, był doktor Alberto Vassaux. Natomiast ów ksiądz Antonio, towarzyszący arcybiskupowi, to ksiądz Rodríguez Pedrazuela[36], który miał wówczas dwadzieścia siedem lat, a na kapłana został wyświęcony kilka miesięcy wcześniej, w lutym.

Arcybiskup powiedział dziadkowi:

– Panie doktorze, mówił mi pan, że chciałby mieć kierownika duchowego. Może pan znaleźć go tutaj.

Dziadek był zaskoczony młodym wiekiem księdza, który natychmiast poprosił go o numer telefonu.

Ksiądz Antonio wspominał w swoich pamiętnikach: „Doktor i ja żartowaliśmy często na temat wzajemnego pierwszego wrażenia.

Pomyślałem: «zaskoczyło go, że poprosiłem go tak wprost o telefon», a uczyniłem tak dlatego, że byłem gotów sprawić, by jego marzenie o kierowniku duchowym nie spełzło na niczym. Ze swej strony doktor przypuszczał, że w duchu się zawahałem i że pomyślałem: «Uff! Jest trochę za stary. Zobaczymy, co on wart!»”.

Umówili się na spotkanie w domu przy ulicy Ósmej, w którym mieszkali ksiądz Antonio i ksiądz José María Báscones[37], inny kapłan z Opus Dei. Był to pierwszy ośrodek Opus Dei w Gwatemali, a został założony dzięki pomocy finansowej, wsparciu i wielkoduszności abp. Rossella.

Od tej pierwszej wizyty ksiądz Antonio pomagał dziadkowi pogłębiać wiarę. „Trzeba było zacząć niemal od początku, od najbardziej

podstawowych spraw” – mówił dziadek.

Wkrótce potem, jak już pisałem w moim poprzednim liście, dziadek wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Uczynił tak dlatego, że jeden z moich braci ciężko zachorował.

Dziadek pisał: „Musiałem pospiesznie wyjechać z kraju po otrzymaniu wiadomości, że mój syn, przebywający na amerykańskim uniwersytecie, dokąd go posłałem, jest ciężko chory.

Wyjechałem z kraju w bardzo trudnych chwilach (…). Zostawiłem w smutku moją żonę i dzieci.

Przybyłem na uniwersytet i zastałem bardzo zagmatwaną sytuację: przeciążenie pracą i nostalgia (…). Diagnoza (…) była poważna.

Byłem sam. Nie było nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć.

Wiadomości w prasie na temat sytuacji w moim kraju były bardzo alarmujące. Smutek ściskał mi serce niczym zimna i bezlitosna stalowa prasa.

W tamtym miejscu był tylko jeden kościół katolicki, o bardzo ubogim wyglądzie, ale o bogatej treści. Poszedłem tam. Byłem jedynym wiernym uczestniczącym we mszy świętej. Łzy tryskały z moich oczu strumieniami i obmywały mi twarz. Tworzyły jakby zasłonę dla mojego wzroku.

Jednak nawet w tej sytuacji, poprzez te łzy, widziałem na ołtarzu ukrzyżowanego Chrystusa naturalnych rozmiarów. Wydawało się, że chce On zejść z krzyża, do którego był przybity, żeby ofiarować mi swoją pierś z raną od włóczni, jakby dając mi tam schronienie…

Stopniowo łzy, które nie przestawały tryskać, stawały się coraz bardziej odświeżające, i stalowa prasa, ściskająca moje serce, słabła.

Kiedy przyjąłem Ciało naszego Pana, byłem już spokojniejszy, zaczynała pojawiać się ufność, poczułem, że Pan mnie nie opuści… I tak właśnie było.

Syn wyzdrowiał i powróciłem do kraju. Ponownie udałem się do Opus Dei i jasno zrozumiałem, że Pan powołuje mnie do tego Dzieła. Dlaczego? Niewątpliwie bez żadnej mojej zasługi.”.

Przed odejściem z centrum szpitalnego, gdzie pracował wiele lat, dziadek – było to dokładnie 9 września 1955 roku – postanowił przeczytać zeszyty dziennika szpitalnego, żeby sporządzić sprawozdanie z okresu swojego tam

zatrudnienia. Z bólem stwierdził, że nie zapisano tam wielu informacji.

„To prawdziwa szkoda, że przez 10 lat panowało całkowite milczenie w niejednej ważnej sprawie, niewątpliwie z niedbalstwa, a przecież miały miejsce liczne wydarzenia pod każdym względem godne wzmianki.

Pisano książki (dr Monzón, dr Girón). Wspierano interesujące prace, wyróżnili się liczni koledzy – ci, którzy odbyli specjalne studia, i ci, którzy praktykują w innych krajach.

Wyczuwa się w lekturze tych zeszytów tak wiele uczucia i szczerości, które prawdziwie są balsamem, kiedy powraca się z długiej drogi, z poranionymi stopami i ze zbolałym sercem.

Kilka miesięcy temu zostałem ponownie ordynatorem i zacząłem

prowadzić nauczanie w katedrze pediatrii, którą opuściłem na cztery lata (…).

12 lipca 1951 roku, w związku z niepokojami wśród ludności, objąłem kierownictwo Ośrodka Opiekuńczo-Wychowawczego (…). Cztery lata nieustannej walki, nadziei i zniechęcenia (…), całkowite porzucenie moich dawnych dyscyplin, służba medyczna, siostra Matilde, zajęcia w katedrze pediatrii…

Wszystko to zostało zastąpione żywym zainteresowaniem problemami społecznymi, a zwłaszcza opieką nad dzieckiem pozbawionym rodziny.

Co było warte to dzieło, czas pokaże… Na pewno należy powiedzieć, że żniwo było dobre, ponieważ duch może hartować się tylko w cierpieniu, doświadczenia zaś nabiera się tylko w walce…

O iluż rzeczach musimy opowiedzieć: o nadziejach, tryumfach, rozczarowaniach i porażkach…, a ponad wszystkim jest głęboka struktura uczuć, które są niezłomne i które na przestrzeni roku przyjmują cechy wieczności (…).

Ponownie oddam w ręce Carlosa Monzóna Malice ten zeszyt, żeby na kolejnych stronach spróbował przypomnieć główne wydarzenia tych 10 lat, w których zrobiono tak wiele.

Teraz jesteśmy lepiej uformowani, żeby wszystkie nasze czyny podporządkowywały się przykładowi Boskiego Nauczyciela (…), żeby On był naszym przewodnikiem, naszym wschodem, naszą podporą. Myślimy naprawdę, że te stworzenia, pokrzywdzone życiem, biedą, opuszczeniem, są Jego

własnym obrazem, który powtarza się jak w zwierciadle o tysiącu odbić w każdej cierpiącej istocie.

To południe 9 września 1955 roku jest rozświetlone, światło przenika w obfitości przez okno naszej kliniki (…), serce rośnie i optymizm wygładza ostatnie zmarszczki rozczarowań. Wszystko jest piękne, a my mamy najpiękniejszy zawód. Obyśmy nadal byli godni tego zawodu.”.

Carlos Monzón Malice był młodym lekarzem, któremu dziadek towarzyszył w jego ostatnich chwilach. Był najpierw „pacjentem, potem moim eksternem – pisał dziadek – moim rezydentem, a wreszcie pracował razem ze mną na szpitalnym oddziale i w katedrze pediatrii. O jego pracy opowiadano wielokrotnie. Umiał zostawiać ślad.

Jego przyjacielska dłoń ściskała moją, kiedy, w bardzo jeszcze młodym

wieku, opuszczał ten świat… Właśnie wówczas, kiedy biły dzwony wzywające na mszę w Boże Narodzenie…”.

W owych latach, od 1953 do 1955, dziadek wytrwale korzystał ze spotkań formacyjnych organizowanych przez Opus Dei. Uczestniczył w pierwszych rekolekcjach, które ksiądz Antonio i ksiądz José María zorganizowali w Gwatemali od 1 do 4 listopada 1955 roku i w których, chociaż zaprosili wielu przyjaciół, potwierdziło swój udział tylko czterech: Julio Obiols, Humberto Olivero, Francisco Arrivillaga i dziadek, który zresztą myślał, że rekolekcje zostaną odwołane z powodu braku chętnych.

– Nie, panie doktorze – powiedział mu ksiądz Antonio. – Ja poprowadzę te rekolekcje, choćby przyszedł tylko pan!

Te pierwsze rekolekcje miały miejsce w La Concepción Pixcayá, w pobliżu San Juan Sacatépequez, w gospodarstwie Maríi de Mirón. Moja mama, która odnosiła się do Opus Dei z miłością, zajęła się w owe dni przygotowywaniem posiłków.

Dużo później dziadek śmiał się, kiedy wspominał, że pierwszego dnia, przed obiadem, założył dla żartu swój biały fartuch i zaniósł uczestnikom rekolekcji tacę pełną napojów, udając kelnera. Żaden z obecnych nie wiedział jeszcze zbyt dobrze, na czym te rekolekcje polegają…

Ksiądz Antonio wytłumaczył mu cierpliwie, że rekolekcje to nie to samo co zjazd lekarzy albo jeden z owych kongresów, do których był przyzwyczajony. Nie było to zwyczajne spotkanie przyjaciół, którzy przybyli do jakiegoś miejsca na pogawędkę i na drinka. Celami

rekolekcji są modlitwa i głębokie zastanawianie się, jak poszukiwać świętości w życiu codziennym…

Po rekolekcjach dziadek nadal spotykał się z księdzem Antonio. „I tak – wspominał – zaczęła się przyjaźń, która stopniowo prowadziła mnie do poznania tego, czego oczekuje ode mnie Pan. Wreszcie Bóg ukazał mi to tak jasno, że byłem gotowy do napisania listu z prośbą o przyjęcie do Opus Dei”.

Poprosił o to przyjęcie 6 grudnia 1956 roku, chociaż zawsze podkreślał, że „poczuł”, iż należy do Dzieła, już podczas owego lata 1953 roku. „Tego samego dnia, kiedy je poznałem!” – powtarzał z mocą.

Był pierwszym supernumerariuszem Opus Dei w Ameryce Środkowej. „Formacja, którą dało mi Dzieło – pisał – poprowadziła mnie do przyswojenia sobie nauczania Kościoła, do głębokiego obcowania z

Bogiem poprzez wypełnianie niektórych praktyk pobożnościowych, do prowadzenia apostolstwa wśród przyjaciół w celu rechrystianizacji społeczeństwa, do nieustannego podejmowania starań o dobre wykonywanie pracy i wypełnianie moich obowiązków rodzinnych, obywatelskich i społecznych.

Innymi słowy – do zanurzenia w świecie, bez konieczności opuszczania go, żeby obcować z Bogiem”.

Babcia natychmiast zauważyła, że poprawił się pod wieloma względami w życiu codziennym. W obcowaniu z nią i z moim rodzeństwem, w okazywaniu radości… „Nie wiem, co zrobiliście z moim mężem – opowiadała szczęśliwa i rozbawiona księdzu Antonio – ale to cud!”.

Wiecie już, że ani mama, ani ja nie należymy do Opus Dei. Bóg nie

powołuje nas do służby na tej drodze; przynajmniej nie powołał nas do tej pory. Dlatego o tych wszystkich sprawach mogę powiedzieć Wam tylko to, co napisał dziadek, albo co opowiedziały mi pewne osoby z Dzieła.

Jednakże nawet nie będąc w Opus Dei byłem świadkiem – tak samo jak mama – w jaki sposób dziadek przeżywał swoje chrześcijańskie oddanie.

Nie wiem, jak Wam to wytłumaczyć. Oddał się Bogu w Opus Dei ze wszystkich sił swojego serca, ze wszystkich sił swojej duszy, całą swoją istotą, całą nadzieją, do której był zdolny. „Ja byłem tylko – pisze ks. Antonio – młodym, dwudziestosiedmioletnim kapłanem bez doświadczenia, świeżo przybyłym z Hiszpanii. On był znakomitym lekarzem, znanym w swoim kraju. Przyjmował jednak

rady o charakterze duchowym z wielką uległością, z wielką pokorą i z wielkim pragnieniem uczenia się”.

Enrique Fernández del Castillo pamięta go z porannych mszy o siódmej, punktualnego, śmiałego i szczęśliwego. Wkładał ten sam entuzjazm – duchowy i osobisty – we wszystko, co robił. Jego oddanie Bogu posłużyło mu, żeby blisko obcować z Panem i lepiej poznać samego siebie, zarówno z cnotami, jak i z wadami, do których przyznawał się z pokorą, starając się je zniwelować.

Na przykład zasugerowano mu, żeby, kiedy będzie zmieniał samochód (miał bardzo wielkie auto w kolorze zielonym), postarał się kupić inny, skromniejszy. Tak zrobił, coraz bardziej wyrzekając się rzeczy materialnych. Wydawał tyle, ile było konieczne, na ubranie, bez zbędnych wydatków, i unikał wszelkiej czczej i modnej rozrywki, uciekając w ten

sposób przed okazją do grzechu. W jego osobistych notatkach widnieje bardzo wyrazisty zapis: „Czy boję się kobiet? Nie, ja się boję samego siebie”.

Był głęboko pokorny, i chociaż ratował życie tysięcy dzieci, nigdy nie myślał, że to on je leczy. Nigdy nie chełpił się, mówiąc: „Jaki ja jestem zdolny!”. Nigdy też nie słyszałem, żeby mówił: „dokonałem tego, dokonałem tamtego” czy coś w tym rodzaju.

Każdego dnia podejmował starania, by się nawracać. Uświadomcie sobie, że oddał się Bogu w wieku prawie sześćdziesięciu lat. Nie macie pojęcia, ile kosztuje trudu, żeby zmienić się w tym wieku! Żyjemy tyle czasu z naszymi maniami i wadami, że w końcu zaczynamy je lubić…

Ja nie jestem stary, chociaż może się Wam tak wydawać. Brakuje mi sporo do sześćdziesiątki. Wiem jednak z

doświadczenia, że im dłużej człowiek żyje, tym bardziej wzrasta nieustępliwość, jeśli chodzi o wady innych, oraz wyrozumiałość w stosunku do tych samych wad u siebie samego. „To dlatego, że ja *zawsze* byłem taki” – mówimy, próbując się usprawiedliwić. Również dziadek mógł tłumaczyć się w swoim wieku, jak wielu innych, którzy mówią: „Gdybym zdawał sobie z tego sprawę wcześniej, w młodości! Ale teraz, w tych czy innych okolicznościach, jest już za późno, żebym oddał się Bogu. Mam już zbyt wiele lat, żeby się zmienić”. Ale dziadek nie zamykał swojej duszy na łaskę Bożą. I ta łaska oczyszczała go całkowicie.

Dzień po dniu widziałem, jak dziadek walczył, jak się wysilał, żeby usunąć ze swojego życia to, co oddzielało go od Boga, jak oddawał się Bogu w taki sposób i z taką miłością, że miłość

Boga odmładzała jego duszę w zdumiewający sposób.

Mówią, że artyści filmowi nigdy nie pozwalają się fotografować ze „złej strony”. My także na ogół próbujemy przedstawić najlepszy obraz samych siebie.

Dziadek walczył o to, żeby się zmienić. I prosił Boga, żeby udzielił mu łaski głębokiego nawrócenia… I Bóg mu tej łaski udzielił za pośrednictwem modlitwy, sakramentów, rad osób z Opus Dei oraz wydarzeń z życia codziennego, w których umiał dostrzegać rękę Bożą.

„Delikatną ręką – pisał – moi kierownicy duchowi obrabiali bezkształtny kamień, którym byłem, przy czym w stosunku do kamienia miałem jedną przewagę. Lubiłem być rzeźbiony, cieszyłem się, widząc, jak odpadają krawędzie i kanty. W

rzeczywistości nie zdawałem sobie sprawy z kształtu, jaki powstaje, ale wierzyłem w rzeźbiarza”.

Otworzył nowy rozdział swojego życia w wieku, w którym wielu ludzi zamyka okna swojej duszy. W owych latach, w których tak wielu wycofuje się do własnego wnętrza – nostalgia, wspomnienia, ziszczone lub nieziszczone pragnienia – on pozostawił swoje serce pełne nadziei, całkowicie otwarte na wolę Bożą.

Myślę, że jest to jedno z wielkich przesłań jego życia: zawsze jest pora, żeby się zmienić! Zawsze jest odpowiednia chwila na świętość! Zawsze ma się odpowiednio wiele lat, żeby oddać się Bogu! Nigdy nie jest za późno na Miłość!

Dokonał wielkich odkryć duchowych w wieku od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu lat. Te trzy dziesięciolecia to pełnia jego życia, przesiąknięta nową młodością jego

duszy. Odkrył sens, głębszy i bardziej nadprzyrodzony, swojej pracy. Już nie wystarczało wykonywanie jej dobrze po ludzku – to starał się robić zawsze; teraz mógł zamienić tę pracę w modlitwę, w pochwałę Stwórcy, w miłość do Boga. „Każdą działalność – mówił – rozwijam najlepiej, jak mogę, ofiarując ją Panu”.

Wam wydaje się czymś łatwym zdobywanie nowych przyjaciół spośród kolegów z klasy, z zajęć sportowych i kółek zainteresowań. Chcecie poznawać wiele osób i utrzymywać z nimi kontakty, i to jest dobre. Dziadek starał się poszerzać swój krąg przyjaciół w wieku, w którym jest o to bardzo trudno. Wiedział bowiem, że prawdziwa przyjaźń, która jest wielkim dobrem sama w sobie, to droga, żeby zbliżyć do Chrystusa wiele osób. Trzeba „prowadzić apostolstwo z moimi przyjaciółmi – pisał – żeby

zrechrystianizować to społeczeństwo”.

Nadal dbał o swoje stare przyjaźnie razem z nowymi przyjaciółmi. Odnosił się do swoich przyjaciół z miłością i okazywał im tę miłość słowem i przykładem oraz stałą troską o nich i pomocą w rozwiązywaniu ich problemów. Swoimi prośbami kierowanymi do nich pomagał im spełniać uczynki miłosierdzia i przejawiać solidarność w stosunku do najbardziej potrzebujących.

Jakże zmienił charakter! „Zupełnie stracił arogancję właściwą jego młodości – opowiada ciotka Uca – i był w stanie zrobić coś, na co ja nigdy bym się nie odważyła – prosił o pieniądze na różne dzieła (…). Nigdy nie jest rzeczą łatwą prosić o pieniądze, bez względu na to, jak wiele ma się powodów, żeby to robić. Poza tym on pochodził z bardzo

zamożnej rodziny, ale zapominał o tym. Nie przeszkadzało mu to”.

Myślę, że na początku było mu ciężko prosić o współpracę finansową i znosić odmowy i impertynencje, ale ofiarował to Panu. I to, co inne osoby mogły przyjmować jako upokorzenie, dla niego było źródłem radości.

Na stronach, na których wspominał swoje pierwsze dwadzieścia lat w Opus Dei, mówił z wdzięcznością „o tej pełnej miłości opiece, którą zapewniło mi Dzieło, o daniu mi możliwości służby Panu i o sprawieniu, że poczułem się niebezużytecznym narzędziem.

W trudnych i bolesnych chwilach Dzieło zawsze było obecne w moim sercu i w moim domu. Sprawiało, że łzy, nie przestając być łzami, zamieniały się w uśmiechy (…).

Deo gratias!”.

Ostatnie wydarzenie z 1956 roku. Mój brat Ernesto już się ożenił i pewnego pięknego dnia dziadek powiedział księdzu Antonio:

– Niech ksiądz mi pogratuluje, bo będę ojcem.

– Wspaniale. Ernesto będzie miał dziecko?

– Nie, nie. To ja będę ojcem! Clemencia jest przy nadziei!

Dzieckiem, którego się spodziewali, byłem ja. Urodziłem się 20 października 1956 roku. Mój tata miał wtedy pięćdziesiąt siedem lat.

Rozpoczął się nowy etap w jego życiu, tak samo niespodziewany jak poprzednie. Jednakże, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, porozmawiamy o tym w następnym liście. Ucałowania od

Taty

ROZDZIAŁ VIII

Styczeń 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Zakończyłem mój ostatni list na roku 1956, wspominając o chwili, w której się urodziłem. W połowie ubiegłego wieku… Jak to dziwnie brzmi, prawda? Ubiegły wiek[38]… Chciałbym opowiedzieć Wam coś o moim dzieciństwie. Przedtem jednak opowiem Wam, jak narodziła się w tym samym okresie inna z wielkich przygód życia dziadka – Stare Miasto (Ciudad Vieja).

Ksiądz Antonio opowiada o tym w swoich wspomnieniach. Pewnego dnia Enrique Fernández del Castillo zapytał dziadka:

– Panie doktorze, co pan sądzi o utworzeniu wielkiego ośrodka uniwersyteckiego?

I przedstawił mu swój pomysł. Chodziło o utworzenie w Gwatemali miejsca, w którym studenci mogliby uzyskiwać intelektualną formację wysokiej jakości, gruntowną i wymagającą; miejsca, które byłoby centrum nowoczesności i postępu w Ameryce Środkowej oraz przestrzenią dialogu i współżycia społecznego, gdzie ten, kto by tego pragnął, mógłby odnaleźć formację chrześcijańską.

Nie wiem, jakie myśli przebiegały wówczas przez głowę dziadka. Być może wspominał swoje lata w Paryżu, kiedy Gwatemalczycy musieli wyjeżdżać za granicę, żeby zdobywać wykształcenie uniwersyteckie wysokiej jakości. Być może myślał o przysparzających mu wielu cierpień sytuacjach konfliktowych, które były owocem braku dialogu, a także fanatyzmu i zapomnienia o Bogu… Tego nie wiem. Jednakże wiem, iż nabrał

otuchy, widząc, że dwaj inni ojcowie rodzin, również z Opus Dei – Walter Widman i Alfredo Obiols – zapałali entuzjazmem do tego pomysłu i że Opus Dei miało się zająć chrześcijańską formacją gwatemalskiej młodzieży.

W owym projekcie splatało się wiele spośród zawodowych, duchowych i osobistych ideałów dziadka. Dla niego, będącego pierwszym sekretarzem generalnym Federacji Stowarzyszeń Pediatrycznych Ameryki Środkowej, fakt przynależności do świata uniwersyteckiego jest „stanem, którego się nie traci. To nie toga, którą się zakłada i zdejmuje". I stan ten niesie ze sobą dużą odpowiedzialność społeczną, głębokie zobowiązanie do służby innym.

Opowiadam Wam dalej krok po kroku to, co opisał ksiądz Antonio.

Dziadek, Walter i Alfredo pomyśleli, że w celu wprowadzenia tego planu w życie powinni przede wszystkim ustanowić patronat, który zajmie się zarządzaniem finansowym, a także elementami ekonomicznymi, technicznymi i prawnymi projektu.

Jak pomyśleli, tak zrobili. Skontaktowali się ze swoimi przyjaciółmi, jak Juan Maegli, Ernesto Rodríguez Briones, Julio Obiols, Humberto Oliveros i wielu innych. Na pewno niektóre z tych nazwisk coś Wam mówią, dlatego że ci ludzie byli bardzo zaprzyjaźnieni z moim ojcem.

Ustalono datę pierwszego zebrania patronatu. A dokładnie w przeddzień zebrania został zamordowany prezydent Castillo Armas.

Wydarzyło się to 26 lipca 1957 roku. Prezydent szedł z żoną korytarzami Pałacu Prezydenckiego, kiedy jakiś żołnierz ze straży zaprezentował

przed nimi broń. Zaraz potem wycelował w Castillo Armasa i nacisnął spust. Dwa strzały dosięgły prezydenta, który zmarł kilka chwil później. Następnie żołnierz popełnił samobójstwo.

Ogłoszono stan wyjątkowy. Mimo to jednak dziadek ruszył z projektem Stare Miasto. Nigdy nie czekał z założonymi rękami, aż pojawi się to, co nazywa się sprzyjającą koniunkturą! Gdyby tak się zachowywał, niczego by w życiu nie dokonał. Prawie zawsze musiał iść pod prąd.

Zwrócił się do swoich przyjaciół i znajomych i zaczął prosić ich o pomoc finansową dla tego projektu, tłumacząc im, że to wszystko jest dla Boga i dla dobra bliźnich. „Każdy wstydzi się prosić o pieniądze – mówił. – Ja nie!”.

Jest to znak pokory. Komuż nie jest trudno – zwłaszcza jeśli jest się osobą

o pozycji społecznej dziadka – zwracać się z taką prośbą i znosić czyjąś arogancję, choćby miało to służyć pomaganiu innym?

Jak zwykle dziadek wyszedł przed szereg. Opowiadają, że przekazał na projekt Stare Miasto wynagrodzenie, które otrzymywał w jednym ze szpitali, w którym pracował: 70 quetzali miesięcznie. Ta suma odpowiada dzisiaj mniej więcej 1500 quetzalom; to tyle, ile zarabia urzędnik w publicznym biurze. Wówczas wpłaty, które wpływały, wynosiły po 5, 10, niekiedy 50 quetzali, co było uważane za duże kwoty.

Poszukiwano siedziby na przyszły ośrodek uniwersytecki i wreszcie natknięto się na willę z ogrodem w dzielnicy Stare Miasto. W sierpniu podpisano umowę najmu i nadano ośrodkowi nazwę identyczną z nazwą dzielnicy.

Moja matka pomagała mężowi we wszystkim – jak zwykle. Pewnego dnia dowiedzieli się, że zamknięto nielegalny dom gry i wystawiono na licytację różne przedmioty: obrazy, naczynia, stoły i zasłony. Dziadek odczuwał wstręt na samą myśl, że miałby udać się w takie miejsce, ale przełamał się i poszedł. Kiedy zobaczył zasłony z zielonego pluszu, które mogły bardzo dobrze nadawać się do kaplicy, postanowił je kupić, mówiąc:

– To dopiero jest uświęcanie rzeczy! Te zasłony pójdą z sali z ruletką do najlepszego miejsca, o jakim można by pomyśleć!

W tym samym 1957 roku, 12 grudnia, w święto Najświętszej Maryi Panny z Guadalupe, abp Rossell, który tak bardzo cenił Opus Dei, pobłogosławił wynajęty budynek na Starym Mieście.

Możecie sobie wyobrazić radość dziadka, gdy widział, jak kolejne marzenie jego życia staje się rzeczywistością.

Później, kiedy postanowiono wybudować od podstaw nowe centrum uniwersyteckie, zwrócił się o pomoc do swoich przyjaciół, państwa Piñol. Ludzie ci byli właścicielami terenu, który podarowali na ten cel. Przygotowano projekty, podpisano odpowiednie pisma i można było przystąpić do pierwszych robót budowlanych. Dziadek, który starał się co roku, w grudniu, odwiedzać w Meksyku sanktuarium Matki Bożej z Guadalupe, przebywając tam wraz z ciotką Clemen i myśląc o nowym centrum uniwersyteckim postanowił:

– Będzie tam potrzebny pierwszy kamień. Zawiozę go ja!

I kupił w la Villa de Guadalupe wykonaną z brązu figurkę Maryi

Dziewicy, która miała stać się kamieniem węgielnym nowego Starego Miasta. „Cóż może być lepszym fundamentem tego budynku – mówił – niż opieka Najświętszej Maryi Panny?”.

Kiedy odszedł na emeryturę, całkowicie poświęcił się realizowaniu projektu Starego Miasta, który wzbudzał w nim tak wielkie nadzieje.

„Po ukończeniu sześćdziesięciu lat – opowiadał – w czerwcu 1959 roku postanowiłem pożegnać się z tym, co przez 25 lat było moją pracą w szpitalu św. Jana Bożego i w katedrze pediatrii. Różne powody skłaniały mnie, żebym podjął taką decyzję.

Z jednej strony moi bardzo wartościowi współpracownicy mieli pełne prawo otrzymania kierownictwa obu tych instytucji, i mimo że w rzeczywistości dzieliłem się z nimi odpowiedzialnością,

uznałem, że nadeszła chwila, by przekazać im tę odpowiedzialność w stu procentach.

Z drugiej strony narastało we mnie niezwykle pociągające pragnienie: móc poświęcać więcej czasu Centrum Uniwersyteckiemu Stare Miasto, w którym w pewnym zakresie pracowałem od 1957 roku”.

Od tej chwili do końca swojego życia dziadek zużywał ogromną ilość energii na integralną formację rezydentów centrum uniwersyteckiego. Pomagał dyrektorom rozwijać programy edukacyjne i szkolił różne osoby, żeby w przyszłości mogły go zastąpić.

Stare Miasto było dla niego, jak mawiał, niczym „woda młodości”.

Nie myślcie, że po przejściu na emeryturę życie dziadka zaczęło szybko zmierzać ku końcowi. Przeciwnie – zaczęły się dla niego,

pod wieloma względami, lata pełni. W maju 1957 roku był w Monterrey na kongresie psychiatrii jako przedstawiciel Rady Dziecka, reprezentującej UNICEF. Wuj Francisco opowiada, że wystąpienie dziadka wywarło tak wielkie wrażenie na zgromadzonych, iż doktor Solís Quiroga, który przewodniczył kongresowi, zaproponował mu wygłoszenie przemówienia końcowego.

– Ja przecież nie jestem psychiatrą! – powiedział dziadek.

– Nie szkodzi – odrzekł Solís Quiroga. – Interesuje mnie pański humanistyczny charakter, pański sposób postrzegania świata przez pryzmat tego humanizmu, który często tracimy. Bardzo pana proszę, niech pan wygłosi końcowe przemówienie…

Dziadek zgodził się i przemówienie wygłosił.

Był to okres niespodziewanych wydarzeń również z rodzinnego punktu widzenia. Pomyślcie na przykład, że 3 września 1958 roku, w dniu, w którym wyszła za mąż ciotka Clemen, dziadek miał już żonatego syna – wuja José Ernesto – a ponadto troje dzieci mieszkających z rodzicami: dwoje bardzo młodych – moją szesnastoletnią siostrę Sofíę i mojego dziewięcioletniego brata Roberto – oraz jedno, które miało niebawem ukończyć dopiero dwa lata; to byłem ja.

To znaczy, że kiedy mój tata przestał zakładać mi pieluchy, jednocześnie przygotowywał się do bycia dziadkiem…

Jednakże nie opowiedziałem Wam jeszcze niczego o moim dzieciństwie… Nie szkodzi; porozmawiamy i o tym.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ IX

16 lutego 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Czasami śni mi się Wasz dziadek. Widzę siebie, małego, obejmującego go w pasie, kiedy jedziemy razem na jego białym koniu przez lasy San Juan Sacatepéquez, tak jak owego ranka, 1 stycznia 1963 roku, kiedy przekazano mu tę wiadomość.

Przebywaliśmy wówczas w Świętej Klotyldzie. Rano byliśmy wszyscy na mszy świętej, a potem dziadek i ja udaliśmy się konno złożyć noworoczne życzenia doktorowi Arguecie, mieszkającemu w pobliżu.

To wówczas powiedziano dziadkowi, że moja mama zachorowała.

Od razu wróciliśmy. Mama doznała wylewu krwi do mózgu. Dziadek

natychmiast zawiózł ją do miasta Gwatemala, do szpitala Bella Aurora, gdzie operowali ją doktorzy de la Riva i Sosa.

Była bardzo poważnie chora. Straciła świadomość, której już nigdy nie odzyskała. Był to dla nas niezwykle ciężki cios. To właśnie wówczas widziałem po raz pierwszy, jak dziadek płacze.

Lekarze powiedzieli, że trzeba ją chłodzić, aby nie dopuścić do zaburzenia objawów czynności życiowych. On zaś, mimo iż wiedział, że mama nie znosi zimnej wody, umieszczał ją codziennie na lodowym łożu.

Mama była w szpitalu tylko osiem dni. Operowano ją wielokrotnie, bez żadnego pozytywnego rezultatu. Nie można było nic więcej zrobić. Wreszcie dziadek zabrał ją do domu na wpół sparaliżowaną.

Wynajął ze szpitala łóżko, które na jego prośbę wyścielono tkaniną, co było drobnym wyrazem jego miłości w stosunku do niej. Mama nadal była nieprzytomna, nie mówiła ani nie mogła w żaden inny sposób komunikować się ze światem.

Nie mogła zamykać powiek i rozpoczęło się owrzodzenie jej oczu, owych przepięknych oczu.

Wówczas doktor de la Riva powiedział, że powieki trzeba będzie zeszyć. Tym smutnym zadaniem zajął się doktor Arturo Quevedo, a dziadek pomagał mu ze zdruzgotanym sercem.

Choroba trwała półtora miesiąca. Był to dla nas bardzo bolesny okres. Dziadek – który doskonale wiedział, że jego żona, chyba że zdarzy się cud, nigdy nie odzyska przytomności – zachowywał się z wielkim męstwem. Zajmował się wszystkimi jej potrzebami, również tymi

najbardziej materialnymi. I przyjął bez buntu wolę Bożą, nie dopuszczając, by zapanowała atmosfera tragedii. Rozmawiał z moim starszym rodzeństwem, żeby pomóc mu stawić czoło sytuacji, i starał się zapewnić mojej mamie wszelką możliwą opiekę duchową.

Wielu przyjaciół przychodziło, by go pocieszyć, a kiedy odchodzili, mieli wrażenie, że to raczej dziadek pocieszał ich.

On zaś prosił tylko Maryję Dziewicę, żeby zabrała moją mamę w którąś sobotę. Maryja wysłuchała go. Mama zmarła w sobotę 16 lutego 1963 roku.

Dlatego chciałem opatrzyć ten list dzisiejszą datą, bo właśnie dziś mija trzydzieści siedem lat od jej śmierci.

Czuwano przy ciele zmarłej tutaj, w tym domu, a arcybiskup Rossell, który tak bardzo kochał oboje moich rodziców, też był na czuwaniu i

odprawił mszę świętą przy jej ciele w jej pokoju.

Wszystko to opowiedzieli mi dziadek oraz moi bracia i siostry po latach, dlatego że ja nie pamiętam praktycznie niczego z owego półtora miesiąca. Dziadek przeczuwał, że koniec życia babci nastąpi szybko i wysłał mnie do swojego przyjaciela, dentysty Manolo Lary, bym mieszkał przez ten czas u niego.

Dziadek był przekonany, że babcia wstawia się za nami z nieba. Kilka lat wcześniej, w Boże Narodzenie 1957 roku, ksiądz Antonio zadedykował babci i dziadkowi egzemplarz*Drogi*, przywołując zdanie założyciela Opus Dei: *Panie doktorze, niech* Droga *pomoże Panu i Pańskiej żonie szukać Chrystusa, odnaleźć Chrystusa, miłować Chrystusa.*

Dziadek mówił później: „Te dobre życzenia się spełniły. Jeśli chodzi o moją żonę, to w całej pełni od chwili,

w której została przyjęta – co do tego mam moralną pewność, ponieważ była bardzo dobra – na łono Pana. A jeśli chodzi o mnie, to w postaci nadziei, że dotrę w to samo miejsce”.

Po jej śmierci postanowił, żeby będzie za nią odprawiana msza święta w każdą sobotę o szóstej rano w kościele seminaryjnym, dokąd udawał się jako lekarz, żeby opiekować się, nieodpłatnie, klerykami. Po latach miejsce owej mszy zostało zmienione na kościół Najświętszego Serca. Przez ponad dwadzieścia lat dziadek uczestniczył w tej mszy, składając w ofierze wstawanie we wszystkie soboty o bardzo wczesnej godzinie. Niekiedy mu towarzyszyłem.

Moja mama odeszła od nas bardzo szybko. Kiedy mój tata był młodym człowiekiem. Młodym… od wewnątrz! Miał 64 lata i był to dla niego bardzo ciężki cios, dlatego że

oboje byli do głębi szczęśliwi przez trzydzieści lat swojego małżeństwa.

Dlatego jeden z jego przyjaciół był zaskoczony, widząc go pogodnym podczas pogrzebu.

– Dobrze, żebyś wiedział – rzekł dziadek łagodnie – że to nie jest improwizacja.

Chciał mu w ten sposób powiedzieć, że przez wiele lat uczył się akceptować wolę Bożą i przygotowywać się, jeżeli Bóg tak postanowi, na tę tak krytyczną chwilę.

Życie podążało swoją drogą. Kilkanaście miesięcy później, w czerwcu 1964 roku, wyszła za mąż moja siostra, ciotka Sofía. Miałem wówczas osiem lat. W następnych miesiącach dziadek przygotowywał hołd, jaki naród Gwatemali pragnął złożyć abp. Rossellowi na jego kapłański jubileusz. Dziadek należał

do komisji, zajmującej się sporządzeniem stosownych pism i, co jest oczywiste, wykonywał to zadanie z jak największą miłością.

W czwartek 10 grudnia rozpoczęły się uroczystości. O dziewiątej rano, zgodnie z przewidzianym programem, tysiące mniszek z różnych zgromadzeń zakonnych przybyły, żeby pozdrowić arcybiskupa. Program obejmował mszę świętą, szereg przyjęć oraz poświęcenie nowego prezbiterium i ołtarza w katedrze.

Bóg zechciał jednak, żeby ów święty człowiek obchodził swoje święto w niebie. Owego ranka doznał zawału serca i zawieziono go do szpitala Herrera, w którym zmarł wkrótce potem, o dziesiątej piętnaście. W kraju zapanowało wielkie przygnębienie, a śmierć arcybiskupa oznaczała dla dziadka ogromny ból.

„Był głęboko związany z moim życiem – pisał. – Powiedziałbym, że był dla mnie światłem i wschodem prawie od chwili mojego powrotu do Gwatemali.

Zostałem mu przedstawiony przez Piedad Garcíę i od tej chwili uczestniczył on we wszystkich wydarzeniach mojego życia jako odpowiedni i idealny doradca.

Wprowadzał światło, miłość i zdrową radę w moje życie rodzinne. Obserwował moją pracę w szpitalu, cieszył się ze mną sukcesami w kolonii. Był właściwym światłem w ośrodku wychowawczo-opiekuńczym.

Nie ma praktycznie żadnego wydarzenia w moim życiu, w którym nie byłby na pierwszym planie: dyskretny, prosty, odpowiedzialny, skuteczny.

Zwykle mówię, że to on ukazał mi świetlistą drogę, do której przebycia otrzymałem powołanie”.

Arcybiskupem został mianowany Mario Casariego, który potem został kardynałem. Czy to nazwisko nikogo Wam nie przypomina? To był ów sierota, który pracował jako pucybut i którym, kiedy był mały, opiekował się ksiądz Rossell. Życie przynosi niekiedy zaskakujące zwroty.

Kolejny zaskakujący zwrot: dziadek został w wieku 65 lat z małym synkiem, czyli ze mną. Tego synka musiał wychować i musiał się nim opiekować. W praktyce byłem jak jedynak, dlatego że w 1964 roku moje rodzeństwo Ernesto, Clemencia i Sofía żyło już w związkach małżeńskich, a Roberto w tym samym roku pojechał na studia medyczne do Nawarry.

Dziadek próbował zastąpić mi w miarę swoich sił matczyną czułość,

chociaż ja nie zostałem opuszczony, dlatego że w owym okresie zamieszkała już z nami babcia Sofía, w stosunku do której on używał słowa „matka”, a ja – „mamía”.

Moja mama przeczuwała, że to ona odejdzie wcześniej niż jej mąż i od bardzo wczesnych chwil starała się, żebym bardzo przylgnął do dziadka. Dlatego od dziecka towarzyszyłem mu w jego wyjazdach do chorych, czekając na niego w samochodzie. Byliśmy sobie bardzo, bardzo bliscy.

Logicznie rzecz biorąc, on myślał, że żona go przeżyje. Był od niej starszy o jedenaście lat! Bóg jednak wie więcej.

Po śmierci mamy obcowanie z moim rodzeństwem nabrało czułości. Z tego, co mi mówili bracia i siostry, wynika, że wcześniej byłem wobec nich bardzo wymagający, dlatego że przeciwwagę stanowiła dla mnie czułość mamy. Jednak potem to się

zmieniło. Jedną z wielkich nadziei dziadka było oczekiwanie, że będzie mógł obserwować, jak rosnę. „Czy zobaczę mojego małego syna, jak zdaje maturę? – zadawał sobie pytanie. – Czy zobaczę, jak wstępuje na uniwersytet?”.

I opiekował się mną, jak gdyby był młodym dwudziestoletnim tatą. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tak wielu rzeczy! Mówił mi:

– Przygotuj się, José Luis. W przyszłym tygodniu jedziemy nad Río Dulce!

Podejrzewam, że w wieku prawie siedemdziesięciu lat nie miał zapewne zbyt wielkiej ochoty jechać nad Río Dulce, ale zabierał mnie i brał udział we wszystkim, co mogło stanowić rozrywkę dla dziesięciolatka. Zwykle przebywaliśmy tam od soboty poprzedzającej Niedzielę Palmową do połowy Wielkiego Tygodnia, czyli

do Wielkiej Środy. Jeździliśmy do Tikal i zatrzymywaliśmy się w niewygodnym bungalowie, który był dla mnie zachwycający ze względu na jego umiejscowienie w środku dżungli. Wciąż widzę siebie w nocy, u boku mego taty, w ciemności, słuchającego wycia małp…

Był moim najlepszym przyjacielem. Nie wiem, jak to wyrazić, ale darzyliśmy siebie wzajemnie ogromną czułością. Po śmierci mamy dziadek mógł zamknąć się w sobie i zająć się rozdrapywaniem swoich ran oraz opłakiwaniem jej braku. Myślał jednak o swoich dzieciach i walczył ze swoim smutkiem. Rozumiał, że jego synowie i córki, a zwłaszcza ja, który byłem mały, potrzebujemy jego radości i jego uśmiechu.

To dar Boga umieć zapanować nad takimi okolicznościami. Zawsze myślałem, że o ten dar wystarała się

dla dziadka moja mama z nieba, z rąk Maryi Dziewicy.

Kilka lat później, w okresie mojej młodości (ja również, choćbyście w to nie wierzyli, miałem kiedyś piętnaście lat), dobrze wiedziałem, że jeżeli przedstawię dziadkowi jakikolwiek problem, bez względu na jego powagę, powie mi, jak należy go rozwiązać, by nie bać się niczego. W pełni mu ufałem. Tak bardzo za nim tęsknię… Chciałbym móc go zapytać o tak wiele spraw!

Słuchał mnie i rozumiał mimo ogromnej różnicy wieku. Pomyślcie, że dzieliło nas, bagatela, pięćdziesiąt siedem lat!

Następnie – takie jest prawo życia – kiedy zobaczył, że nie ma już sił, przyszła kolej, żeby to on mi zaufał.

Jednakże zostawmy to do następnego listu. Ucałowania. Napiszę więcej za kilka dni.

Tata

ROZDZIAŁ X

18 lutego 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Jak wielu chrześcijan, dziadek miał nadzieję na wyjazd do Rzymu i pielgrzymkę do grobu świętego Piotra. Spełnił to pragnienie w październiku 1965 roku. Wcześniej zatrzymał się w Hiszpanii, gdzie odwiedził kilka inicjatyw apostolskich Opus Dei, jak Tajamar w robotniczej dzielnicy Madrytu czy Molinoviejo – dom rekolekcyjny niedaleko Segowii.

Z Madrytu udał się do Rzymu i spełnił swoje marzenie. Był blisko Namiestnika Chrystusa i modlił się przed grobem Apostoła Piotra.

9 października pewien kapłan, który zaczął pracę apostolską w Opus Dei

w Meksyku, ksiądz Pedro Casciaro, towarzyszył mu do Villa Tevere, gdzie mieszkał Założyciel. To, o czym Wam opowiadam, znam z notatek, które dziadek zrobił tuż po zakończeniu owej wizyty.

Dziadek był świadomy doniosłości tego spotkania: „Wkrótce – pisał – zjawił się Ojciec, a ja dziwiłem się, że nie odczuwam lęku ani skrępowania. Pragnąłem jedynie ujrzeć go, jak chłopiec, który przez wiele lat nie widział swojego ojca. Było to uczucie ufności, któremu towarzyszyła wielka miłość.

O godzinie zero mojego życia otworzyły się drzwi pokoiku i na progu pojawił się Ojciec. Średniego wzrostu, czarnowłosy, o przyjemnych rysach twarzy. Wszedł zdecydowanym, swobodnym krokiem. Jego oblicze rozświetlał życzliwy uśmiech”.

Na dziadku wielkie wrażenie wywarła radość Założyciela. To samo przydarzyło się podczas spotkania z Założycielem don Samuelowi, przedsiębiorcy zaprzyjaźnionemu z dziadkiem, narodowości żydowskiej i wyznania mojżeszowego, współpracownika Opus Dei, o którym opowiem Wam w innym liście. Don Samuel uważał za swój obowiązek przypomnieć św. Josemaríi, że jest Żydem. Założyciel zaś powiedział mu:

– Pójdź w moje ramiona, synu, dlatego że ty też jesteś dzieckiem Boga!

Dziadek pisał: „Don Samuel mówi, że nikt nie przyjął go z wyrazami bardziej szczerej i prawdziwszej miłości.”

Pierwsze słowa Ojca, zanim zajęli miejsca, wprawiły dziadka w zakłopotanie:

– Co zamierzasz zobaczyć, mój synu? Jestem tylko ubogim grzesznikiem. Mam wiele wad, mój synu, i wiesz co? Z niektórych z tych wad zdaję sobie sprawę i poprawiam się, ale obawiam się, że niektórych nie dostrzegam…

Ojciec mówił dziadkowi o miłości do Papieża i Kościoła oraz przypominał mu pewne zasady chrześcijańskie, żeby przekazywał je innym. „Istnieje paląca konieczność, żeby mieć wyraźną doktrynę” – powiedział dziadkowi, pytając po chwili serdecznie:

– Mój synu, czy to, co mówię, jest jasne?

Podkreślał konieczność miłowania wszystkich, bez różnicy:

– Wszystkich powinniśmy miłować, choćby nie myśleli tak jak my, choćby byli przeciwko nam!

Poradził dziadkowi, żeby szanował dobrowolne wybory kulturalne, polityczne, ideologiczne i innego rodzaju wybory innych osób, ucząc się ustępować.

– To nie znaczy – wyjaśnił – że coś jest dobrze, kiedy jest źle. Musisz pamiętać, że nie powinieneś ustępować w kwestiach wynikających z doktryny Kościoła. To już nie jest twoje i dlatego należy zachowywać świętą nieustępliwość. Z miłością i zrozumieniem możesz przybliżyć wiele dusz do Boga, ale kłócąc się i polemizując zdołasz jedynie je odepchnąć…

I od czasu do czasu powtarzał mu:

– Czy widzisz, mój synu? Ja jestem tylko ubogim grzesznikiem. Wszyscy powinniśmy czuć się grzesznikami wobec Boga, naszego Pana.

Powiedział dziadkowi, że w Opus Dei istnieje to samo powołanie dla

wszystkich – kapłanów i świeckich, samotnych i żyjących w związkach małżeńskich:

– Niech to będzie jasne. Nie ma odmiennego powołania dla kapłanów, dla numerariuszy i dla supernumerariuszy. Jest to samo powołanie, które Bóg zechciał dać nam wszystkim w miejscu i w warunkach, w których nas zastał.

W związku z tym wszyscy powinni korzystać z pożywienia z tego samego garnka – z miłości do Boga.

– W Opus Dei wszyscy jemy z tego samego garnka. Nie ma jednego garnka dla mnie, a innego – różnego – dla ciebie. Jest ten sam garnek. Wkładasz łyżkę i nabierasz, tak jak ja.

Na koniec powiedział dziadkowi słowa, które wyryły mu się w duszy:

– Oby Bóg zechciał, żebyśmy, ty i ja, mogli jeść z tego garnka w Niebie…

Ta długa rozmowa, trwająca więcej niż godzinę, pozostawiła głęboki ślad w pamięci dziadka i wpłynęła na dalsze jego życie. Było to potwierdzenie, pieczęć oddania Bogu. Oddania, które było bardzo hojne z wielu punktów widzenia. Również z punktu widzenia ekonomicznego. Pomyślcie, że za pieniądze, które dziadek zarobił, mógł sobie kupić wielki wspaniały dom i korzystać z wszelkiego typu wygód. Postanowił jednak mieszkać dalej w tym samym domu co wcześniej, zachowując te same meble, które miał, kiedy się ożenił, i żyjąc skromnie.

A co robił ze swoimi pieniędzmi? Rozdawał je pełnymi rękami innym: swoim dzieciom, Kościołowi, dziełom apostolskim Opus Dei, osobom potrzebującym. Dom Świętego Jana,

na przykład, gdzie był tak szczęśliwy z moją mamą, podarował z przeznaczeniem na realizację społecznych inicjatyw alfabetyzacji i edukacji dorosłych.

Nie dbał o próżny przepych. W całym swoim małżeńskim życiu odbył z babcią, jak już Wam mówiłem, tylko jedną podróż do Europy. I była to podróż robocza, z której wynikły wielkie dobrodziejstwa dla Gwatemali, ponieważ przywieźli szczepionkę przeciwko gruźlicy. W swoim życiu kupił najwyżej dwa nowe samochody. Reszta była z drugiej ręki. Żył wydając zawsze tylko tyle, ile potrzeba, bez zbytków.

Dziesięć lat później, w 1975 roku, dziadek ponownie spotkał się z Założycielem, kiedy ten przybył do Gwatemali. „Przybywa wyłącznie w tym celu – pisał dziadek – aby mówić o Bogu, i to właśnie robi, zarówno na małych lub indywidualnych

spotkaniach, jak i na wielkich zgromadzeniach, w których uczestniczą tysiące osób. Mimo gigantycznych rozmiarów tych zgromadzeń nie zostaje zatracona rodzinna atmosfera. Podczas nich – jak widzieliśmy w różnych filmach – Ojciec poświęca się bez miary”.

W długiej notatce dziadek opowiada szczegółowo o przybyciu Założyciela do Gwatemali 15 lutego 1975 roku. Pisze o zmęczeniu Ojca po wielu tygodniach katechezy w różnych krajach Ameryki i o grypie, którą zaraził się tuż po przyjeździe. Ta choroba uniemożliwiła mu spotkanie z setkami osób, które bardzo tego pragnęły.

Z powodu złego stanu zdrowia Ojciec odbył w Gwatemali tylko trzy spotkania. Dziadek był na jednym z nich, z kapłanami, które odbyło się 18 lutego.

Zadacie sobie pytanie, dlaczego właśnie na tym. To bardzo proste: dlatego, że miało ono miejsce w ośrodku Stare Miasto, obok biura, w którym dziadek pracował, i uczestniczył w tym spotkaniu, widząc wszystko i słysząc ze swojego okna.

„Jeśli chodzi o mnie – mówił – po raz pierwszy mogłem zobaczyć w Gwatemali Ojca, którego pamiętałem doskonale z mojej wizyty w Rzymie w 1965 roku. Oglądanie i słuchanie go dostarczyło mi sprzecznych uczuć: z jednej strony radości, ale z drugiej – smutku, kiedy zdałem sobie sprawę, że Ojciec nie czuje się dobrze.

Głos Ojca nie miał takiej energii, jaką znałem – co można też ocenić na podstawie nakręconych filmów. Jego gestom brakowało zwykłego wigoru. Wyraz jego twarzy był łagodny jak zawsze, ale bez zwykłej dla niego dynamiki.

Można by powiedzieć, że mówił z wysiłkiem. Być może wysiłek ten był niewidoczny dla tych, którzy wcześniej go nie spotkali.

Niezmienne pozostawały natomiast treść tego, co mówił, żywość i siła jego argumentów, szybkość i adekwatność odpowiedzi, ogromny ładunek duchowy bijący z wszystkiego, co wypowiadał.”.

W dziadku zostały tego dnia wyryte bardzo głęboko nauki Założyciela, które mówiły, co oczywiste, o sprawach kapłańskich. Powiedział on, że kapłani powinni poświęcać czas sakramentowi pokuty, głosić Słowo Boże z wiernością wierze, okazywać posłuszeństwo i szacunek własnemu biskupowi i wyrażać swoją miłość do Eucharystii.

Na zakończenie spotkania dziadek podszedł do Założyciela, żeby go pozdrowić:

– Jakże się cieszę, że cię widzę, mój synu! – powiedział mu Ojciec. – Niech ci Bóg błogosławi!

Tego samego dnia, o czwartej po południu, dziadek udał się ze swoimi przyjaciółmi Rafaelem i Mary de Piñol, którzy pomagali w tak wielu inicjatywach apostolskich, do Założyciela, który zechciał ich przyjąć, mimo że czuł się bardzo źle, i razem z nim spędzili kilka chwil.

„Do sali, w której się znajdowaliśmy, przyszedł Ojciec – pisze dziadek – jak zawsze serdeczny i pełen miłości. Od razu na wstępie powiedział do Mary:

– Moja córko, wiem o cennej pomocy, jaką wyświadczyłaś Dziełu i dziękuję ci za nią z całego serca.

Mary zaś odpowiedziała mu:

– Ojcze, mój mąż i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi, że możemy służyć Dziełu,

i to my jesteśmy wdzięczni za to, co mogliśmy zrobić.

Odpowiedź udzielona z charakterystyczną dla Ojca szybkością i szczerością brzmiała:

– Masz rację, moja córko, gdybyś ty mi tego nie powiedziała, powiedziałbym ci to ja: powinniśmy być wdzięczni za to, że Bóg pozwala nam, żebyśmy Mu służyli!

Czas mijał szybko. Byliśmy świadomi, że dla Ojca jest to duży wysiłek, zwłaszcza w sytuacji, w której powinien był wypoczywać.

Ojciec powiedział nam:

– Na tym świecie wszyscy jesteśmy wędrowcami. Udzielę wam błogosławieństwa na waszą wędrówkę.

Spotkanie trwało kilka minut, ale pozostawiły one w Mary i we mnie

głębokie uczucie wdzięczności… I stało się bardziej oczywiste, że powinniśmy dziękować Bogu, kiedy pozwala, żebyśmy Mu służyli.”.

Istnieje o wiele więcej zapisków dziadka. Jednak na dzisiaj kończę, bo zrobiło się późno. Jak powiedział poeta: *bije jedenasta, zasypiam / jutro też jest dzień*.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ XI

30 marca 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Oglądałem wiadomości o podróży Papieża do Ziemi Świętej, które przekazywano w telewizji. Zależało mi na tym tak bardzo, że zapragnąłem je wszystkie nagrać. *À propos*, Jorge, czy przypominasz sobie, jak kiedyś pomagałeś

dziadkowi ustawić kanały? Chociaż przygotował sobie odpowiednią instrukcję, miał z tym ogromne trudności…

Ta podróż Papieża była niezapomnianym historycznym wydarzeniem. Bóg spełnił jedno z jego wielkich pragnień: modlić się na górze Synaj, w Nazarecie, w Betlejem, przy Świętym Grobie…

Szczególnie interesowało mnie spotkanie Papieża z rabinami, i zaraz powiem Wam, dlaczego. Udało mi się „ściągnąć” z internetu tekst przemówienia z tego spotkania. Oto końcowe słowa Ojca Świętego:

Wiele nas łączy. Bardzo wiele możemy wspólnie uczynić dla pokoju i sprawiedliwości, aby zbudować świat bardziej ludzki i braterski. Niech Pan nieba i ziemi wprowadzi nas w nową, owocną epokę wzajemnego szacunku i współpracy dla dobra wszystkich!

W skrócie są to te same idee, które wyraził niemal trzydzieści lat temu żydowski przyjaciel dziadka Samuel Camhi, o którym Wam już mówiłem. Przyjaźnię się z jednym z jego synów.

Don Samuel był bardzo znanym w Gwatemali przedsiębiorcą. W jego domu tak kochano dziadka, że nazywano go „wujek Neto[39]”.

Dziadek poznał Samuela Camhiego za pośrednictwem jego pełnomocnika Salomona Elíasa, który przedstawił mu dziadka na początku lat sześćdziesiątych. Dziadek prosił wówczas o stypendia dla ubogich studentów z ośrodka Stare Miasto. Don Samuel i dziadek bardzo się zaprzyjaźnili. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Byli prawie w jednym wieku, a we wczesnych latach życia obaj, zwłaszcza don Samuel, doznali wielu cierpień. Obaj też odczuwali wielkie pragnienie

udzielania pomocy dzieciom i innym osobom potrzebującym.

Don Samuel urodził się w Smyrnie, w bardzo ubogiej rodzinie sefardyjskiej. W wieku dwóch lat został osierocony przez ojca. Jego matka przeprowadziła się z trojgiem dzieci do Jerozolimy, gdzie życie nie szczędziło im cierpień. Ostatecznie, kiedy późniejszy przyjaciel dziadka miał cztery lata, został oddany do adopcji pewnemu sefardyjskiemu małżeństwu – państwu Camhi.

To był dla niego wielki cios. W pamięć wryły mu się zwłaszcza obrazy z lat pierwszej wojny światowej, kiedy po ulicach Jerozolimy włóczyły się gromady niedożywionych i obdartych dzieci. Don Samuel rozpoczął naukę we francuskiej szkole w tym mieście, ale szkołę tę zamknięto, gdy wojna się skończyła. Z tego powodu stracił

szansę, żeby w przyszłości studiować w Paryżu.

Paryż! Być może, gdyby historia potoczyła się inaczej, spotkałby się z dziadkiem we Francji… Obaj w młodości „śnili” o Paryżu. Sen ten stał się dla dziadka rzeczywistością, ale pozostał tylko marzeniem dla don Samuela.

W początkach trzeciej dekady XX wieku zmarli przybrani rodzice don Samuela, który znowu został sam. Postanowił wyemigrować do Ameryki i w 1924 roku przybył do Gwatemali. Nie miał nic i startował „od zera”. Trzy lata później założył maleńki sklep o nazwie *Mi Amigo* (Mój Przyjaciel), który prosperował całkiem dobrze, ale rozpętał się sławetny kryzys 1929 roku i don Samuel stracił prawie wszystko.

Znowu zaczynał od podstaw. Wytrwała praca, po pokonaniu tysięcy przeszkód, w końcu

przyniosła mu sukces: założył sklep z ubraniami dla dzieci, sklep z zabawkami, a także wytwórnię tkanin.

Będąc już człowiekiem zamożnym poznał dziadka. Zaprzyjaźnili się natychmiast. W 1963 roku don Samuel był w Junkabal, ośrodku kierowanym przez kobiety z Opus Dei, który znajduje się w strefie 3, w pobliżu wysypiska śmieci. Jest to strefa niewiarygodnego ubóstwa.

Don Samuel, widząc pomoc, jaką świadczono tam potrzebującym jej kobietom, natychmiast zaofiarował swoje wsparcie finansowe. Kilka lat później, 15 maja 1971 roku, kiedy otwarto nowy budynek szkolny w ośrodku Junkabal, dziadek wypowiedział o swoim przyjacielu pełne pochwały słowa:

„Don Samuel był kupcem o wyraźnej wizji, któremu udało się zgromadzić wiele pieniędzy w sejfie…

Jednakże te majętności nie leżały tam, lecz wypływały przez drzwi jego serca, służąc do spełniania dobrych uczynków. To on zanosi chleb tam, gdzie jest głód, radość tam, gdzie są łzy, i szansę poprawienia czegoś tam, gdzie jest taka potrzeba, jak w tej szkole w Junkabal.

Dlatego, kiedy poznał ducha służby, który ożywia działalność Opus Dei, kiedy poznał Junkabal, pokochał tę inicjatywę, i od 1964 roku współpracuje z nią na wszelkie sposoby. Dzięki don Samuelowi ukończyliśmy w Junkabal budowę szkoły, przeznaczonej, bez względu na różnice rasowe, społeczne, finansowe albo religijne, dla wszystkich dążących do doskonalenia się.

Spełniał tutaj to, co sobie postanowił w Jerozolimie, kiedy był dzieckiem, udowadniając w ten sposób, że ma

wielkie serce i że człowiek jest wart tyle, ile warte jest jego serce.”.

Don Samuel słuchał dziadka ze wzruszeniem. W jego oczach ukazały się łzy, kiedy na jednej ze ścian nowego budynku szkolnego odsłonięto tablicę z następującym napisem:

Fundacja Samuela Camhi

Patronat, nauczyciele

i uczennice szkoły Junkabal

PANU SAMUELOWI CAMHI

na wieczną chwałę

za jego hojność, altruizm,

społeczną wrażliwość i poświęcenie

dla młodzieży

– Ten dzień był dla mnie bardzo szczególny dlatego – powiedział don

Samuel – że Bóg dał mi w moim życiu możliwości spełnienia moich obietnic pomagania ubogim. Dziękuję z całego serca za to, co otrzymałem od Boskiego Stwórcy Wszechświata. Żydzi i katolicy powinni wypełniać Boży nakaz „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”. Ludzki egoizm bardzo często uniemożliwia wypełnianie tego nakazu, ale gdybyśmy wszyscy mogli swój egoizm ograniczyć i bardziej się miłować, świat uległby zmianie.

W dniu 3 października 1969 roku Uniwersytet Świętego Karola przyznał dziadkowi najwyższe odznaczenie: medal uniwersytecki. Kilka miesięcy później, 26 stycznia 1970 roku, bardzo późnym popołudniem, zadzwoniła do niego Mary de Piñol z wiadomością o tragicznej śmierci w wypadku siostry Maríi Teresy Vanegas.

„Okrutne koła pociągu zniszczyły samochód, którym jechała – pisał dziadek – a ona, pełniąc swoją misję w Nikaragui, poszła prosto do nieba.

Nagła i straszliwa wiadomość przygniotła mnie – mówił, wspominając jej lata w ośrodku – (…) jej pracę, w której dni łączyły się w miesiące i lata…

Razem harowaliśmy, razem walczyliśmy, razem przeżywaliśmy smutki i radości (…).

Chodzi o to, że rzeczywiście jedyną rzeczą, dla której warto żyć, jest miłość. To ona przeobraża wszystkie czyny naszego życia. To ona sprawia, że drobiazgi mają wielkie znaczenie.

Trzeba wypełniać misję, którą Pan daje każdemu na jego stanowisku, bez konieczności opuszczania tego stanowiska.”.

Na dzisiaj to wszystko.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ XII

23 czerwca 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Dni mijały, a ja nie wiedziałem, co opowiedzieć Wam o tym okresie życia dziadka – o latach 1972, 1973 i 1974 – aż, przeglądając jego papiery, znalazłem długi list, który napisał 23 czerwca 1973 roku. Z tego powodu chciałem datować ten mój list właśnie na dzisiejszy dzień, kiedy mija dokładnie 27 lat od tamtej daty.

Dziadek zatytułował swój list „Opowieść o pewnej sobocie". Przepisuję go dla Was niemal słowo w słowo.

„Sobota, 23 czerwca 1973 r.

To, co w skrócie opowiem, wydarzyło się w tę sobotę. Dzień ten zawsze poświęcam w szczególnie dużym stopniu okazywaniu naszej Matce dowodów czułej synowskiej miłości.

W ciągu 8 godzin miałem możliwość uczestniczyć w szeregu wydarzeń, które głęboko zaznaczyły się w mojej duszy, jak strzały wypuszczone z siłą, miłością i rozumieniem Ducha Świętego.

Opowiem Wam krótko o tych wydarzeniach, żeby sprawić ulgę mojemu sercu.

W połowie dnia mieliśmy obiad w Altavista (naszym domu rekolekcyjnym) – zachwycającym miejscu, które sprawia wrażenie, jakby odrywało się od ziemi i przybliżało do Nieba. Byli tam: ksiądz Antonio, Enrique, Julio,

Víctor i Óscar. W charakterze gościa była też wielce umiłowana przyjaciółka, María, która wiele zrobiła dla Dzieła. Ja też tam byłem jako biesiadnik.

O co chodziło? O pełen serdeczności obiad, podczas którego mieliśmy dokonać pewnych ustaleń w odniesieniu do terenów, na których chcieliśmy zbudować szkołę męską el Roble.

Był to zatem obiad roboczy o wyraźnym celu, który stanowiła ta szkoła – źródło powołań dzieci i rodziców, miejsce formacji dla młodych ludzi, którym próbuje się zamieszać w głowach i do których demoralizacji się dąży.

Po obiedzie zwykle zaczynam drzemkę, która zawsze mnie dopada z powodu zwyczaju przesypiania niedługiej, ale koniecznej sjesty.

Po zakończeniu dzisiejszego obiadu i odbyciu spotkania także odczuwałem nieodparty przymus skorzystania z krótkiej upragnionej sjesty. Podjąłem się jednak pewnego zobowiązania i, cóż zrobić, trzeba było je spełnić.

Chodziło o moje spotkanie w Junkabal – naszej szkole zawodowej dla kobiet – z grupą studentek medycyny, z którymi chcieliśmy zrealizować pomysł zorganizowania studium medycznego dla uczennic wspomnianej szkoły.

Liderką grupy (było pięć dziewcząt) okazała się 19-20-letnia dziewczyna, która swoim obliczem wyraża to, co nosi w sercu. Studentki były zajęte przygotowywaniem się do egzaminów, w odniesieniu do których udzieliłem im kilku wskazówek.

Pracowaliśmy około dwóch godzin i na koniec Beatriz, nasza młoda liderka, zdołała wprowadzić w czyn swój pomysł, aby zaprowadzić koleżanki na medytację i błogosławieństwo w akademiku Verapaz, dokąd je odprowadziłem i gdzie spotkały się z dość liczną grupą dziewcząt.

W Junkabal była pani dyrektor, pracująca z dwiema ze swoich asystentek, wśród nich Lidią, zatrudnioną na portierni, która poza tym umie prowadzić czynne apostolstwo (...). Była tam również (*nie mogę odcyfrować*), która zebrała grupę pomocnic domowych znajdujących się w domu prowadzonym przez księdza Antonio L.

Wszystko to odciskało się już na mojej duszy, kiedy widziałem tak wiele młodych dziewcząt

zajmujących się formacją duchową.

Przyszedłem do domu około szóstej. Pora sjesty już minęła! Na biurku miałem broszurkę z jedną z homilii naszego Ojca: *Życie wiarą*[40]. Jej lektura była dla mnie szczególnie wdzięczna. Czułem, że moja zdolność rozumienia uległa zaostrzeniu.

Około 18.45 postanowiłem udać się do Ośrodka Studiów Wyższych, dokąd zwykle chodzę w soboty, żeby skorzystać z rozważania dla studentów i, naturalnie, zostać na błogosławieństwo. Była tam grupa trzydziestu czy czterdziestu osób.

Ksiądz Gustavo prowadził rozważanie dla studentów, wypełniających małą kaplicę. Było to wystąpienie dobrze skomponowane, głębokie, o mniej więcej następującym przesłaniu. Młody egoista, który nie umie albo

nie chce się poświęcić dla innych, jest jak nasionko zamknięte w grubej łupinie. Nie może jej rozbić i dlatego nie wyrasta na zewnątrz. Nie staje się rośliną i nie przynosi owoców. Umiera jak skąpiec pogrzebany ze swoim skarbem.

Po uroczystym błogosławieństwie chmury kadzidła wzniosły się wraz z modlitwami… Dobrze spałem tej nocy i obudziłem się trochę później niż zazwyczaj, była pewnie 6.30.

Bez udziału mojej świadomości przez moją głowę maszerowały wydarzenia poprzedniego dnia, a jednocześnie ujawniło się ich wyraźniejsze i głębsze znaczenie.

Oto w świecie, w którym żyjemy, kiedy prowadzona jest diabelska kampania, aby wygnać Chrystusa z serc, a nawet z Jego Kościoła, można mieć szczęście i spotkać się z osobami każdej kategorii, wieku i płci, zaangażowane w działanie

przeciwne – w przywrócenie Chrystusa w sercach, w misję apostolstwa i prozelityzmu, ożywianą przez Ducha Świętego i podtrzymywaną przez Maryję Dziewicę.

I ja również mam przywilej uczestniczenia w realizacji tej idei”.

To była dla niego zwyczajna sprawa. Kiedy coś wywierało na nim wrażenie, zapisywał to, żeby podziękować Bogu. A jeżeli był świadkiem wydarzenia, którego świadkiem chciałaby być również inna osoba, relacjonował je tej osobie szczegółowo w dowód miłości.

W innej notatce opowiada, że 28 września 1973 roku poszedł na uniwersytet na promocję jednego z kuzynów. Miał siedemdziesiąt cztery lata i tak dobrze wyglądał, że zwykle mówiono mu:

– Neto, naprawdę wyglądasz bardzo młodo!

– **Mam siedemdziesiąt cztery lata.**

– Tak? To świetnie się trzymasz! Dałbym ci dziesięć albo piętnaście lat mniej!

Uroczystość akademicka miała zacząć się o ósmej, ale jak zwykle się opóźniła i zakończyła się o dziewiątej wieczorem. Kiedy dziadek wyszedł z uniwersytetu, lało jak z cebra.

Ciotki i kuzyni rozmawiali na korytarzach wydziału, a dziadek udał się samochodem do domu ciotki, przy bulwarze Wyzwolenia (Boulevard de la Liberación), gdzie umówili się na imprezę.

Teren uniwersytecki był kiepsko oświetlony. Woda padała z taką intensywnością, że wycieraczki nie dawały rady usuwać strug deszczu z szyby. Na terenie El Trébol[41]

oświetlenie się poprawiło. Dotarł do świateł, które znajdują się na skrzyżowaniu z Avenida de la Castellana i zaparkował po drugiej stronie bulwaru.

Wciąż lało jak z cebra. Dziadek otworzył parasol i zaczął iść w stronę bulwaru, aż zdał sobie sprawę, że nie może przejść na jego drugą stronę, bo ulicą płynie strumień o szerokości prawie półtora metra. Samochody przejeżdżały na pełnym gazie, wzbijając wielkie fontanny wody.

Co robić? Jedną z możliwości było ponownie wsiąść do samochodu i przejechać ulicę. Postanowił jednak pójść wąską uliczką, która znajdowała się przy murze, żeby wejść na wiadukt kolejowy i w ten sposób pokonać jezdnię.

Wokół niego wszystko było ciemne i wydawało się puste. W oddali było widać tylko oświetlone drzwi ewangelickiego zboru. Poszedł w

kierunku wiaduktu i kiedy znajdował się na wysokości muru, poczuł nagły cios w żołądek, a jakiś mężczyzna ściskał mu ręką szyję. Został napadnięty.

Typów było dwóch. Podczas szamotaniny nie mógł widzieć ich twarzy. Popchnęli go, przewrócili w błoto i, bardzo zdenerwowani, zaczęli mu zabierać wszystkie wartościowe przedmioty, które miał przy sobie.

– Pospiesz się, zabierz mu wszystko! – krzyczał ten, który trzymał go za szyję, widząc, że drugiemu nie udaje się zdjąć obrączki z palca dziadka.

Nagle zostawili go leżącego w błocie i uciekli. Po kilku sekundach podszedł do niego funkcjonariusz policji, który zdziwił się, widząc go w takim położeniu.

– Co się panu stało?

– Przed chwilą napadło na mnie dwóch mężczyzn, którzy pobiegli tam!

Policjant udał się za przestępcami, podczas gdy dziadek, jeszcze bardziej zmieszany tym drugim spotkaniem (które oznaczało dla niego – i tak mówił zawsze – jakby spotkanie z własnym Aniołem Stróżem), podniósł się pobrudzony i obolały. Zabrał swój na pół utopiony w błocie parasol i zaczął chwiejnie iść w ciemnościach.

Kiedy przyszedł do domu i zobaczono, że ma siną twarz i zabłocone ubranie, przestraszono się i zaczęto zadawać mu pytania.

– Nie przejmujcie się, nie przejmujcie się. Wszystko w porządku, to nic takiego…

Ciotkom, które pomagały mu się przebrać, opowiedział, co mu się przydarzyło. Czuł się dobrze, chociaż

z trudem przełykał i odczuwał wyraźny ból w żołądku.

U każdej osoby w jego wieku takie przeżycie, poza znacznym strachem, wywołuje wzburzenie. Dla dziadka, który starał się *odczytywać* wolę Bożą we wszystkich sytuacjach, było to jak dotknięcie miłości Boga. Postanowił to zapisać – używając trzeciej osoby w odniesieniu do samego siebie – żeby nie zapomnieć nigdy o tamtym doświadczeniu.

„Wszystko, co się wydarzyło, tylko umocniło w nim jego głęboką wiarę, starannie zakorzenioną w Bogu, ale w Bogu, który w jego odczuciu jest bardzo blisko, tak blisko, że żyje w jego sercu, który daje mu się w codziennym pokarmie, który jest głęboko włączony we wszystkie przejawy jego życia.

Dla niego jest to fakt i nie wątpi w najmniejszym stopniu, że Bóg

udzielił mu Bożego powołania i powołał go do swojej służby, nie zabierając go z miejsca, w którym się znajdował: pośród świata, na łonie rodziny, z żoną i dziećmi, wykonując swój zawód, w całej pracy społecznej.

Nie wątpi również, że mimo jego niewielkiego znaczenia, jego nędzy i jego błędów, Bóg raczył uczynić go swoim narzędziem w celu dokonania wielu rzeczy dla dobra innych i równocześnie niesienia im Jego słowa, aby zbliżyć ich do Niego.

Człowiek ten wie doskonale, że wszystko, co otrzymał, to bezinteresowne dary, których otrzymania nie może wiązać z żadną własną zasługą. Dary te powinny przynieść plon dzięki jego pracy, a z posługiwania się nimi będzie musiał zdać rachunki, kiedy

Pan określi chwilę, w której będzie musiał opuścić ten świat.

W jego umyśle i sercu zrodziło się uczucie, że Bóg jest dla wszystkich – a zwłaszcza dla tych, którzy Go miłują – najbardziej miłującym i najtroskliwszym Ojcem, jakiego można sobie wyobrazić, lepszym niż wszyscy ojcowie i wszystkie matki na świecie razem wzięci.

Przez wiarę jest przekonany, że Bóg obcuje ze swoimi stworzeniami, ale z każdym w sposób indywidualny – po imieniu i nazwisku. Jego dobroć nie jest realizowana wprost wobec tłumu ani wobec osoby nieznanej, tylko wobec określonego i podobnego do Niego stworzenia, wobec Jego niepowtarzalnego *syna*.

Jak pojąć, że w ogromnym, niezmierzonym mrowisku, jakim jest świat, Bóg może rozpoznać

indywidualnie każdą ze swoich mróweczek?

Wiara mówi nam, że Bóg jest Wszechmogący i dlatego jest wszędzie, w każdym miejscu i z każdym ze swoich stworzeń.

Równocześnie Bóg jest MIŁOŚCIĄ, ale w takim stopniu, że nasz ludzki umysł nie może tego pojąć. Jego MIŁOŚĆ jest tak wielka, że dał nam swojego Jednorodzonego Syna, żeby nas odkupił.

Tylko w ten sposób można pojąć fakt, że chociaż znaczymy mniej niż niewiele, Bóg zajmuje się oddzielnie każdym z nas i dokłada starań, żebyśmy się do Niego zbliżyli".

Dziadek zrozumiał również, że poprzez opisane wydarzenie Bóg zachęca go, aby więcej pracował w Jego służbie i aby w większym stopniu oddał się w Jego ręce.

„Biedny człowiek, upokorzony, zabłocony i pobity, podniósł się i natychmiast poczuł się umocniony, zdając sobie ze zdumieniem sprawę z interwencji Boga. *Pan moim światłem i zbawieniem moim. Kogo miałbym się lękać?*

W tym dramatycznym wypadku Pan objawił się owemu człowiekowi, pokazał mu swoją miłość, ukazał mu, że chce, żeby nadal pracował i przynosił obfite owoce, nie zastanawiając się, czy pozostało mu jeszcze dużo czy mało lat życia.

I w owym człowieku wzrosła ufność do naszej Matki – tej, która podążała za swoim Synem krwawą drogą na Kalwarię. Tej, która była u stóp Krzyża, tej samej, której Chrystus powiedział, zanim skonał: *NIEWIASTO, OTO SYN TWÓJ*.

Ostatecznie nie stało mu się nic poważnego: wielki strach,

zabłocony garnitur, pobrudzone twarz i dłonie, ból szyi i brzucha, kilka straconych przedmiotów… W rzeczywistości praktycznie nic.

Jednakże dla tego człowieka to, co się wydarzyło, miało bardzo głębokie znaczenie: odczuł w swoim ciele rzeczywistą i miłującą obecność naszego Ojca – Boga, chroniącego i ratującego go.

To, co się przydarzyło naszemu przyjacielowi, stanowi przywilej, którego niewątpliwie niewielu ma okazję doświadczyć. Ktoś, kogo to spotkało, musi być świadomy, że znalazł się na krawędzi śmierci i że został ocalony w cudowny sposób. Jednakże przede wszystkim człowiek musi wiedzieć, z trwałym przekonaniem, że tym, kto podniósł go z ziemi, tym, kto wyciągnął do niego potężną rękę, był sam Pan – On, który na swojej drodze na Kalwarię musiał

powstać trzykrotnie bez niczyjej pomocy, żeby móc dotrzeć do odkupieńczego Krzyża”.

Inne zapiski dziadka mówią o kwestiach duchowych, rodzinnych lub medycznych. Potwierdza się w nich, że dziadek był do dnia śmierci lekarzem „pełną gębą”.

Był lekarzem – stwierdza Alejandro – w najszerszym znaczeniu tego słowa. Lekarzem jest ten, kto dba o zdrowie swojego pacjenta i walczy odważnie ze śmiercią, wykonując ten zawód ze wzniosłym poświęceniem. Doktor zaś, kiedy było trzeba, poza tym, że dbał o zdrowie ciała, dbał również o zdrowie duszy.

Znalazłem poruszające stronice, które przypominają śmierć mojej babci Sofíi, zwanej *Mamía*. Kiedy byłem mały, wydawało mi się naturalne, że nazywał ją „mamą” i że tak bardzo okazywał jej miłość na najróżniejsze sposoby. Teraz zdaję

sobie sprawę, że utrzymywał ze swoją teściową relacje oparte na wyjątkowym uczuciu. Razem gotowali, woził ją wszędzie i dbał o nią, jakby była jego własną matką.

Mamía gasła stopniowo przez cały 1973 rok. W październiku zaczęła w ciągu dnia kłaść się do łóżka, a dziadek szedł do jej pokoju, czytał jej książkę, żeby się rozerwała, modlił się z nią i ją pocieszał.

W listopadzie, w okresie nawrotu choroby, napisał długą relację, którą zatytułował „Ostatnie dni matki", jako ojcowski zapis dla nas, jej wnuków, żebyśmy wiedzieli, co wydarzyło się w owych dniach.

Jak widzicie, zawsze w tym, co robił, istnieje jakiś powód wynikający z miłości i uczucia.

„Czwartek, 15 listopada 1973 roku

Noc nie była szczególnie zła – zasnęła około 11 i jej sen wydawał się normalny. Około (*nie mogę odczytać*) obudziła się z bólem – co miało miejsce prawie zawsze – i dostała tabletkę.

Tej nocy spałem w jej pokoju. Cieszyła się, że tam jestem; prawdopodobnie chodziło o to, że czuje się jakby bardziej chroniona, kiedy jestem blisko niej. W chorobie i w starości zdarza się, że następuje powrót do dzieciństwa i młodości. Dzieci zaś lubią czuć się chronione, wówczas zasypiają spokojniej.

Mój budzik zadzwonił jak zwykle o 5.15. Powiedziała mi: «Nie wiem, co się dzieje, ale czuję się bardzo źle, i to nie z powodu bólu». Podobnie było już w minioną sobotę, kiedy miała bardzo poważny kryzys częstoskurczu.

Wydarzyło się to samo, co wówczas. Gwałtownie rozpoczął się kryzys częstoskurczu niemiarowego. Trudno było zbadać tętno, a jeszcze trudniej je policzyć. Ciśnienie strasznie spadło. Odczuwała wielki dyskomfort.

Na razie przyszło mi do głowy, żeby dać jej tabletkę leku Segontus i poczekać na skutek. Nie odważyłem się podać jej Digilamidu, bojąc się, że spowoduje to kumulację.

Już nie odszedłem od niej i przebywałem u jej łóżka, gdzie odmówiłem moją codzienną modlitwę.

O 6.30 opuściłem ją na chwilę, żeby zrobić moją zwykłą toaletę. Kiedy wróciłem, powiedziała mi, że nadal czuje się źle i żebym nie zostawiał jej samej (wiedziała, że o tej porze chodzę na mszę).

Zostałem. Tętno niepoliczalne przy 140 na minutę, niskie.

Zadzwoniłem do doktora Carlosa de la Rivy, konsultując z nim ten przypadek. Zakomunikował mi, że zaraz przyjdzie. I przyszedł. Uznał sytuację za bardzo alarmującą – istniało niebezpieczeństwo, że dojdzie do migotania serca.

Zadzwoniliśmy do doktora Alfredo Saravii, a Carlos już nie odszedł od boku chorej. Oczywiście zawiadomiłem telefonicznie Maríę i José Luisa – jej dzieci.

Carlos de la Riva zachowuje się w stosunku do mojej matki tak, jakby to była jego matka. Za każdym razem, kiedy przychodzi, całuje ją w czoło i ma dla niej łagodny, bardzo pocieszający ton głosu. Jego ręka zręcznego chirurga głaszcze ją z delikatnością ręki dziecka.

Teraz pozostał u jej boku, wzbudzając w niej ufność. Mówił mało, ale był bardzo inspirujący.

Dla mnie to wielka pociecha mieć go przy sobie – czuję się wspierany i rozumiany.

Około dziewiątej w mniej niż sekundę doszło do tego, co nosi nazwę (*nie rozumiem słowa*). Tętno, które wynosiło 140, spadło do 88 i stało się regularne. Ciśnienie uległo normalizacji. W takim stanie zastał ją doktor Saravia (…).

Byli jeszcze zaprzyjaźnieni koledzy, kiedy nadszedł ksiądz Juan, którego prosiłem, żeby przyniósł Komunię Świętą. Jest czymś pocieszającym widzieć, jak przychodzi, i naturalnie przyjęliśmy go z głębokim szacunkiem, w milczeniu.

W pokoju znajdował się okrągły stolik z marmurowym blatem przykrytym lnianą serwetą, z dwoma małymi kryształowymi świecznikami, Chrystusem z mojego pokoju, którego Roberto przywiózł mi z Hiszpanii, kryształowym naczynkiem z wodą i flakonikiem wody święconej. Kapłan, przebrany w szaty liturgiczne, żarliwie odmówił modlitwy przygotowawcze, których wszyscy pobożnie słuchaliśmy.

Nadeszła uroczysta chwila: «Oto Baranek Boży…». «Panie, nie jestem godzien» – i ukochana matka podniosła się, żeby przyjąć Ciało naszego Pana Jezusa Chrystusa… Końcowe błogosławieństwo.

Jakże wielkie było wrażenie pocieszenia; powiedziałbym, że została już «zaopatrzona» na swoją

ostatnią podróż, która nastąpi wówczas, kiedy Bóg tak zarządzi w swoim nieskończonym miłosierdziu. To On wybiera moment, w którym dusza jest gotowa, żeby powrócić na Jego łono.

Widzę już drogę, która się rozszerza i staje świetlista na koniec. Jezus z otwartymi ramionami, jak ojciec syna marnotrawnego, czeka na nią, by przycisnąć ją do swojego serca.

Nie będzie już więcej bólu, nie będzie już więcej smutku. Ona, która umiała dotrzymywać zobowiązań, otrzymuje koronę zarezerwowaną dla sprawiedliwych – «koronę życia, którą Bóg obiecał tym, którzy Go miłują».

To jest prawdziwe nawrócenie: w jednej sekundzie przechodzi się z życia do Życia. Jakże dobrze byłoby

zdać sobie sprawę z tego transcendentnego momentu! Jednakże nasza ludzka natura upada i zło ciała hamuje zmysł duszy.

Wszakże, w głębi, tylko Bóg wie, co dzieje się w owym sercu. Bóg jest miłością, a miłością jest rozumieć, nie stawiać granicy Jego Miłosierdziu”.

Prababcia zmarła 31 grudnia, w ostatni dzień 1973 roku, o wpół do drugiej w nocy. Prawie dokładnie dziesięć lat po tym, jak moja mama straciła przytomność.

Porozmawiamy dalej innego dnia. Dzisiaj ograniczyłem się do przepisania Wam tych listów, ponieważ wydaje mi się, że ukazują do głębi serce dziadka.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ XIII

Sierpień 2000 r.

Kochani Jorge, Paolu i Diego!

Nigdy nie zapomnimy w naszej rodzinie tego lipca i tego sierpnia. Przed laty, po śmierci dziadka, kiedy wydrukowano obrazek i zaczęły nadchodzić wiadomości o łaskach otrzymywanych przez osoby, które powierzały się jego wstawiennictwu, wydawało nam się to tak nadprzyrodzone, tak… nie wiem, jak to wyrazić, że przynajmniej ja nie odważałem się sobie tego wyobrażać. Było to jak sen, jak cudowny dar Boga.

A teraz staje się to rzeczywistością. Dlatego kiedy rankiem 31 lipca ogłoszono publicznie, w obecności arcybiskupa, dekret rozpoczynający proces kanonizacyjny dziadka, nie wiedziałem, co myśleć.

Byłem na uroczystości, tak jak mama, modląc się i dziękując Bogu. Jest to tak wielki dar Boga, że Kościół rozpoczął sprawę kanonizacji dziadka i że byliśmy przy tym obecni…

Nie wiedziałem, na czym polegają takie uroczystości. Nigdy wcześniej w nich nie uczestniczyłem. Potem powiedziano mi, że to pierwszy tego rodzaju diecezjalny proces w historii Kościoła w Gwatemali.

Cóż za odpowiedzialność! Jakże wielki dar ofiarował nam Pan! W owych chwilach prosiłem dziadka, żeby wstawiał się za nami i za Wami, którzy być może będziecie mieli szczęście oglądać go na ołtarzach (chociaż z całego serca poddajemy się w tej kwestii osądowi Kościoła), żebyście podążali jego śladem, żebyście byli dobrymi chrześcijanami i wnukami godnymi dziadka.

Było to bardzo piękne przeżycie, kiedy arcybiskup ogłosił *nihil obstat* Kongregacji do Spraw Świętych, stwierdzając, że kongregacja ta wyraziła zgodę na otwarcie procesu.

W owych chwilach prosiłem dziadka o modlitwę za całą rodzinę, za Opus Dei, za Gwatemalę, za Kościół na całym świecie, a zwłaszcza za młodych.

Przeżywamy historyczne dni. Kilka dni temu widzieliśmy w telewizji obrazy ze Światowych Dni Młodzieży i te dwa miliony młodych ludzi obok Papieża. Wiem, że chcielibyście się tam znaleźć, ale nie można było przebywać jednocześnie w Rzymie i tutaj, gdzie działy się rzeczy tak dla nas istotne. Na wszystko przyjdzie pora.

W przyszłości – któż to wie? – być może będziecie studiować w Europie jak Wasi wujostwo i ostatecznie poznacie europejskie kraje jak

własną kieszeń. W naszej rodzinie bardzo dużo podróżujemy. Ja byłem jedynym z rodzeństwa, który studiował w Gwatemali, i to nie dlatego, że nie miałem ochoty poznawać świata. Jeżeli chcecie, opowiem Wam szczegółowo tę historię.

Kiedy nadeszła pora, żebym poszedł na uniwersytet, mój tata uważał, że powinien dać mi te same szanse, co mojemu rodzeństwu, i zapytał mnie, gdzie chcę studiować. Myślał, że pragnąłbym pojechać do Stanów Zjednoczonych, jak moi przyjaciele. Ja jednak nie chciałem się z nim rozstawać. Byłem przekonany, że to, czego mogę się nauczyć od takiego człowieka, jak on, jest o wiele istotniejsze od tego, czego mogą mnie nauczyć na jakimkolwiek uniwersytecie na świecie, dlatego powiedziałem:

– Tato, będę studiował w Gwatemali. Chcę zostać przy tobie.

Potem, na uniwersytecie, próbowałem jako student – a teraz jako wykładowca próbuję nadal – wykonywać wszystko jak najlepiej, starając się iść jego śladem. Jednakże nie jest to łatwe. Dziadek wysoko cenił pracę, i to z różnych punktów widzenia: osobistego, zawodowego i duchowego. „Często czytałem i mówiono mi – pisał – o tym, czym jest praca w duchowości Opus Dei. Jest to istotny element naszego uświęcenia i uświęcenia innych. Dlatego nie należy wykonywać pracy byle jak”.

Tłumaczył, że praca uświęcająca „to taka praca, którą wykonujemy z wielką miłością, entuzjazmem i staraniem o doskonałość. Doskonalimy ją codziennie, codziennie staramy się wykańczać ją coraz lepiej, zamieniać coś

nieznaczącego w profesjonalne działanie.

Praca powinna być głęboko zmieszana z modlitwą, połączona z nią do tego stopnia, że powinna w istocie zamieniać się w modlitwę. To zaś osiągniemy, kiedy każdą pracę ofiarujemy Bogu.

Jeżeli wyjdzie nam dobrze, dziękujmy Bogu. Jeżeli wyjdzie nam gorzej albo całkiem źle, należy nie rozpaczać, ale dokładać wszelkich starań, żeby następnym razem wyszło nam lepiej”.

Dziadek był wtedy na emeryturze, co nie oznacza, że już nie pracował. Nie myślcie, że jego jedynym zajęciem było czytanie gazety w ogrodzie! A przecież bardzo lubił czytać. Zawsze zadawałem sobie pytanie, jak udawało mu się czytać z taką intensywnością, nie tracąc obecności Bożej. Zwróćcie uwagę, że w wielu książkach z biblioteki dziadka są

małe karteczki z aktami strzelistymi zanotowanymi jego charakterem pisma. Najwyraźniej używał ich jako zakładek, a pisał na nich to, co wychodziło wówczas z jego duszy.

Jednakże idźmy dalej. Wykorzystywał wolny czas na emeryturze, żeby… pracować. Przez wiele lat, w Caritas, zajmował się rozdzielaniem żywności dla pięciu tysięcy rodzin.

Nic nie było mu obojętne. W razie zaistnienia określonego problemu starał się robić tyle, ile mógł, żeby zaradzić sytuacji. Po trzęsieniu ziemi w 1976 roku[42] stanął na czele komitetu, utworzonego przez specjalistów i studentów, żeby pomagać ludziom z Sajcavillá, wioski w pobliżu San Juan Sacatepéquez.

Tam, pod jego kierownictwem, studenci ze Starego Miasta i jego przyjaciele uruchomili szkołę, pomagali odbudować kościół i rynek,

przygotowali latryny i inne urządzenia. Dziadek często jeździł do tej wioski i zachęcał do utworzenia Fundacji Integralnego Rozwoju, która wciąż działa na rzecz miejscowej ludności.

Wiele obszarów kraju leżało w ruinie. Było to straszliwe nieszczęście, jednakże w owych dramatycznych chwilach dziadek nie poprzestał na jałowych lamentach ani nie planował niewykonalnych projektów pozostających poza jego zasięgiem. W realistyczny sposób badał, co może zrobić, i robił to.

16 listopada 1979 roku obchodził zawodowy złoty jubileusz. Zorganizowano dla niego uroczystość. Wygłaszając przemówienie dziękczynne, wymienił na pierwszym miejscu postać babci:

„Praca zawodowa i życie są nierozłączne. Obok działalności

lekarsko-zawodowej i społecznej jest życie rodzinne i z serca gwałtownie wyrywa się drzemiące tam żywe wspomnienie mojej umiłowanej żony, Clemencii Samayoa, z którą Boże błogosławieństwo połączyło nas w 1933 roku i utrzymywało w trwałym i pełnym miłości związku do 1963 roku, kiedy to została przeniesiona do życia w pokoju.

Jej zawdzięczam – przyznałem to już na uroczystości mojego srebrnego jubileuszu zawodowego – to, czego mogłem dokonać. Ona była wytchnieniem w trudnych chwilach, otuchą w porażkach, radością w domu, który zapełniło pięcioro dzieci…

Jej winien jestem moją daninę niezmiennej miłości. Opuściła mnie, kiedy wiedziała, że jestem dość silny, żeby iść dalej moją drogą, drogą, która – o czym

wiedziała – stała się świetlista i uzyskała wyraźny cel.

Zamykam tę kartę i pozostawiam zamknięty między stronicami płatek róży, który roztacza aromaty miłości…”.

Później wspominał swoje lata w Paryżu i swoich wykładowców.

„Miałem doskonałych nauczycieli; wszyscy, bardzo kochani, żyją w mojej pamięci, przy czym niekwestionowane pierwsze miejsce zajmuje profesor Robert Debré, który opuścił nas niedawno, przeżywszy 96 lat cudownego życia wypełnionego pracą na wszystkich polach pediatrii, z pełnym miłości upodobaniem do pediatrii społecznej.

Kiedy osłabły siły fizyczne, pozostawała jego dalekowzroczna twórczość. Z tej epoki pochodzą dwie doskonałe książki: *L’honneur*

de vivre: témoignage[43] (opowieść o jego karierze) i *Venir au monde: la vie cachée de la fécondation à la naissance*[44] (wyraz szacunku dla rozpoczynającego się życia).

Odwiedziłem go kilka razy, ostatnio jakieś 5 albo 7 lat temu. Zwykł mnie nazywać *mon petit-fils*, swoim wnukiem. Pamiętam ostatni obiad u niego w domu przy ulicy Uniwersyteckiej, przy okrągłym stole, nauczyciel i ja *tête-à-tête*. Spożywaliśmy potrawę, którą, jak wiedział, lubię".

30 marca dziadek został mianowany honorowym członkiem Kolegium Lekarzy i Chirurgów Gwatemali. Owego dnia, po uroczystości, na której mówiono o jego osiągnięciach zawodowych, sporządził pewien rodzaj testamentu zawodowego i duchowego, który zatytułował „Przesłanie pediatry do kolegów".

Przepisuję Wam projekt jego przemówienia związanego z tym wyróżnieniem. Niektóre sformułowania mogą być nieco niejasne, ponieważ są to jedynie zapiski służące do przygotowania tekstu publicznego wystąpienia.

„Istotnie, spotykamy się wszyscy, którzy jesteśmy głęboko zanurzeni w atmosferze szczerej i gorącej przyjaźni zachęcającej do ufności, (*która pozwala mówić o*) takich sprawach, o jakich zwykło się mówić tylko z tymi, którzy są blisko serca.

Omawiano szczegółowo i z taktownie wyrażonym upodobaniem, zrodzonym właśnie z przyjaźni, to, czym była moja działalność w różnych dziedzinach przez ten długi okres 50 lat.

Jest naturalne, że to, co wyznaczało w pewnym momencie nowy kierunek mojego życia,

pozostawało na dyskretnym, odpowiednim miejscu.

Bardzo często dzieje się tak, że w przebiegu życia, w naszej codziennej i intensywnej wędrówce, wzbijamy kurz na drodze. To samo dzieje się z tymi, którzy nas otaczają. Ten pył, który się podnosi, osiada niepostrzeżenie na szybie okna, mającej za zadanie utrzymywać jasność w naszym życiu wewnętrznym.

Jako że proces jest bardzo powolny – można powiedzieć niezauważalny – jest wytłumaczalne, że chwilowo jego istnienie nie jest oczywiste i jasność zmniejsza się stopniowo, co prowadzi nas do stanu zaciemnienia.

Im mniej światła, tym mniej widoczne, mniej znane stają się otaczające nas przedmioty. W ten sposób tracimy sens rzeczy, które nie znajdują się tam, gdzie

powinny się znajdować, które chowają się przed nami, które zanikają. W ten sposób z przyzwyczajenia nie dostrzegamy już szczegółów.

To przydarza się nam, kiedy powoli odzwyczajamy się od dostrzegania we wszystkich sprawach obecności Boga. W abstrakcyjny sposób wiemy, że gdzieś jest, i nierzadko odkładamy relację z Bogiem na lepszą okazję. Możemy jednak być pewni, że Bóg nie zapomina o nas nawet na jedną chwilę…

Wielokrotnie czytałem pewną myśl Monsignore Josemaríi Escrivy de Balaguer, założyciela Opus Dei, która była tak silna, że przeniknęła mnie bardzo głęboko i otworzyła mój umysł na medytację. Myśl ta mówi tak:

«Powołanie zapala światło pozwalające nam rozpoznać sens naszej egzystencji. Jest to

przekonanie się, dzięki blaskowi wiary, o racji naszej ziemskiej rzeczywistości. Nasze życie – teraźniejsze, przeszłe i przyszłe – nabiera nowego znaczenia, głębi, której wcześniej nie przeczuwaliśmy. Wszystkie fakty i wydarzenia zajmują teraz swoje właściwe miejsce: rozumiemy, dokąd chce nas zaprowadzić Pan, i czujemy się jakby porwani tym zadaniem, które się nam powierza»[45].

Ta myśl, którą należy smakować z największą delikatnością, żeby przenikała do naszej głębi, ucieka nam z powodu nowych klęsk…

Z pewną jasnością wyróżnia się to, co jest istotne: przez sam fakt posiadania natury ludzkiej – obdarzonej tak wieloma przywilejami – staje się dla nas oczywiste, że musieliśmy przyjść na świat z pewnym rodzajem

«instrukcji», zgodnie z którą powinniśmy postępować jak istoty ludzkie.

W ten sposób zaczynamy przeczuwać albo poznawać do głębi, czym jest istnienie naturalnego prawa moralnego i jego elementu oceny, którym jest sumienie, jako dobrze nakreślona rzeczywistość, a nie kaprys, jakiego używaliśmy do kierowania niekiedy naszym postępowaniem.

Zdumiewamy się bogactwem, jakim dysponujemy w autentycznych wartościach chrześcijańskich, i widzimy, że wzgardziliśmy czystym złotem w zamian za błyskotki.

Dzięki temu coraz wyraźniejszy jest fakt, że nie wypada przytaczać ani szukać sprzeczności między nauką a religią. Jak to możliwe, że mogliśmy w to uwierzyć, skoro jest

tak oczywiste, że twórcą i nauki, i religii może być tylko Bóg?

Wówczas widzimy, że powinniśmy gorliwie poszukiwać Boga w każdej działalności naszego życia, umieszczać Go w głębi i na szczycie każdej działalności.

Jak jednak mogło dojść do takiej zmiany? Możliwe, że pewien przyjaciel, być może zwyczajny chrześcijanin, taki sam jak ty, odkrył przed tobą tę panoramę o zdumiewającej głębi, którą czasami jak gdyby baliśmy się zaakceptować, przestraszeni tym, co wydaje nam się tak głębokie i niezmierzone…

Doprowadzenie nas do poznania, umiłowania tej rzeczywistości to była praca, której poświęcił (…) swoje życie założyciel Opus Dei od 2 października 1928 roku, praca, która nie ustawała i która rozsiewała (…) duchowe nasienie.

Jakże dziwne wydawało się światu na początku to nauczanie, które stwierdzało, że wszystkie drogi na ziemi mogą być Boże! Jakże głębokie jest w tym znaczenie! I jakąż nowością (*okazało*) się wówczas stwierdzenie, że uświęcenie – to znaczy relacja z Bogiem – jest w zasięgu wszystkich, bez względu na wiek, pozycję, kulturę albo zawód czy zajęcie…!

Dla nas – zwłaszcza dla lekarzy – otwierają się szerokie horyzonty. My żyjemy zanurzeni w bólu, cierpieniach i śmierci, ale również widzimy z bliska ozdrowienie, tak bliskie zmartwychwstaniu.

Musimy przyjąć przywilej polegający na byciu wybranym jako narzędzie Boga.

To dlatego powinniśmy mieć bardzo wyraźny pogląd odnośnie do pozycji, jaką powinniśmy przyjąć jako lekarze, i bronić się

przed tymi, którzy chcą uczynić z nas narzędzia nie wiadomo jakich obłąkanych zamiarów. Przypomnijmy istotne zdanie profesora Jerôme'a Lejeune'a, profesora genetyki fundamentalnej na Sorbonie, który mówi: «Przez tysiąclecia medycyna walczyła o życie i o zdrowie, przeciwko chorobie i śmierci. Wszelkie odwrócenie porządku tych zasad zmieniłoby całkowicie samą medycynę»".

Szukałem jakiegoś innego wydarzenia z tego okresu, z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, i znalazłem to, co dziadek powiedział przyjaciołom 4 czerwca 1979 roku, w przeddzień swoich – osiemdziesiątych! – urodzin.

Zaczął tak: „Jesteśmy tutaj wśród prawdziwych przyjaciół. Nie sprawia mi przykrości bycie niedyskretnym

w stosunku do samego siebie i podniesienie zasłony mojej intymności”. I opowiedział im to, co czuł podczas celebrowania Eucharystii: „To było tak, jakbym stanął przed Panem i Jego Najświętszą Matką, błagając o Ich łaski i wyrażając Im mój ból z tego powodu, że Ich obraziłem”.

Mówił poufnym tonem: „W moim wnętrzu biją tysiące dzwoneczków, kiedy zderzają się wzajemnie ze sobą najróżniejsze uczucia – wspomnienia, które chcą się ukazać bez czekania na swoją kolej.

Muszę wprowadzić do umysłu trochę porządku, żeby ustawić wszystko na swoim miejscu, biorąc pod uwagę znaczenie i chronologię wydarzeń z tych lat mojego życia.

To jest jak gigantyczna łamigłówka, z tysiącami drobnych elementów o nieregularnym kształcie. Próbuje się je zidentyfikować dzięki zwyczajnym

szczegółom: ten niebieski kawałeczek przypomina jakąś szczęśliwą chwilę, a to światło zraniło mnie w odpowiednim czasie. Tutaj jest początek rośliny, tam dalej jest drzewo, z wieloma liśćmi…; ale nie tylko liśćmi, widzę tam pośród gałęzi kilka owoców.

A to tylko część obrazu. Brakuje tego, co przyjdzie i zostanie dodane w ciągu nielicznych lub licznych lat, których jeszcze brakuje do jego dokończenia”.

Przeszukując korespondencję dziadka znalazłem pismo datowane rok później. Była to odpowiedź na list, który napisała do niego Lourdes, przyjaciółka rodziny, w związku z chorobą swojego męża.

15 czerwca 1980 r.

Mój kochany doktorze Cofiño!

Był Pan tak blisko nas od 26 lat, jeśli chodzi o mnie, i nie pamiętam dokładnie, od ilu, jeśli chodzi o Carlosa; sądzę, że może Pan zrozumieć, co czeka nas teraz… Przeżyliśmy razem tak wiele pięknych chwil, było tak wiele miłości, tak wiele szczęścia, teraz życie staje się dla niego tak bolesne. Wie Pan co?… Choćby mówiono mi z całą miłością, że wszystko będzie dobrze i chociaż ja tego pragnę…, w głębi mojego serca są inne słowa Maryi Dziewicy, otrzymuję inne przesłania od Boga; nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło… Dlaczego teraz? Dlaczego teraz czuję się tak, jak na pustyni?

I nie brakuje mi wiary, nie brakuje mi obecności Bożej… To wielkie zło, które jest we mnie, jest o wiele gorsze niż to znalezione w rachunku sumienia Carlosa… Boli tak bardzo, sprawia, że płaczę jak mała dziewczynka, sprawia, że rozumiem albo czuję coś, czego nigdy nie przeżywałam…, ale

akceptuję to, doktorze Cofiño, rozbija mnie, ale akceptuję to i chcę zamienić to w modlitwy, i chcę zamienić to w lekarstwo, i chcę zamienić to we wdzięczność Bogu za tak wiele tego, co mi dał…, ale nie mogę… Czuję się taka samiutka na pustyni… Nie mogę myśleć…, czuję tylko, że atakuje mnie coś bardzo silnego i dominuje…, ale Bóg nie zostawił mnie i nie zostawi w tych chwilach i przyjmuję całą Jego Bożą wolę…

Proszę przyjąć moje najszczersze wyrazy miłości; nie muszę wypowiadać słów, Pan je czuje. Do usłyszenia wkrótce.

Lourdes

Dziadek odpowiedział jej natychmiast:

„17 czerwca 1980 r.

Moja kochana córko Lourdes!

Z głębokim wzruszeniem czytam tego ranka przy moim ukochanym biurku Centrum Uniwersyteckiego Twój bolesny list, w tych chwilach, w których Twoje serce – moje również – jest ściśnięte wobec rzeczywistości, wobec faktu, na którego przyjęcie nie byliśmy przygotowani.

Chcę, żebyś czuła, kochana Lourdes, że pustynię, na której, jak mówisz, chwilowo się znajdujesz, możesz przeobrazić w ogród, podlewany Twoimi łzami miłości i ożywiany obecnością naszej Świętej Matki z Guadalupe.

To nowy etap Twojego życia z Carlosem. Ty będziesz przekazywać mu optymizm, pozbawisz go zniechęcenia i dodasz mu odwagi, ufności i wiary w wyzdrowienie.

To prawda, że przeżywacie chwilę bardzo trudną, ale nie

beznadziejną, jak mogłoby być przed laty. Nauka poszła naprzód i wciąż idzie naprzód. Chorobę da się kontrolować i bardzo szybko zostanie całkowicie opanowana.

Maryja Dziewica może przesyłać Ci tylko wiadomości pełne nadziei. Ona, która zna boleści, umiała stać u stóp Krzyża. Poszła tam, gdzie nasz Pan dał nam Ją za Matkę…

Kiedy miną te pierwsze dni, odzyskasz Twoją zwykłą ufność i odwagę, żeby nadal walczyć. Wiesz, że jestem z Wami.

Ernesto”

W tym czasie studiowałem na uniwersytecie. I od 23 maja 1974 roku byłem narzeczonym Waszej mamy. Pewnego pięknego dnia 1979 roku postanowiliśmy się pobrać i umówiłem się z dziadkiem, żeby przedstawić mu mamę u nas w domu.

Wiele mu o niej opowiadałem, nie mówiłem tylko o jednej sprawie: mama nie była katoliczką. Nie powiedziałem tego dziadkowi nie z powodu braku zaufania, gdyż mogłem mu się sprzeciwić i wiedziałem, że on mnie wysłucha, rozważy moje opinie i oceni je. Bardzo mi ufał!

Jednakże tak wiele mówił mi o konieczności, byśmy – kiedy się ożenię – zapewnili wraz z żoną dobrą katolicką formację swoim dzieciom, że nie wiedziałem, jak mu o tym powiedzieć, i odkładałem to na później. Owego pierwszego dnia, kiedy mama przyszła do naszego domu, nie rozmawialiśmy o religii, po jej wyjściu uznałem więc, że dziadek nie zdawał sobie sprawy, jakiego wyznania jest narzeczona jego syna.

Jakże miałby nie zdawać sobie z tego sprawy! Dziadek miał szczególny dar

– sposób patrzenia, który przenikał duszę. W czasie, kiedy zostawiłem ich samych, rozmawiali o wierze chrześcijańskiej i nawiązała się między nimi relacja raczej ojca z córką niż przyszłego teścia z przyszłą synową.

Poczynając od owego dnia mama przedstawiała mu swoje wątpliwości, a dziadek tłumaczył jej, z wielką miłością, prawdy wiary. I tak, stopniowo, mama zbliżała się do katolicyzmu i wkrótce zaczęła chodzić z nami w niedziele na mszę.

Minął pewien czas. Kiedy mama miała już zdecydowane pragnienie przyjęcia chrztu, zdiagnozowano u niej chorobę, która mogła być poważna, i powiedziano jej, że musi poddać się operacji.

Była to operacja dość ryzykowna i dziadek zapytał przyszłą synową, czy pragnie się ochrzcić przed jej przeprowadzeniem. Mama

powiedziała, że tak – nie ze strachu, tylko dlatego, że tego pragnęła.

Dziadek zajął się formalnościami i 5 lutego 1980 roku ksiądz Antonio ochrzcił ją i udzielił jej Pierwszej Komunii Świętej. Dzięki Bogu operacja się udała i wkrótce potem mama przyjęła bierzmowanie w Pałacu Arcybiskupim.

Zaczęliśmy zatem przygotowywać się do ślubu. Był tylko jeden problem: dziadek uważał, że mama i ja powinniśmy żyć na własny rachunek, a ja nie byłem gotów zostawić go samego. Ileż razy rozmawialiśmy o tym, zawsze w tym samym pokoju dziennym…

Przypominał mi powiedzenie:

– Małżonkowie powinni mieszkać na swoim[46].

– Tatusiu – mówiłem. – Nie chcę, żebyś mieszkał sam. Dla Guiseli i dla

mnie nie oznacza to żadnej ofiary. Przeciwnie!

– Nie, José Luis. Wy potrzebujecie mieć swój dom i rozwiązywać swoje problemy w spokoju. Ja tylko bym przeszkadzał.

Spodziewałem się tej odpowiedzi, dlatego że znałem jego sposób myślenia; wiedziałem, że niełatwo będzie nakłonić go do zmiany decyzji w tej sprawie. Poza tym nie brakowało takich osób, które mówiły, że mieszkanie we trójkę będzie źródłem nieprzyjemności i problemów.

Ja jednakże byłem pewien, że tak nie będzie. Wreszcie porozmawiała z nim o tym ciocia Clemen i przekonała go, mówiąc:

– Tato, daj już temu spokój. Dzieci chcą z tobą mieszkać.

Wtedy się zgodził, chociaż działo się to wbrew temu, co tak długo uważał za właściwe. Było to możliwe dlatego, że był pokorny i umiał zmieniać zdanie. A kiedy się pobraliśmy, 30 maja 1981 roku zaczęliśmy mieszkać wszyscy troje w tym samym domu.

Od tego czasu dziadek się zmienił. Zrobił to z prostotą, tak, że niemal nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale musiało go to bardzo wiele kosztować.

Dokładał, na przykład, starań, żeby schodzić na drugi plan, żeby mama była naprawdę „panią domu”. I tak się stało: to mama budowała i burzyła, zmieniała zasłony, przesuwała meble, zdejmowała i kładła to, co chciała, z całkowitą wolnością. Nigdy nie było najmniejszego problemu. Postępował w stosunku do niej z mądrością i z prawdziwie cudownym taktem.

Dawniej cieszył się, zaskakując przyjaciół swoimi sałatkami *a la fatigué*. Zakładał czapkę kucharską i zamieniał się w gospodarza domu. Teraz, jeżeli mamie przypaliło się coś w kuchni albo nie udała jej się sałatka, udawał, że nic nie zauważył.

Inny człowiek, na jego miejscu, na widok nieudanego dania zacząłby się popisywać swoim kucharskim talentem albo udzieliłby lekcji swojej synowej. Jednakże dziadek traktował ją jak ojciec córkę, z wielkim zrozumieniem i ogromną miłością, nie mówiąc ani słówka!

Pozwalał, żeby Wasza mama, która ze zrozumiałych powodów była nieco niedoświadczona w prowadzeniu domu, sama podejmowała decyzje. Pozwalał również, nic nie mówiąc, żeby postępowała słusznie albo się myliła. Zamiast problemów przeżywaliśmy

ogromne szczęście. Byliśmy we troje tak szczęśliwi!

Wszystko ułożyło się zatem wbrew prognozom niektórych osób, między innymi dlatego, że dziadek nie był obsesyjnym osiemdziesięcioletnim staruszkiem, którego trzeba rankiem wyprowadzać na słońce, tylko dobrym i zabawnym ojcem, sympatycznym i optymistycznym, pełnym nadziei i planów, który nieustannie podejmował nowe wysiłki, żeby pomagać innym.

A jeżeli widział w sprawach domowych coś, co mogłoby się poprawić, sugerował mi: – **Słuchaj, czy mógłbyś powiedzieć żonie to albo tamto?**

Jednak z delikatności nigdy nie mówił tego mamie bezpośrednio. Traktował ją z wielką miłością i szacunkiem, doceniając jej zalety.

Jorge! Jaki zadowolony był dziadek, kiedy się urodziłeś! Chciał pomagać we wszystkim, nawet w zmienianiu pieluszek. Tak samo było z Wami – Paolu i Diego. Był swymi wnukami oczarowany: kołysał Was w ramionach, pieścił i nie przestawał na Was patrzeć. Jakżeby się cieszył, widząc Was teraz!

Zresztą na pewno widzi Was i zna Was bardzo dobrze. I pomaga Wam, jak nam wszystkim, z Nieba.

Ucałowania

Tata

ROZDZIAŁ XIV

3 września 2000 r.

Kochani Jorge, Paola i Diego!

Obecnie mija dziewiętnaście lat od chwili, kiedy w początkach sierpnia 1981 roku dziadka zaczęła boleć żuchwa. Poszedł do dentysty, który

powiedział mu, że prawdopodobnie to tylko podrażnienie spowodowane noszoną protezą. Po czterech czy pięciu dniach, jako że żuchwa wciąż mu dokuczała, lekarz poradził mu, żeby poszedł do analityka, który zrobił mu biopsję.

W czwartek 20 sierpnia dziadek zadzwonił do analityka, żeby dowiedzieć się o wynik biopsji. Lekarz powiedział, że woli przekazać mu go osobiście. Kiedy dziadek to usłyszał, wyciągnął wniosek: rak.

Nie mylił się: miał raka w śluzówce jamy ustnej, który rozprzestrzenił się na lewą stronę żuchwy. Przyjął wiadomość z pogodą i wychodząc z przychodni, wyjaśnił mi swój plan:

— Posłuchaj. Najpierw zrobimy to i to. Potem…

Cóż mogłem odpowiedzieć? Zgodziłem się, dlatego że któż lepiej niż on mógł zdecydować, co jest

odpowiedniejsze z medycznego punktu widzenia?

Teraz, czytając zapiski, które prowadził w owych miesiącach, rozumiem, że przeżywał ową sytuację w sposób bardzo odmienny od mojego. Pod względem ludzkim — z obiektywizmem lekarza, natomiast pod względem duchowym — z pogodą dziecka Bożego. Przepisuję dla Was to, co zanotował owego dnia:

Czwartek 20: o godzinie 16:00 umówiłem się na wizytę (…)… Już od tej chwili, co jest naturalne, byłem przekonany, że chodzi o nowotwór złośliwy. I przygotowywałem się do tego, co powinienem zrobić.

José Luis — mój syn — który śledził cały proces — towarzyszył mi w spotkaniu. Moim obowiązkiem było oswajanie go z tą sytuacją bez żadnych wykrętów.

Lekarz jasno wyraził swoją opinię, odpowiadając na moją prośbę przedstawienia spraw tak, jak się mają. Wycinki wskazują, że chodzi o raka typu płaskokomórkowego, który, na ile można sądzić — zważywszy na zakończenie fragmentu poddanego badaniu — wydaje się wyraźnie zlokalizowany i nie zaatakował warstwy mięśni. Z klinicznego punktu widzenia nie zauważa się zaatakowanych węzłów chłonnych w szyi. Rokowanie wydaje się korzystne.

Trzech lekarzy, którzy przeprowadzali badanie — dentysta, patolog i chirurg — sądzili, że być może wystarczające będzie ograniczona ekstyrpacja, z wcześniejszą lub późniejszą radioterapią.

W ten sam czwartek 20 sierpnia zaczęliśmy zupełnie obiektywnie rozważać sytuację z José Luisem.

Jest to zrakowaciały twór, którego zasięgu, mniejszego lub większego, nie można obecnie stwierdzić. Istotne jest, aby nie tracić czasu na konsultacje, nawet jeżeli jutro możemy zażądać, żeby inni anatomopatolodzy zbadali wycinki.

W każdym razie, bez względu na opinię, zdecydowałem się jechać do Houston.

Następnie dziadek pisze coś, co bardzo dobrze pamiętam: **Muszę powiedzieć, że miałem przelotną myśl, żeby wyjechać samotnie. Tylko mnie mógł przyjść do głowy taki pomysł. José Luis zdecydowanie go odrzucił.**

Oczywiście, że zdecydowanie odrzuciłem ten pomysł! Wiedziałem, do czego zmierzał dziadek, wypowiadając taką myśl. Chciał nam przysporzyć jak najmniej problemów.

Opowiadam Wam o tym, żebyście zobaczyli, że dziadek był człowiekiem zdecydowanym, ale nie nieugiętym. Natychmiast zrozumiał, że to tyko**przelotna myśl**.

Odkryłem w jego zapiskach sympatyczny szczegół. Owego dnia wieczorem, po wszystkich przygotowaniach (zakup biletu lotniczego w agencji, sprawdzenie wizy i paszportu, telefon do zaprzyjaźnionego lekarza z Houston, a następnie do cioci Clemen, żeby powiedzieć jej, że przyjedzie w poniedziałek, i tak dalej), po tym wszystkim… świetnie spał!

Ku mojemu wielkiemu ubolewaniu nie mogłem towarzyszyć mu do Houston, dlatego że w tych dniach zaczynałem pracę na uniwersytecie. Dziadek udał się stąd do Meksyku, a stamtąd pojechał do Houston z ciocią Clemen. W kilka dni później został przyjęty do szpitala. Zrobiono mu

wiele prób i analiz, aż w końcu lekarz powiedział:

— Panie doktorze, ma pan raka, który wychodzi z kości na zewnątrz. Nie ma możliwości zastosowania naświetlania. Jedynym rozwiązaniem jest amputacja żuchwy. Chce pan to przemyśleć?

— Nie, panie doktorze — powiedział dziadek. — **Przyjechałem oddać się w pańskie ręce.**

Wszystko poszło bardzo szybko. Przyjechali w poniedziałek, we wtorek rozmawiał z lekarzem, a w czwartek został zoperowany. Operacja zakończyła się sukcesem, chociaż wycięto mu część żuchwy, żeby założyć wewnętrzną protezę. Po ośmiu czy dziesięciu dniach powrócił do Meksyku z ciocią Clemen na rekonwalescencję.

Byłem bardzo zaniepokojony i pojechałem odwiedzić go w Meksyku, podczas wolnego z okazji 15 września*, obawiając się najgorszego. Jednakże moje troski rozwiały się, kiedy zobaczyłem go tak ożywionego jak zwykle, cieszącego się dobrym apetytem i wykonującego zalecone ćwiczenia rehabilitacyjne.

Kiedy wrócił, zabrał się do pracy, nie mówiąc nikomu o cierpieniach i przykrościach związanych z operacją. Chociaż miał nieco zniekształconą żuchwę i trochę zapadniętą wargę, wyglądał dzięki Bogu bardzo dobrze. Mówił i jadł bez trudności, nie musiał przyjmować leków i mógł prowadzić normalne życie. Chociaż jego życie w rzeczywistości nie było tak *normalne* jak na osobę w jego wieku…

Ten sposób postępowania — dowiedzieć się o problemie, poprosić

o radę, stawić problemowi czoło i rozwiązać go — był dla niego bardzo charakterystyczny. Był odważnym, śmiałym i zdecydowanym człowiekiem. Jednakże jego odwaga nie była zuchwałością, tylko owocem jego ufności w Opatrzność.

Nie bał się niczego ani nikogo, dlatego że czuł, że jest w ramionach swojego Ojca Boga.

Znacie już historię napadu. Opowiem Wam ją ponownie, żeby pozostawić ją na piśmie. To najlepszy przykład, jaki przychodzi mi do głowy, żeby ukazać jego ufność w Panu.

Wydarzyło się to w pewien czwartek 1987 roku, rano, kiedy prowadził kwestował z Alejandro Deutschmannem, żeby zdobyć darowizny na fundusz stypendialny ośrodka Ciudad Vieja.

Dziadek codziennie kwestował w różnych miejscach. Pewien jego

przyjaciel zapewniał, że w 1990 roku przeprowadził około tysiąca osobistych rozmów z przedsiębiorcami, wykorzystując te okazje, żeby zbliżać ich do Pana.

Owego czwartku, kiedy Alejandro właśnie zatrzymał samochód na ulicy, napadło na nich dwóch mężczyzn z odkrytymi twarzami, rozkazując im, żeby wysiedli. Jeden podszedł do dziadka i przyłożył mu pistolet do pasa. Wszystko odbyło się tak szybko, że dziadek nie zdążył zdać sobie sprawy z tego, co się dzieje, i próbował odsunąć tamtego człowieka, aż dopiero Alejandro powiedział mu:

— Panie doktorze, to jest napad. Chcą, żebyśmy wysiedli.

To miejsce znajduje się o dwie ulice od posterunku policji. Dlatego nie odważyli się tam ich obrabować. Krzyknęli do nich:

— Chodźmy! Wsiadajcie na tył samochodu! Szybko!

Kiedy wsiedli do samochodu, szef chwycił za kierownicę i ruszył z maksymalną prędkością, podczas gdy drugi celował w nich z rewolweru.

— Dawajcie wszystko, co macie!

Dziadek i Alejandro oddali portfele, zegarki, pióra…

— Teraz medaliki i obrączki!

Był to jedyny moment, w którym Alejandro spostrzegł wyraz bólu u dziadka, który nie mógł powstrzymać łez, kiedy oddawał tamtemu człowiekowi swoją ślubną obrączkę.

Tymczasem szef, bardzo zdenerwowany, krążył po ulicach. Myślał, że goni ich policja, i nie wiedział, co z nimi zrobić — wypuścić czy zabić.

Kiedy stwierdził, że nikt za nimi nie jedzie, postanowił ich zamordować, *załatwić*, w języku świata przestępczego, i powiedział temu z tyłu:

— Załatw ich!

Usłyszawszy to, dziadek zaczął się głośno modlić. Samochód wjechał na opuszczoną drogę, obok torów kolejowych. Było jasne: mieli tam zostać zabici.

Alejandro był niespokojny, ale widząc, że dziadek nadal głośno się modli, odzyskał spokój i przygotowywał się na dobrą śmierć.

Szef, bardzo rozdrażniony, powiedział do dziadka:

— Zamknij się wreszcie, staruchu!

Dziadek odpowiedział ze spokojem:

— Zawsze się modlę, a tym bardziej w takiej chwili. Modlę się,

żeby Pan was oświecił, dlatego że idziecie złą drogą.

Słysząc to, szef krzyknął:

— Idziemy!

I zatrzymał samochód trochę dalej. Wydarzyło się coś niezwykłego: typ, który celował w nich z pistoletu, otworzył drzwiczki i… pomógł dziadkowi wysiąść! Powiedział też do niego, wyciągając rękę:

— Powodzenia!

Dziadek odpowiedział:

— Nie, nie podam panu teraz ręki, dlatego że idą panowie złą drogą. Będę się dużo za panów modlił, żeby panowie odnaleźli Boga. A kiedy odmienią panowie swoje życie, będzie mi bardzo miło uścisnąć panom ręce.

Kiedy napastnicy odeszli, zdezorientowani dziadek i Alejandro

zaczęli iść, aż dotarli do domów, gdzie znajdował się sklep z urządzeniami elektrycznymi.

Weszli i poprosili właściciela, żeby pozwolił im zadzwonić. Człowiek ten, widząc, że są tacy bladzi, zapytał, co się stało i przygotował im kawę. Miał tylko jedną filiżankę i wymieniali się tą filiżanką.

Owej nocy dziadek spał dobrze. Następnego dnia ofiarował Mszę Świętą jako dziękczynienie Panu. Potem poszedł do sklepu, żeby ponownie podziękować właścicielowi i zaniósł mu w prezencie zestaw filiżanek do kawy. Od tego czasu, aż do śmierci, modlił się, żeby ci przestępcy odmienili swoje życie.

Przy innej okazji udał się z Alejandro Deutschmannem z wizytą do pewnego mężczyzny, żeby prosić go o dotację, a recepcjonistka potraktowała go w bardzo chamski

sposób. Alejandro był oburzony. Dziadek poprosił go, żeby się opanował, przed wyjściem napisał notatkę i dał ją sekretarce:

— Proszę posłuchać. Tutaj zapisuję nazwiska tych dwóch lekarzy. Radzę, żeby ich pani jak najszybciej odwiedziła.

Po roku postanowił odwiedzić ponownie owego mężczyznę. „Nie pamięta pan — powiedział Alejandro — jak potraktowała pana recepcjonistka?”

Dziadek się tym nie przejął. Przez wzgląd na Pana gotów był znieść wszelkie poniżenie. Kiedy przyszli do gabinetu, była tam nowa recepcjonistka, która powiedziała im, żeby chwileczkę zaczekali. Na ich przyjęcie wyszła kobieta pełniąca funkcję sekretarza wykonawczego zarządu, którą była… recepcjonistka sprzed roku!

— Panie doktorze! — powiedziała poruszona. — Wreszcie pana widzę! Jestem panu bardzo wdzięczna, dlatego że poszłam z wizytą do jednego z lekarzy, którego mi pan polecił i powiedział, że cierpię na poważną chorobę, chociaż wcale o tym nie wiedziałam. Poza tym przeżywałam trudną sytuację w moim małżeństwie i sytuacja ta została pomyślnie rozwiązana. Niewiele brakowało, żebym straciła tę pracę, a tymczasem awansowałam na kierowniczkę…

Uciekam się ponownie do *życiorysu* dziadka, który jest dla mnie tak użyteczny. Napisał ten życiorys, dlatego że bardzo go o to proszono. Nie lubił robić list zasług i wyrazów uznania. Teraz, czytając życiorys, dowiedziałem się o nieznanych mi aspektach życia dziadka. Otrzymał, na przykład, wiele wyróżnień, o których nigdy nie słyszałem, dlatego

że chociaż za nie dziękował, nie lubił się niczym popisywać.

Chociaż było jedno wyróżnienie, który szczególnie wzruszało dziadka — w 1950 roku został kawalerem legii honorowej klasy oficerskiej z nadania rządu francuskiego.

Nie działo się tak z próżności, tylko dlatego że jest to jedno z najwyższych francuskich odznaczeń, a on tak bardzo kochał ten kraj! Zwykli tak mówić goście, kiedy przychodzą do domu i widzą napis *Paris mon coeur*[*] na barku, flagę z mapą *słodkiej Francji* i tak wiele wspomnień na temat kultury francuskiej:

— Pan doktor bardzo lubił Francję, prawda?

Tak. Używając jego słów, odczuwał **głęboką miłość** do Francuzów, których określał jako **szlachetny naród, który zachowuje**

umiłowanego ducha łacińskiego. Z okazji odznaczenia dziadka legią honorową czasopismo *Revista* z San Juan, miasta, w którym tak wiele pracował, stwierdziło:

„Gwatemala powinna uznać to, co jej wybitny syn, oddał jej w ciągu dwudziestu lat swojego życia zawodowego. Francja, państwo, które oświeca świat blaskiem swej sztuki i nauki, uczyniła sprawiedliwość, nadając mu najwyższe odznaczenie.”

Doktor de la Riva stwierdził w oświadczeniach telewizyjnych: „W Gwatemali pozostawił niezatarty ślad w każdym znaczeniu jako człowiek i mistrz, jako ojciec i jako wychowawca. Otrzymał bardzo zasłużone hołdy i tak wiele odznaczeń, że gdybyśmy powiesili je na ścianie, potrzebowalibyśmy wielu ścian, żeby umieścić wszystkie

nagrody, które otrzymał w swoim życiu”.

Wymienił kilka spośród tych wyróżnień:

— rząd Gwatemali przyznał mu w 1960 roku order dr. Rodolfo Roblesa;

— w tym samym roku został mianowany członkiem honorowym Gwatemalskiego Stowarzyszenia Pediatrycznego;

— w 1961 roku Najwyższa Rada Uniwersytecka Uniwersytetu Św. Karola mianowała go „honorowym profesorem Katedry Pediatrii”;

— w wiele lat później, w 1969 roku, przyznano mu najwyższe odznaczenie — medal uniwersytecki

— i wiele, wiele innych.

Chociaż nie mówił o swoich własnych zasługach, lubił wysławiać cnoty osób, które podziwiał. Jedną z

takich osób był jego przyjaciel, doktor Eduardo Ortiz de Landázuri z Uniwersytetu Nawarry. Dziadek był delegatem tego uniwersytetu na Amerykę Środkową i często miał kontakt z doktorem Ortiz. Miał do niego tak wielki szacunek, że kazał oprawić jego fotografię i umieścił ją tutaj, na ścianie, obok stołu, przy którym pracował.

Nie zrobił niczego podobnego w stosunku do innej osoby.

Don Eduardo był również członkiem Opus Dei i dwa lata temu, w 1998 roku, rozpoczęto w Hiszpanii jego proces kanonizacyjny.

Podejmuję na nowo *życiorys* dziadka. Pracował, obok innych specjalistów, w nad kodeksem deontologicznym dla lekarzy z Gwatemali. Założył Stowarzyszenie Pediatryczne i był jego honorowym prezesem aż do śmierci. Organizował różne kongresy pediatryczne, na których

przypominał, że **jest czymś niezbędnym, żeby w krajach jak nasz koordynowano na różne sposoby wszystkie prace; dlatego że wiele nam brakuje i bez względu na to, jak dużo otrzymamy, zawsze okazuje się to kroplą w bezmiernym morzu.**

Porównywał tę solidarność między narodami do orkiestr symfonicznych, w których trzeba osiągnąć **wspólny dźwięk, nie zaś dbać jedynie o dźwięk każdego z poszczególnych instrumentów**. Ta pomoc i współpraca — precyzował — nie powinny być jednak nieokreślone. I podawał następujący przykład: to tak, jak wyciąga się rękę do osłabionej osoby, żeby wstała. Pomaga się tej osobie tylko do chwili, kiedy będzie mogła iść o własnych siłach.

Nie był w ogóle *protekcjonistą*, w pejoratywnym znaczeniu tego

terminu. Był zawsze bardzo innowacyjny i postępowy. Kiedy rozpoczęły się wsteczne kampanie wspierające zbrodnię aborcji, założył Stowarzyszenie na rzecz Obrony Życia.

Nie ograniczył się przy tym do przewodniczenia komitetowi. Widząc, że chodzi o życie milionów ludzi, włożył całą swoją energię w to staranie, przedstawiając pozytywne odpowiedzi. Przez wiele dni, południami, prowadził wykłady, które rzetelnie przygotowywał.

To powinno okazywać się wyczerpujące dla osoby w jego wieku — dlatego że nie zadowalał się przeczytaniem scenariusza. Planował film, komentował go, rozmawiał z uczestniczkami, często kobietami bez środków, rozwiązywał ich wątpliwości, dokładał starań w celu rozwiązywania ich problemów…

Rozumiał w znacznym stopniu problemy kobiety, a zwłaszcza kobiet potrzebujących. Stawiał się na ich miejscu i oferował im, razem ze wsparciem i pociechą, godne i ludzkie rozwiązania.

To jest jedna z przyczyn, dla których chciał zrobić sobie zdjęcie z książką doktora Debré *L'honneur de vivre: témoignage* w ręku. Nie był to tylko hołd dla mistrza. Lubił tę książkę, dlatego że była wystąpieniem na rzecz życia o ściśle naukowym charakterze.

„Co należy pomyśleć — pisał Debré w innym ze swoich dzieł, *Venir au monde: la vie cachée de la fécondation à la naissance* — o społeczeństwie, które odmawia podziwiania cudownego stworzenia życia, które gardzi tak wieloma wysiłkami i bohaterskimi czynami i które nie docenia szczęścia wydawania życia

na świat ani nie szanuje życia od chwili jego zaistnienia?”

Ileż tysięcy dzieci zawdzięcza życie dziadkowi! Trzy lata temu, w 1997 roku doktor Enríquez Villacorta rozpoczął wykład inauguracyjny IFES, Kobiecego Instytutu Studiów Wyższych, następującymi słowami:

„Rozpocznę to wystąpienie, opowiadając państwu historię sprzed wielu lat. Chodzi o kobietę w siódmym miesiącu ciąży, ciężko chorą. Była konieczność zakończenia tej ciąży, bo matka była umierająca i to stworzenie nie miało szansy przeżyć. W owych czasach było czymś niemożliwym, żeby siedmiomiesięczne stworzenie mogło żyć. Niemniej jednak, był ktoś, kto pomyślał o tym dzieciątku i powiedział, że trzeba dać mu szansę. To dziecko się narodziło i dzisiaj jest to moja żona Mónica… Zarówno matka, jak i córka przeżyły, dzięki

wierze i pracy naukowej doktora Cofiño”.

Jego pasja w obronie życia miała bardzo głębokie i starożytne korzenie. Pochodziła z jego paryskich lat i jego pracy u boku Debré. Wiedział, że nie jest sam w tej walce, z punktu widzenia medycznego i zawodowego, i korespondował z prestiżowymi postaciami w środowisku międzynarodowym, jak Jerôme Lejeune czy Jacques Lafourcade.

Doktor Tilve wspomina jego obywatelską działalność, kiedy próbowano przyjąć w Gwatemali prawo liberalizujące aborcję pod koniec lat sześćdziesiątych. Dziadek, świadomy swojej odpowiedzialności, zaczął zbierać podpisy wśród lekarzy i osób z wielu środowisk.

Stosował argumentację przy pomocy danych naukowych, doświadczeń lekarza, który uratował życie tysięcy

dzieci. A także przy pomocy doświadczenia człowieka, który walczył ze wszystkich sił z biedą i niesprawiedliwością, przeciwko społecznej marginalizacji, przeciwko sytuacji opuszczenia tak wielu kobiet. Ileż razy słyszałem, jak mówił o godności kobiety!

Nie korzystał jedynie z prawa obywatelskiego. Dla niego — jako lekarza, pediatry, człowieka — było kwestią sumienia dołożyć wszelkich starań będących w jego zasięgu, żeby bronić niewinnych i chronić życie nienarodzonych.

Jako że w zdecydowany sposób występował publicznie jako specjalista w tej dziedzinie, został wezwany przez Kongres Republiki do udziału w debacie parlamentarnej. Nie opierał swojej obrony na sentymentalizmach ani na retorycznej argumentacji, tylko na danych naukowych, sprawdzonych i

obiektywnych, niezależnie od wszelkich ideologii i partii.

Większość deputowanych wsparła jego postawę i projekt ustawy liberalizującej aborcję nie został przyjęty. Zaś w wyrazie uznania dla jego walki o życie, kiedy wchodził do kongresu, otrzymał długą owację na swoją cześć — aplauz był tak intensywny, że sprawił, iż poczuł się — mówił, bardzo rozbawiony — **jak torreador**.

W Gwatemali są tysiące dzieci, nie tylko w przeszłości, ale również obecnie i w przyszłości, które zawdzięczają dziadkowi życie.

Cóż więcej mogę Wam powiedzieć o dziadku? Na początku myślałem, że wystarczy mi pięć czy sześć długich listów. Mamy już dwa razy więcej i nie mówiłem Wam jeszcze o wielu kwestiach. Na przykład, o charakterze dziadka na ostatnim etapie jego życia.

Stał się człowiekiem bardzo prostym, który natychmiast zdobywał zaufanie ludzi, dlatego że nie zachowywał dystansu w stosunku do nikogo i mówił językiem każdego człowieka: z kolegą lekarzem, z dzieckiem, z Indianką, z przyjacielem… Nie dziwi, że miał tak wielu przyjaciół. Jeszcze słyszę, jak mówi:

— **Posłuchaj, stary…**

Jakąż miał zdolność do miłości! Słyszałem, jak wiele osób mówiło: „To jedna z osób, przez którą czułem się najbardziej kochanym”. I pokazywał to na tysiąc sposobów. Kiedy jakiś lekarz, jak Pérez Avendaño, tytułował go „panem doktorem”, mówił mu:

— **Posłuchaj, my jesteśmy *kumplami*. Nie mów do mnie, panie doktorze, mów mi na *ty*.**

Był bardzo pokorny i dlatego służył, żeby nakazywać. Dobrze znał swoje wady i ograniczenia, umiał dodawać bodźca i nie zachowywał urazy.

Jego postawa — teraz widzę to wyraźniej — rodziła się z wielkiej miłości do Boga. Dlatego że był bardzo dynamiczny, ale nie był frenetycznym *aktywistą*. Był człowiekiem rozmiłowanym, spójnym chrześcijaninem i odpowiedzialnym katolikiem w tej godzinie świata i Kościoła, w której przyszło mu żyć.

Zasadniczo we wszystkim i w każdej sprawie liczył na Boga. Miał duszę wojownika i walczył. Przeciwko zapomnieniu i narastającej negacji Boga w społeczeństwie jego czasu. Walczył ze zwierzęcą wizją ludzkiej natury. Walczył, chociaż był wycieńczony bojem, chociaż z powodu lat niemal brakowało mu już sił.

Kiedy będąc już starcem, zobaczył, że zanika zwyczaj odmawiania Różańca, kazał wydać dziesiątki tysięcy małych broszurek w formie harmonijki, z różnymi modlitwami do Najświętszej Maryi Panny. Próbował zawsze odpowiedzieć na każdy problem.

Czasami była to ogólna odpowiedź, jak publikacja broszurki. Jednakże zazwyczaj była to odpowiedź osobista: rada dla przyjaciela, rozwiązanie problemu drugiej osoby… Nie lubił — ani jako lekarz, ani jako chrześcijanin — ogólnych recept.

Starał się iść przodem przy pomocy swojego przykładu. Punktualnie wynagradzał swoich pracowników i płacił podatki. Miał silny zmysł społeczny. Chciał, żeby pracownicy nauki z ośrodka Stare Miasto wypełniali swoje obowiązki obywatelskie i uruchomił od 1976

roku kurs zatytułowany: „Czy prawidłowo płacimy podatki?”.

Kiedy sporządzono akt założycielski La Médica Guatemalteca — przedsiębiorstwa, w którym pracował — napisał w punkcie nr 4: **mottem przedsiębiorstwa jest dać beneficjentowi trochę więcej niż mu przypada, ale nigdy i z żadnego powodu trochę mniej**.

Z pewnością będziecie sobie jednak zadawać pytanie, czy nie miał żadnej wady. Otóż widzieliście już, że owszem. I wskazywałem Wam te wady, ale dziadek dzień po dniu walczył z nimi i z łaską Bożą osiągał poprawę.

Poprawił się, na przykład, jeśli chodzi o wychowanie dzieci, chociaż kwestia edukacji to bardzo trudne zadanie. Jego ukształtowały początki wieku, autorytarne kryteria XIX stulecia. Musiał wychowywać moich braci w latach trzydziestych i

czterdziestych między wielkimi wojnami światowymi. Ja zaś urodziłem się w latach pięćdziesiątych, kiedy narzucono już nową mentalność. Była to epoka wielkich zmian. Społeczeństwo przeobrażało się szybciej niż w którymkolwiek stuleciu przedtem.

Wcześniej rodzice ograniczali się do nakazywania i zwykle to wystarczało. Teraz trzeba umieć słuchać, ustępować w pewnych kwestiach, nie ustępować w innych…

Jego przyjaciele byli świadkami jego wysiłku, aby się poprawić. Opowiadają, że pewnego razu byli z nim na posiedzeniu zarządu i przed rozpoczęciem obrad powiedział sekretarce, żeby nie przekazywała mu żadnych wiadomości. Jednak ta wielokrotnie wchodziła i wychodziła, przerywając zebranie, aż za którymś razem dziadek powiedział jej ostro, żeby więcej nie przychodziła.

Później przeprosił ją za to, że skarcił ją w taki sposób. I powiedział do Julio Matheu:

— Trzeba uważać z takimi wybuchami, dlatego że to są impulsy diabła. Trzeba prosić naszego Pana, żeby udzielił nam łaski, żebyśmy panowali nad sobą.

W miarę upływu lat stawał się bardziej elastyczny w odróżnieniu od tego, co zwykle się dzieje, i nie tracił zainteresowania nowymi sprawami. Przeciwnie — świat się unowocześniał i on również. Z wielką naturalnością zamienił melonik z lat dwudziestych na dżinsy z lat sześćdziesiątych. Musiał zaś już mieć dobrze po osiemdziesiątce, kiedy poprosił jednego ze studentów ośrodka uniwersyteckiego, żeby nauczył go obsługi komputera. I nauczył się!

Wy, którzy urodziliście się z komputerami, i którzy poruszacie się

w świecie cybernetyki, jak gdyby istniała ona od zawsze, nie wyobrażacie sobie, co to oznacza dla człowieka w jego wieku przechodzić od pojazdów ciągniętych przez muły, które docierały do Antigui w ciągu siedemnastu godzin, do tego, co teraz nazywają „infostradami”…

Z tego powodu nie lubił rozmów starszych ludzi, w których z nostalgią wspominają oni minione czasy. Rozmowy te wydawały mu się **spotkaniami starych mebli**.

Pewnego dnia poszedł z wizytą do staruszki, która pragnęła dać mu datek na pewną inicjatywę apostolską. Zaczęła przywoływać wspomnienia ze swojej młodości, a dziadek, żeby skrócić rozmowę, powiedział, że trochę się spieszy i pożegnał się.

Przy wyjściu, towarzysząca dziadkowi osoba, powiedziała mu, że starsza pani pragnie trochę

porozmawiać i że byłoby delikatniejszą rzeczą pozwolić, żeby wypowiedziała się dłużej… Dziadek natychmiast uznał swój błąd i po krótkim czasie poszedł do niej na nowo z wizytą. Zaczął rozmawiać o czasach, kiedy byli młodzi:

— Czy pamięta pani o…? Co to były za czasy!

Nie odnosił się niechętnie do przeszłości. Po prostu nie chciał, żeby przeszłość stanowiła balast, który mógłby go sparaliżować. Zachowywał miłość w stosunku do osób, które poznał w ciągu swojego życia i interesował się nimi. W swoich zapiskach wspomina wiele osób. Pośród nich jest **ukochany obraz Siostry Matilde, szarytki, czyli Córki Bożej Miłości, pielęgniarki o niezwykłych zdolnościach i doświadczeniu powiększonym jej głęboką miłością do stworzeń. Zawsze gotowej do**

służenia i przyjmowania najokrutniejszych dolegliwości.

Pewnego dnia, kiedy ją odwiedziłem, powiedziała mi: „proszę sobie wyobrazić, panie doktorze, że jestem ślepa…”, jak ktoś, kto opowiada o bolesnym wydarzeniu, które przydarzyło się innej osobie.

Odwiedziłem ją ostatnio w Szpitalu Piotra od Św. Józefa de Betancur. To ta sama Siostra Matilde: łagodna, delikatna, pokorna, pełna miłości.

Dzięki tej walce ze swoimi wadami, w miarę upływu lat dziadek nadzwyczajnie się poprawił, jeśli chodzi o charakter, i zmienił się, jak mówiła ciotka Clarita, „w pełnego miłości staruszka, o wielkiej pogodzie, który sprawiał wrażenie pokoju”.

Dlatego jego życie budzi wielkie nadzieje. Niektórzy sądzą, że po czterdziestce nie ma już nic do roboty. On oddał się Bogu w wieku grubo ponad pięćdziesięciu lat i walczył nieustannie do starości, która była nadzwyczaj płodna. Cóż by się z nim stało, gdyby poznając księdza Antonio, powiedział: „To dla mnie za późno. Mój pociąg odjechał”?

Jego egzystencja jest przykładem pragnienia życia. Pokazuje, że wszystkie czasy — również starość — to czasy marzeń, nadziei i świętości i że wciąż można rozpoczynać na nowo.

Mówiłem Wam — i na tym kończę już ten list — że dziadek walczył ze swoimi wadami, chociaż czasami… Nie wiem, jak Wam to powiedzieć. Przyznam, że było coś, co wyprowadzało mnie z równowagi —

jego niecierpliwość, żeby przybyć punktualnie na Mszę Świętą.

Wydaje mi się, że słyszę, jak mówi:

— José Luis, José Luis, bo nie zdążymy, pospiesz się! Idziemy, idziemy, idziemy…!

Oczekiwał na Mszę Świętą z tak wielką pasją! Za nic w świecie nie mógł zrozumieć niewielkiego spóźnienia. Było to centrum jego życia, nie mógłby żyć bez Mszy, to było jasne.

Jednakże mnie, w owym czasie, jego wysiłek wydawał się niemal obsesją, powiem ściślej — manią. I co niedzielę ta sama śpiewka:

— Idziemy, idziemy, José Luis, bo nie zdążymy, pospiesz się!

Teraz rozumiem, że nie była to obsesja ani mania, tylko czysta miłość. Gorąco pragnął przyjąć

Chrystusa i zachowywał się tak samo jak zakochany piętnastolatek na swojej pierwszej randce z dziewczyną. I niekiedy… niekiedy biegł tak szybko, że docierał do kościoła przed czasem i musiał stać na ulicy, koło kościoła, czekając, aż zostanie otwarty!

Z wielką miłością.

Do zobaczenia wkrótce

Tata

ROZDZIAŁ XV

8 września 2000 r.

Kochani Jorge, Paola i Diego!

Skończyłem mój poprzedni list, opowiadając Wam o niecierpliwości dziadka. Zastanawiałem się nad tym i teraz myślę, że *niecierpliwość* to niewłaściwe określenie. To słowo sugeruje nerwowość, wzburzenie, niepokój, tymczasem ostatnie dekady

życia dziadka charakteryzowały się głęboką pogodą.

Była to dobra niecierpliwość, która rodziła się z jego pilności w miłowaniu Pana i czynieniu dobra w wielkiej obfitości. Jego ostatnie lata były przeniknięte tą pilnością miłości. W wieku osiemdziesięciu lat robił rzeczy, które… ale lepiej opowiem Wam, jak wyglądały jego dni, Wy zaś wyciągniecie wnioski.

Wstawał bardzo wcześnie, kwadrans po piątej rano. Klękał i ofiarował Bogu uczynki danego dnia. Jego pierwsze spojrzenie kierowało się ku obrazowi Serca Jezusowego z otwartymi ramionami, który to obraz znajduje się nad wezgłowiem jego łóżka. Potem toaleta poranna. Zwykle mył się w zimnej wodzie. Następnie odmawiał część Różańca w swojej sypialni, przy wielkim oknie wychodzącym na ogród. Wszystko pozostało tak, jak za jego

życia: krzyż, wizerunek Niepokalanej…

Ja wstawałem trochę później i widziałem, jak modli się w milczeniu, z oczami utkwionymi w Ukrzyżowanym. Nigdy nie zapomnę tego sposobu kontemplowania Pana.

Wychodził do kościoła. Docierał tam o wpół do siódmej. Modlił się pół godziny przed Najświętszym Sakramentem i uczestniczył we Mszy Świętej. Czasami, kiedy nie mógł jechać samochodem, prosił, żebym podwiózł go motocyklem.

Wracał, zakładał strój do biegania i chodził uprawiać *footing* — łagodny *footing*, dlatego że miał ponad osiemdziesiąt lat… Kiedy zbliżał się do dziewięćdziesiątki, poradziliśmy mu, żeby biegał po boisku do koszykówki, gdzie raczej szybko chodził niż biegał, co w każdym razie oznaczało spory wysiłek dla osoby w jego wieku.

Martwiło nas, że może się poślizgnąć i upaść, zwłaszcza w porze deszczowej. Mama mówiła mu, żeby uważał, dlatego że czasami liście spadające z drzew spadają na kałuże i jest to niebezpieczne.

Liczne osoby w jego wieku stają się uparte i nie ma sposobu, żeby skłonić je do zmiany.

Dziadek umiał się jednak poprawiać i pewnego dnia opowiedział nam rozbawiony bajkę o owej ropusze, która, nadymając się, próbowała zatrzymać przejeżdżającą drogą karetę.

— Ropucha zaczęła się nadymać i nadymać… aż wybuchła.

— No i…? — zapytaliśmy go.

— Otóż kiedy dzisiaj przechodziłem przez miejsce, w którym było na ziemi wiele liści, myślałem: „jeżeli będę dalej tędy

szedł, to się poślizgnę”… I po wielu wygibasach — buch! Potknąłem się i upadłem. Przypomniałem sobie o ropusze i postanowiłem zmienić dyscyplinę. Od teraz będę jeździł na rowerze!

Wybałuszyliśmy oczy.

— Na rowerze?

— Tak, na rowerze. Oczywiście, stacjonarnym!

Jak postanowił, tak zrobił. Kupił rower i zainstalowaliśmy go w pokoju położonym w głębi. Rozmawiał ze swoim przyjacielem, miłośnikiem kolarstwa, Oswaldo Chacónem, i poprosił go o radę. Oswaldo zajął się tym z wielką przyjemnością.

— Panie doktorze — powiedział. — W pańskim wieku powinien pan jeździć na rowerze przez jakieś

dwadzieścia minut trzy razy w tygodniu.

— **Dwadzieścia minut. Bardzo dobrze!** — odpowiedział dziadek z bardzo charakterystycznym dla niego łobuzerskim wyrazem twarzy. — **W takim razie potrzebuję, żebyś poświęcił mi czterdzieści minut.**

Widząc zaskoczenie na jego twarzy, wyjaśnił:

— **W czterdzieści minut moglibyśmy zrealizować następujący plan: ty trenujesz mnie przez dwadzieścia minut, ja zaś robię ci lekcję na temat wiary chrześcijańskiej przez kolejne dwadzieścia minut. Ty jesteś moim trenerem kolarstwa, a ja twoim trenerem religijnym. Co o tym sądzisz?**

Mówił te słowa z wdziękiem i sympatią, które zachęcały do większego zbliżenia się do Boga i

lepszego poznania Go. Oswaldo, śmiejąc się, wyraził zgodę i od tego dnia wzajemnie się *trenowali*.

Jeśli chodzi o sport, na temat dziadka krążą różne opinie. Jedni mówią, że w Paryżu uprawiał sport. My nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wydaje mi się, że w ciągu swojego życia nie zajmował się zbytnio tym, co Wy rozumiecie jako *sport*. Inna rzecz, że zawsze prowadził bardzo aktywne życie z powodów zawodowych.

Zaczął uprawiać *sport*, kiedy skończył siedemdziesiąt pięć lat przez wzgląd na miłość. Chciał się utrzymać w dobrej formie, żeby nie stanowić ciężaru dla mnie jako stary i chory ojciec. W tym, co robił, zawsze istniał jakiś powód wynikający z czułości, miłości i troski o innych.

Opisuję dalszy ciąg jego rozkładu dnia. Po ćwiczeniach sportowych mył się, jadł śniadanie i około wpół

do dziesiątej planował prace na dany dzień, żeby nie tracić czasu.

To był stały element jego sposobu bycia: żył bez nadmiernego napięcia, wykorzystując każdą minutę, żeby uzyskiwać z niej jak największe owoce apostolskie. W ten sposób, w wieku osiemdziesięciu lat udawało mu się robić więcej niż mnie obecnie, w wieku czterdziestu lat…

I, co zaskakujące, nigdy nie widziałem, żeby się stresował. Był to owoc porządku, który wprowadzał we wszystko. Robił tylko to, co można było zrobić w jeden dzień, i pozostawiał resztę na dzień następny. Wydaje się to łatwe, prawda? Otóż nie jest to łatwe. Wiedział, że dzień ma tylko dwadzieścia cztery godziny i nie stawiał przed sobą niemożliwych celów! Jego hasło brzmiało: **dzisiaj, teraz.**

«Moja główna praca — pisał w 1989 roku — **to pozyskiwanie funduszy na utrzymanie ośrodka i na stypendia dla studentów.**

Dzięki hojnej pomocy wielu przedsiębiorstw z sektora prywatnego co roku dajemy stypendia około 100 studentom, którzy przybywają z głębi kraju, żeby studiować w stolicy.

Co rano odwiedzam 5 albo 6 przedsiębiorców i jak dotąd nie zastukałem do żadnych drzwi, nie odczuwając natychmiast hojnych uderzeń serc tych przedsiębiorców. Otóż dawanie pieniędzy nie zależy od ich posiadania, tylko od posiadania serca. Muszę podziękować za dobroć, jaką okazują w stosunku do mnie za każdym razem, kiedy ich odwiedzam».

Główną przyczyną jego poświęceń był ośrodek Stare Miasto. Nie był to

jednak jedyny cel, dlatego że wspierał wiele inicjatyw organizowanych z ludźmi wszelkiego rodzaju: ze studentami — jak w ośrodku Stare Miasto, z robotnikami jak Kinal, z kobietami skromnej kondycji jak Junkabal…

O pierwszej po południu wracał do domu, odmawiając część Różańca w samochodzie. Tego nie zaniedbywał nigdy. Mimo prowadzonej przez niego intensywnej działalności udawało mu się odmawiać codziennie cały Różaniec, wszystkie trzy części: tajemnice radosne, bolesne i chwalebne wraz z Litanią Loretańską.

Jedliśmy obiad i po krótkiej pogawędce przy stole pozostawał zanurzony w *słodkim odpoczynku*, który trwał około dwudziestu minut, nie więcej. Ten odpoczynek sprawiał, że był jak nowy.

Po południu pracował dalej. Około trzeciej trzydzieści kierował się do swojego biura w ośrodku Stare Miasto. Przychodząc, nawiedzał Najświętszy Sakrament, a następnie rozwiązywał kwestie uniwersyteckie, rozmawiał ze studentami albo przygotowywał wystąpienia na temat formacji chrześcijańskiej.

Tam, w ośrodku Stare Miasto, często chodził do kaplicy, żeby pozdrowić Pana, czytać Ewangelię albo modlić się przez pół godziny. Przyzwyczaił się robić to każdego popołudnia przed Tabernakulum pod spojrzeniem Matki Bożej Bolesnej.

Około szóstej po południu wracał do domu, gdzie kilka razy w tygodniu prowadził zajęcia na temat chrześcijańskiego życia. Było tak wiele wykładów i wypowiedzi, że nie umiałbym dokładnie określić, ile osób w sumie na nie przychodziło — dziesiątki.

Wiek uczestników był rozmaity. Jednego dnia mógł prowadzić krąg formacji chrześcijańskiej dla młodzieży, następnego — rozmowę dla osób w moim wieku, a jeszcze następnego — zajęcia dla staruszków jak on sam. Pewnego razu powiedział żartem podczas jednego z tych kręgów, że jeżeli zsumuje się wiek obecnych, osiągnie on tysiąc lat… I była to prawda!

Były to żywe, gorące, rozpalone spotkania. Dziadek nie poprzestawał jedynie na ich prowadzeniu: rozmawiał pojedynczo z uczestnikami, żeby pomagać im w ich obcowaniu z Bogiem.

I tak codziennie, za wyjątkiem poniedziałku, kiedy uczestniczył we własnym kręgu. Ci, którzy mu towarzyszyli, pamiętają, z jakim zainteresowaniem go śledził, tak samo jak rozważania kapłana. Siadał na pierwszej ławce w kaplicy, żeby

lepiej go słyszeć — w lewym uchu nosił aparat słuchowy — i modlił się ze wzrokiem utkwionym w Tabernakulum.

Zaskakiwało mnie, że chociaż wygłosił setki przemówień i wykładów, przygotowywał tak solidnie te zajęcia. Uważałem, że w rzeczywistości z jego talentem do przemawiania mógłby *sobie radzić* bez tak wielkiego wysiłku…

Jednakże on nie godził się z tym, żeby *sobie radzić*. Studiował poszczególne tematy — na przykład, uświęcenie pracy albo małżeństwo jako powołanie chrześcijańskie — zapoznawał się z Ewangeliami i nauką Kościoła, czytał pisma papieży albo Świętych, a potem pisał szczegółowy i jasny konspekt z anegdotami.

Natomiast kiedy publikowano jakiś dokument Magisterium — encyklikę Papieża, list pasterski biskupa, itp. —

studiował go dogłębnie, żeby przekazać jak najszybciej wypływające z niego nauki.

Bardzo miłował Papieża. Jan XXIII mianował go kawalerem Orderu Św. Sylwestra w 1962 roku w dowód uznania dla jego służby Kościołowi. Bardzo szeroko rozpowszechniał nauczanie Pawła VI i jego nauki jak *Humanae vitae*. Natomiast kiedy Jan Paweł II przybył do Gwatemali w 1983 roku, przygotował kilka broszur, pragnąc, żeby Gwatemalczycy dobrze przygotowali się duchowo na jego przybycie, i rozpowszechniał je wśród bardzo wielu osób.

Ksiądz Antonio opowiada o znaczącym szczególe. Nie zamówił dla siebie stroju kawalera Orderu Św. Sylwestra. Był głęboko wdzięczny za to papieskie wyróżnienie, ale nigdy nie chciał się niczym przechwalać. Był to jeszcze jeden przejaw jego

pragnienia służby Kościołowi bez oczekiwania uznania.

Bardzo szanował wewnętrzną wolność swoich przyjaciół — drogę, na której Duch Święty prowadzi każdą duszę. A jeżeli ktoś prosił go, na przykład, o radę, w jaki sposób żyć w bliskości z Maryją Dziewicą, nie poprzestawał na zachęcie do odmawiania Różańca. Dawał w prezencie różaniec, wyjaśniał pochodzenie tej modlitwy i pomagał kontemplować poszczególne tajemnice…

Jeżeli druga osoba nie znała określonej kwestii Wiary, wyjaśniał wątpliwości, używając słów dostosowanych do mentalności i wykształcenia tej osoby. Albo też pożyczał broszurę do przeczytania. Kiedy zaś była taka potrzeba, studiował katechizm i rozważał najlepszy sposób wyjaśnienia danego punktu…

Niektórym spośród jego przyjaciół było trudno przychodzić z powodu stanu zdrowia, jak teściowi Otto Vinicio, który cierpiał na porażenie obu nóg. Widząc to, dziadek kazał zainstalować rampę z drewna w drzwiach, a kiedy dowiedział się, że teść Otto Vinicio był w młodości dobrym sportowcem, zaprosił go do Kinal, żeby porozmawiał z młodymi na tematy sportowe i żeby poczuł się potrzebny.

Po zakończeniu zajęć, kiedy wszyscy wychodzili, zakładał niebieską bonżurkę, siadał przy telefonie i dzwonił do przyjaciół, żeby ustalić konkretne plany na następny dzień. Pytał o rodzinę, interesował się ich problemami, płatał im figle i dodawał otuchy, zwracając uwagę na wszystko i na wszystkich.

Jedliśmy kolację i po rozmowie i krótkiej zabawie z Wami, którzy biegaliście bez przerwy po dywanie i

po korytarzach — nie pamiętacie tego, bo byliście bardzo mali, ale… jakże dziadek cieszył się swoimi wnukami! — skupiał się z Panem w swoim pokoju do wpół do jedenastej w nocy. Potem robił krótki rachunek sumienia, odmawiał na kolanach trzy „Zdrowaś Maryjo” do Najświętszej Maryi Panny i kładł się spać.

I tak dzień po dniu, dzień po dniu…

W 1989 roku, kiedy skończył dziewięćdziesiąt lat, zorganizowaliśmy w domu rodzinne spotkanie. Było to coś niezapomnianego. Wyobraźcie sobie ten salon i cały korytarz pełen stołów. Na jednym stole postawiliśmy bukiet z dziewięćdziesięciu czerwonych róż, które mu podarowano. Przyszła cała rodzina i dziadek pozdrawiał czule każdego ze swoich wnuków.

Był bardzo rozbawiony. Widział kogoś i szeptał mu na ucho:

— Ty jesteś moim *ulubieńcem*.

Potem przychodził drugi, a on mówił mu:

— Ty jesteś moim *ulubieńcem*.

I nie kłamał. Każdy z Was był jego ulubionym wnukiem, dlatego że dziadek miał wielkie serce, w którym mieścili się wszyscy! I mówił to w taki sposób, że każdy czuł się naprawdę *ulubieńcem*.

Ta dziewięćdziesiąta rocznica była szczególnie szczęśliwa. I tak jak zwykł robić przy okazji ważnych świąt, zapisał swoje wrażenia. Przepisuję Wam kilka wierszy:

Jeden z moich synów powiedział mi ostatnio żartem: tato, na co umrzesz, jeżeli twoje zdrowie jest tak dobre?

Powiedziałem mu, że będę żył tyle lat, ile Bóg zechce, nawet sto, jeżeli taka jest Jego Wola. Jak Bóg zechce, czy w zdrowiu, czy w chorobie.

Jedyną rzeczą, której pragnę, jest dalsze służenie Mu, jak próbowałem to robić do tej pory… Za darmo otrzymałem całą moją formację i za darmo muszę dawać ją innym.

Mam przyjaciela w Miami, wspaniałego lekarza, który myśli, że nie umrze, albo jeżeli myśli o śmierci, widzi ją jako coś bardzo odległego. Wysłałem mu broszurę zatytułowaną *Po śmierci* i powiedziałem: „…przygotuj się na śmierć, nie zaś, żeby odbierać hołdy”.

Przygotowuję się, żyjąc każdego dnia, jak gdyby był to ostatni dzień mojego życia, w taki sposób, że każde zajęcie staram się

wykonywać jak najlepiej, ofiarując je Panu.

Z naszych uczynków będziemy sądzeni, nie zaś z ważnych stanowisk albo tytułów, które nagromadziliśmy.

Znowu napisałem więcej niż myślałem. I mamy już za sobą ni mniej, ni więcej, tylko… piętnaście listów!

Z miłością

Tata

ROZDZIAŁ XVI

2 października 2000 r.

Kochani Jorge, Paola i Diego!

Dzisiaj, zanim chwyciłem za pióro, zadałem sobie pytanie: czy prawidłowo opiszę Wam osobowość dziadka? Nie jest to łatwe zadanie. Miał bardzo bogatą, a zarazem

prostą osobowość. Był głęboko uduchowiony, a równocześnie bardzo ludzki. Miał wielką pokorę i męstwo charakteru, ponieważ pokora nie kłóci się z męstwem.

Był śmiały i zdecydowany, a równocześnie pogodny i roztropny. Poważny i odpowiedzialny, z wielkim poczuciem humoru i z godną podziwu zdolnością do śmiania się z samego siebie. Kiedyś, wchodząc po schodach w pewnym budynku, zobaczył staruszka, który do niego podszedł, i pomyślał: **ten pan jest w fatalnym stanie. Wygląda źle, bardzo źle…**

I zaczął się śmiać, ponieważ zdał sobie sprawę… że widzi lustro!

Był z natury optymistą i podejmował nowe projekty z tak wielkim entuzjazmem, że pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że mimo, że jest starszy ode mnie o 57 lat, w sercu jest o wiele młodszy niż ja.

Przepełniała go zaraźliwa radość. Nie oznacza to jednak, że przestał łajać innych. Jeżeli musiał upominać, upominał i, co ciekawe, im więcej łajał, tym bardziej ludzie go kochali! To mnie zawsze dziwiło. Był taki człowiek, który współpracował z dziadkiem, a którego dziadek często beształ, dlatego że był bardzo powolny w pracy.

— Jak to jest, że pan tak bardzo go opłakuje — zapytałem, kiedy dziadek umarł — jeżeli co chwilę karcił pana z tego czy innego powodu?

Powiedział mi:

—Doktor bardzo mnie kochał, dlatego tak bardzo mnie upominał — dlatego że bardzo mnie kochał.

Nigdy się nie nudził ani na nic nie skarżył… Podawano mu do jedzenia fasolę i uznawał ją za wyśmienite danie. Dostosowywał się do wszelkich okoliczności, co w

przypadku człowieka w jego wieku było rzadkie.

Miał wielkiego ducha pracowitości i sporo mnie kosztowało, żeby wyciągnąć go w jakiś weekend na wypad na wieś. Tam, chociaż kościół był dosyć daleko, codziennie chodził na Mszę. Były to wspaniałe weekendy. Zawoziłem go motocyklem i chodziliśmy w góry zbierać owoce [uwaga tłumacza: proponuję zostawić po prostu „owoce”, dlatego że nie jest tutaj do końca jasne, o jakie owoce chodzi, w oryginale „moras”. Mogą to być po prostu jeżyny, ale też maliny, a nawet czarne jagody albo owoce drzewa *Chlorophora tinctoria*] i kąpać się w rzece… Był szczęśliwy, szczęśliwy… chociaż po dwóch dniach zaczynał mówić:

— To już za długo. Muszę wracać i dalej pracować i telefonować…

Przy jakiejś okazji zatelefonowano do niego pilnie z Towarzystwa Przyjaciół Ośrodka Stare Miasto. Musieli zapłacić duży dług przed upływem trzydziestu dni i nie wiedzieli jak. Zaczęto szukać rozwiązań. Dziadek zaproponował:

— A gdybyśmy zorganizowali kurs specjalizacyjny dla inżynierów cukrownictwa, prosząc wykładowców, żeby poprowadzili zajęcia *ad honorem*, na rzecz Starego Miasta?

Był to dobry pomysł. W ten sposób udałoby się rozwiązać kwestię finansową i współpracować w rozwoju kraju.

— Wcześniej jednak — powiedział ktoś — trzeba by porozmawiać z przewodniczącym Stowarzyszenia Cukrowników.

—Bardzo słusznie. W takim razie jutro go odwiedzimy — powiedział dziadek — **i zaczynamy plan.**

Opowiadał o tym Alejandro Deutschmann, który towarzyszył dziadkowi następnego dnia.

Poszli do Stowarzyszenia i wchodząc do budynku, zobaczyli, że windy nie działają. Siedziba Cukrowników znajdowała się zaś na dziewiątym piętrze!

— Niech panowie przyjdą po południu, windy będą już naprawione — powiedział im jeden z pracowników.

Alejandro już wychodził, kiedy zobaczył, że dziadek zaczyna wspinać się po schodach.

— Człowieku — powiedział dziadek — **nie martw się! To tylko dziewięć pięter, idziemy!**

Alejandro nie wiedział, co robić. Wreszcie postanowił wejść za dziadkiem. Dochodząc do trzeciego piętra, zatrzymali się, żeby odzyskać siły.

— **Co robisz?** — zapytał go dziadek.

— Cóż, widzi pan przecież… Wchodzę po schodach — powiedział Alejandro, dysząc.

— Tylko tyle? Nie pamiętasz, co nam mówił ksiądz Julio?

Alejandro, który był wykończony, nie wiedział, o kim mowa.

— Ksiądz Julio?

Aż wreszcie zdał sobie sprawę, o kogo chodzi — o księdza Julio Ortiza — kapłana, który głosił dla nich poprzedniego dnia rekolekcje.

— Czy nie przypominasz sobie, że ksiądz Julio mówił nam, że możemy ofiarować Bogu wszystko,

co wymaga od nas wysiłku, prosząc Go o powołania i mówiąc do Niego: „Dusze, Panie! Przecież one są dla Ciebie, dla Twojej chwały!”? Otóż o to właśnie musimy prosić: Dusze! Każdy stopień… to jedna dusza dla Pana!

I tak z trudem wchodzili na dziewięć pięter. Trzeba pamiętać, jaki to wysiłek dla osiemdziesięciolatka. Dotarł wycieńczony, tak samo jak Alejandro. Odpoczywali przez kwadrans, a następnie przedstawili swoją prośbę.

Ta anegdota ukazuje, jak dziadek zbliżał się do Pana: stopień po stopniu. Nabierał cnót stopniowo, walcząc dzień za dniem… Nie było w jego życiu spektakularnych wydarzeń. Nie było ich również w jego sposobie przybliżania do Boga setek osób, z najróżniejszych środowisk Gwatemali. Chodził zawsze od człowieka do człowieka,

od przyjaciela do przyjaciela, stopień po stopniu. **Każdy stopień… to jedna dusza dla Pana!**

Jego dusza *prowadziła* jego ciało. Nie ma innego wytłumaczenia dla owej olbrzymiej żywotności staruszka. To ciekawe, że od zawsze miał przekonanie, że osiągnie starość. Czy pamiętacie tego dentystę, Manolo Larę, do którego mnie posłał, kiedy moja mama była chora? Otóż wiele lat wcześniej Manolo powiedział mu z czułością:

— Neto, mając o tyle lat więcej niż ja, niebawem będziesz się wstawiał za mną tam, na górze.

— **Musimy być przygotowani, żeby odejść w każdej chwili** — powiedział dziadek z uśmiechem — **ale prawdopodobnie ty odejdziesz wcześniej niż ja. Dlatego od teraz będę cię prosił, żebyś wstawiał się za mną, kiedy będziesz u naszego Pana.**

Jego przeczucie się spełniło. Manolo umarł na atak serca ćwierć wieku wcześniej niż dziadek.

W każdym razie wiedząc, że mimo jego dobrego zdrowia Bóg może go wezwać w każdej chwili, powiedział nam: **mam już spakowany bagaż.**

Był przygotowany duchowo i rozdzielił już spadek aż do najmniejszych rzeczy. Zrobił listę, na której przydzielił każdemu to, co mogło mu się najbardziej podobać.

Kiedy doszedł do rzeźby osiołka, napisał swoim charakterem pisma: **dla José Luisa, mojego syna.**

Wiedziałem, co oznacza dla niego ta rzeźba. Dla niego, który pragnął być tylko pokornym osiołkiem, wiernym Woli Bożej.

Dlatego tak bardzo mu za to dziękowałem. Było to najgłębsze

dziedzictwo — najlepszy upominek, jaki mógł mi dać.

Będę do Was jeszcze pisał.

Z wielką miłością

Tata

ROZDZIAŁ XVII

17 października 2000 r.

Kochani Jorge, Paola i Diego!

Dzisiaj, kiedy mija rocznica śmierci dziadka, piszę do Was ostatni list.

Wszystko miało swój początek w pierwszych miesiącach 1991 roku. Zaczął się czuć coraz bardziej zmęczony. Wiele trudu kosztowało go prowadzenie kręgów i chociaż pragnął nadal realizować swoje stałe zajęcia, ciało nie mogło temu sprostać.

Rok mijał. W czerwcu przybyli z Meksyku ciocia Clemen i wuj Francisco na obchody 92. urodzin dziadka. Był bardzo zadowolony i powtarzał tylko: **Zostało mi już tylko osiem latek do stu.** Był bardzo wdzięczny Bogu za to, że dał mu tyle lat życia i prosił Go o jeszcze więcej, żeby spożytkować je w Jego służbie, jeżeli taka jest Jego Wola.

Martwiłem się, dlatego że przeszkadzała mu płytka, którą umieszczono podczas poprzedniej operacji, ale nie poszedł do lekarza. Tak bardzo zwracał uwagę na potrzeby innych, że zapominał o własnych. Powiedziałem to cioci Clemen przed jej powrotem do Meksyku, ponieważ ona jako starsza siostra mogła z nim rozmawiać w inny sposób niż ja.

I ciocia Clemen powiedziała mu mniej więcej następującą rzecz, z

wielką miłością, ale bardzo wyraźnie:

— Tatusiu, nie możesz sobie pozwolić na taki luksus, żeby nie iść do lekarza. Znajdź jakoś czas… ale musisz natychmiast zadzwonić, żeby umówić się na wizytę.

Wujostwo powrócili do Meksyku i dziadek posłuchał, dlatego że nie tylko dzieci muszą być posłuszne. Rodzice w określonym wieku również… I poszedł do lekarza, który odkrył u niego kolejny niewielki nowotwór w żuchwie z lewej strony. Wówczas nie miał już tych samych sił co przy pierwszej okazji. 92 lata to nie to samo co 82.

Poszliśmy porozmawiać z księdzem Antonio i innymi osobami, żeby wyraziły swoje zdanie. Wujek Francisco zadzwonił do niego z Meksyku, żeby powiedzieć mu, że rozmawiał ze swoim przyjacielem, specjalistą od krtani, który był gotów

tego samego dnia wsiąść w samolot i przylecieć do Gwatemali tylko po to, żeby go zbadać.

Rozmawialiśmy o tym z wujami i ciotkami. Nie wiedzieliśmy, co robić. Jeżeli dziadek nie podda się operacji, istniało niebezpieczeństwo, że guz pojawi się na powierzchni twarzy i spowoduje potworny wygląd i śmierć. Operacja w jego wieku oznaczała jednak niezwykle wielkie ryzyko i nie wiedzieliśmy, czy jeżeli przeżyje, będzie mógł funkcjonować samodzielnie… Jeżeli wytną mu tę część twarzy, może mu wypaść oko. W rezultacie nie wiedzieliśmy, co robić.

Dziadek był tak ożywiony i tak bardzo gotowy poddać się operacji, że wuj Francisco zapytał go jako psycholog:

— Ernesto, czy zdajesz sobie jednak sprawę, że masz 92 lata?

— Tak i jestem gotów poddać się operacji.

Wuj Francisco nie mógł mu powiedzieć w owej chwili, na czym rzeczywiście będzie polegać operacja. Jeżeli rak jest bardzo rozprzestrzeniony, będą musieli mu wyciąć pół twarzy.

— Ale usuną ci górną szczękę. I możesz stracić oko…

— Nie szkodzi — powiedział dziadek z humorem. — **Jedno oko mi wystarczy!**

Dla wuja Francisco postawa dziadka w owych chwilach ukazywała jego cudowną zdolność psychiczną do stawienia czoła nowemu rodzajowi życia. „Każdy inny upada na duchu i zaczyna się żegnać z innymi” — powiedział nam. Dziadek miał jednak głębokie pragnienie życia i dalszej pracy dla Pana.

Na koniec postanowiliśmy, żeby pojechał do Houston zobaczyć, jakie istnieją możliwości. Towarzyszyliśmy mu ciocia Clemencia i ja.

Było to bardzo trudne… Przybyliśmy do przychodni przyszpitalnej. Przyszedł chirurg, który operował go poprzednio. Dziadek pozdrowił go bardzo uprzejmie:

— Panie doktorze, pamięta mnie pan? To pan…

— Dobra, proszę otworzyć usta — uciął lekarz sucho, nawet nie odpowiadając, i wyjął mu sztuczne zęby.

— Panie doktorze — powiedziała ciocia Clemencia — myśleliśmy o naświetlaniach…

— Żadnego naświetlania — uciął brutalnie lekarz. — Trzeba

operować. Dam skierowanie na analizy.

Odwrócił się, zamknął drzwi i poszedł bez pożegnania. Myślałem, że wróci, ale ciocia Clemen powiedziała: „Idź za nim!” i pobiegłem za lekarzem szpitalnymi korytarzami. Było południe i szykował się do obiadu.

— Panie doktorze — powiedziałem. — Chciałbym chwilę z panem porozmawiać. Mój ojciec ma 92 lata. Jeżeli dojdzie do odmóżdżenia albo popadnie w śpiączkę, albo wystąpią komplikacje… co wtedy będzie?

Odpowiedział mi zimno:

— W takim przypadku muszą państwo podpisać dokument zgadzający się na podłączenie go do maszyny. Żegnam.

I poszedł.

Poczułem ucisk w gardle. Wróciłem do pokoju. Dziadek nie wierzył, że lekarz nie wróci. Sądził, że musiał wyjść w jakiejś pilnej sprawie… Przedstawiliśmy mu problem. Wróciliśmy do hotelu. Ciocia Clemen była bardzo poruszona, ja również. Bóg dał mi siły, żeby powiedzieć dziadkowi:

— Tato, ja nie mogę ci powiedzieć, co masz zrobić. Coś ci jednak zasugeruję. Chodźmy do kaplicy ośrodka Opus Dei dzisiaj po południu. Wiem, że Bóg jest wszędzie, ale będziesz się tam dobrze czuł. Idź i tam i porozmawiaj z Bogiem…

Patrzył na mnie z pogodą, zadowolony, że przedstawiłem mu sytuację w ten sposób. Zjedliśmy razem obiad. Potem zaprowadziliśmy go do ośrodka i zostawiliśmy go samego w kaplicy,

żeby podjął tę decyzję tak, jak zwykł był robić zawsze, razem z Panem.

Kiedy powrócił do Gwatemali, był w bardzo złym stanie z fizycznego punktu widzenia, ale miał jak zwykle dobry humor. Jeżeli ktoś zadawał mu pytania, opowiadał z prostotą, co mu się przydarzyło. Zrobiono mu biopsję. Nowotwór okazał się złośliwy, a w jego wieku nie może się już poddać operacji, dlatego że jest to zbyt wielkie ryzyko…

Kończył z uśmiechem.

W lipcu i sierpniu 1991 roku jego stan się pogarszał. Zawieźliśmy go do szpitala Bella Aurora, gdzie lekarze zastosowali naświetlania jako rozwiązanie ekstremalne. Te naświetlania wpłynęły na mózg i spowodowały u niego wielkie osłabienie. Stracił rytm snu i poczucie czasu.

Na koniec udało się sprawić, żeby regularnie spał w nocy, ale przez większą część dnia był pogrążony w letargu. Jedynym sposobem ożywienia go troszeczkę była propozycja odmówienia Różańca.

Widząc, że znajduje się w takiej sytuacji, przyjął i umiłował wolę Bożą, nie użalając się nad sobą. I od tej chwili jego jedyną troską było przyjmowanie Pana w Komunii Świętej, modlitwa i przybliżanie nas do Boga.

W szpitalu bardzo dobrze rozumiał się z Benjamínem Antonio, trzydziestoletnim sanitariuszem o wielkiej zawodowej wartości. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, jak dobrze ze sobą współpracują, zaproponowaliśmy Benjamínowi, żeby zajął się nim w domu. Ta praca oznaczała dla niego poważny wysiłek, jednak w końcu, przez

wzgląd na miłość do dziadka, wyraził zgodę.

W ten sposób rozwiązaliśmy wielki problem, który się przed nami pojawił, dlatego że tygodniami zajmowaliśmy się nim na zmianę (i to nie tylko mama i ja, ale wiele osób z rodziny i różne osoby z Opus Dei) i nie dawaliśmy rady. Mama musiała zajmować się Wami — byliście bardzo mali — i pracami domowymi, a ja musiałem chodzić do pracy. Nie mogliśmy dać rady ze wszystkim, a dziadkiem nie mogła ciągle zajmować się inna osoba. Potrzebował fachowca jak Benjamín, który zajmowałby się nim dzień i noc.

Benjamín robił to bardzo dobrze. Był zachwycony, ponieważ, kiedy się nim zajmował, nie było między nimi ani jednego nieporozumienia. Dziadek wyrażał tylko troszeczkę zastrzeżeń, kiedy Benjamín miał go golić, dlatego

że za pierwszym razem, jako że maszynka nie była nowa, musiał go trochę skaleczyć. Dziadek nic nie powiedział, ale zawsze pytał go przed rozpoczęciem:

— Maszynka do golenia jest dobra?

— Tak, panie doktorze — mówił mu Benjamín, który wiedział, dlaczego dziadek go o to pyta. — Wziąłem jedną z tych nowych i jest zupełnie nowa, nowiutka…

Na początku Benjamín wyprowadzał go na spacer do centrum handlowego Géminis Diez, żeby trochę się rozerwał. Dziadek, chcąc podziękować Benjamínowi za opiekę, próbował pomagać mu w tym, w czym mógł, na miarę swoich sił, które były już bardzo niewielkie.

Czasami, z powodu choroby, kiedy Benjamín zakładał biały fartuch, żeby się nim zająć, dziadek mylił go z jednym z przyjaciół albo myślał, że to

któryś z jego dawnych studentów z Wydziału i zaczynał udzielać mu rad.

— Uczyłeś się?

— Niewiele, panie doktorze — mówił Benjamín dla podtrzymania konwersacji.

— Dobrze, posłuchaj. Jako że nie chcę ci zaszkodzić, nie przeprowadzę z tobą egzaminu. Chcę, żebyś się nauczył, żebyś studiował. Napiszę ci tutaj punkty, które powinieneś powtórzyć i za tydzień cię przeegzaminuję.

I próbował drżącą ręką napisać pytania.

Na początku Benjamín woził go na fotelu na kółkach do parafii. Proboszcz był zachwycony, widząc, że człowiek w tym stanie tak bardzo pragnie uczestniczyć we Mszy Świętej, i żeby mu to ułatwić, powiedział, żebyśmy umieszczali go

w zakrystii, blisko ołtarza. I chociaż nie miał nawet sił, żeby otworzyć usta, przyjmował Komunię Świętą z pobożnością! Z miłością!

Aż pewnego dnia nie mógł już więcej pójść do kościoła. Było mi ogromnie przykro, dlatego że tak bardzo pragnął przyjmować Pana!

Jego stan się pogarszał. Wreszcie niemal ciągle spał, chociaż mógł odzyskać świadomość o każdej porze dnia czy nocy.

Wielokrotnie mówił Benjamínowi:

— Czy jesteś gotów?

— Gotów na co, panie doktorze?

— A na cóż by? To pora Mszy Świętej!

— Bardzo dobrze, panie doktorze — mówił Benjamín, który pomagał mu usiąść w fotelu na kółkach.

Z największej głębi duszy pragnął przyjmować Komunię Świętą. Benjamín woził dziadka po korytarzu, aż tracił świadomość, ze wzrokiem utkwionym w dali. Wówczas ponownie zawoził go do pokoju i kładł na łóżku. Po kilku godzinach ponownie wołał:

— **Msza! Msza!**

Choroba sprawiła, że jego dusza była, żeby to jakoś powiedzieć, jakby obnażona, na widoku wszystkich. Nie mógł już zapobiec temu, żebyśmy dowiadywali się o uczynkach miłości, których dokonywał w ukryciu.

— **Chodź, chodź…** — mówił cicho do Benjamína. — **Czy dałem ci już czek?**

— Jaki czek, panie doktorze?

— **Czek, o którym ci mówiłem. Pójdziesz ode mnie i zaniesiesz go…**

I szeptał imię osoby potrzebującej. Iluż takim osobom pomógł w ten sposób przez całe swoje życie, w milczeniu, tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział! Nawet w owych chwilach nie przestał troszczyć się o innych.

Wkrótce potem, w innej chwili jasności umysłu, mówił:

— Benjamín. Zaniosłeś czek? Pamiętaj, że go potrzebują…

Chciał być nieustannie zjednoczony z Panem i odmawiać Różaniec, ale umysł mu nie pozwalał… Mówił: **Pierwsza tajemnica** i odmawiał jedno *Zdrowaś Maryjo*, następnie: **Piąta tajemnica** i odmawiał trzy razy *Zdrowaś Maryjo*, a następnie: **Druga tajemnica**, i dwa razy…

Przez wiele następnych tygodni udzielano mu wielokrotnie Namaszczenia Chorych.

16 października, w przeddzień swojej śmierci, otrzymał list od Mons. Álvaro del Portillo, Prałata Opus Dei. Przyniósł mu go późnym popołudniem ksiądz Antonio. Dziadek nie mógł już mówić, ale natychmiast go poznał i wyraził mu swoje uczucia rękami i spojrzeniem, podczas gdy ksiądz Antonio odczytywał mu list wyraźnym głosem, bezpośrednio do uszu:

Wzruszyło mnie stwierdzenie Twojej nadprzyrodzonej wizji wobec choroby, na którą cierpisz.

Dalej zanurzaj się w ojcowskie ramiona Boga, przekonany, że Pan zawsze daje każdemu z nas to, co najlepsze, chociaż niekiedy zrozumienie tego może kosztować.

Opieram się szczególnie na Tobie, mój Synu, żeby rozwijać pracę Dzieła na całym świecie: ofiaruj wciąż Twoje cierpienia w moich intencjach.

Bóg zapłać!

Kiedy ksiądz Antonio zakończył czytanie, widziałem w oczach dziadka radość i spokój, jakie wywołał w nim ten list.

Owej nocy z 16 na 17 października nie chciał się kłaść. Usiadł w swoim fotelu przy wielkim oknie, obok obrazu Najświętszej Maryi Panny, i w taki sposób, czynnie, jak przez całe życie, spędził całą noc, aż o siódmej piętnaście rano 17 października, w miesiącu Różańca Świętego, któremu był tak oddany, odszedł od nas, wydając lekkie westchnienie.

Tego samego popołudnia owego 17 października pochowaliśmy go u boku babci Clemencii po Mszy Świętej w obecności ciała dziadka, w kościele Najświętszej Maryi Panny Królowej Pokoju.

Prosił nas, żeby uroczystości żałobne i pogrzeb były bardzo proste. Tak zrobiliśmy, z całą naszą miłością.

W owych chwilach odczuwałem wielki ból, a równocześnie niewytłumaczalną radość. Miałem głębokie przekonanie, że już cieszy się Bogiem.

Umarł Święty — mówili nam ludzie. Wzruszałem się, słuchając tego, ponieważ byłem — i jestem — w pełni przekonany o tej rzeczywistości: dziadek był Świętym.

Prałat Álvaro napisał wkrótce potem do księdza Antonio:

„Nie przestaję wznosić modłów za wieczny spoczynek jego duszy, chociaż jestem przekonany, że ich nie potrzebuje.

Jak tak wiele dzieci naszego Ojca, które go poprzedziły, mógłby powiedzieć: «cursum consummavi,

fidem servavi…»[*] *i Pan przyjął go w swojej Chwale, starannie oczyszczonego chorobą, na którą cierpiał, wynagradzając miłość, poświęcenie i oddanie, z jakimi odpowiedział na swoje powołanie.*

Jego wstawiennictwu powierzam moje intencje".

Muszę kończyć. W tych ostatnich miesiącach w procesie dziadka zeznawało wielu świadków jego życia: krewnych, kolegów, przyjaciół, pacjentów…

Wiem, że tysiące osób odmawiają modlitwę z obrazka do odmawiania prywatnego w wielu miejscach na świecie: w całej Ameryce Środkowej, we Francji, w Hiszpanii, w wielu krajach Afryki…

Ja sam, poddając się z całego serca temu, co mówi Kościół, powierzam się jego wstawiennictwu i modlę się o jego kanonizację. I nie porusza mnie

tylko miłość synowska. Jestem przekonany, że chrześcijański przykład jego życia dokonał ogromnego dobra w Gwatemali i w całym Kościele i napełni radością i nadzieją tysiące dusz.

Bóg udzielił nam tego wspaniałego daru i nie wiem, jak Mu za to dziękować. Dlatego właśnie napisałem te listy: żeby podziękować Bogu i żebyście nigdy nie zapomnieli postaci swojego dziadka. Jakże miłował Boga, Kościół i tych, którzy go otaczali. Miłował z całej duszy.

Oby Bóg zechciał, żebyśmy z łaski Boga i za Jego wstawiennictwem postępowali zawsze tak, jak powinny postępować dzieci, wnuki, potomkowie świętego człowieka. Oby Bóg zechciał również, żebyśmy pewnego dnia cieszyli się wszyscy Boską pełnią razem z nim.

Czy pamiętacie te wersy?

Szczęśliwy jesteś, mój panie doktorze.

Kiedy zniknąłeś za zakrętem drogi,

z wiarą, z prostotą przekroczyłeś progi

nieba, by ujrzeć tam oblicze Boże.

Szczęśliwy jesteś, bo miłości morze

czystej twej duszy dało spokój błogi;

ona jak kwiecie, nie wie, co cierń srogi,

jest purpurowa jak królewskie łoże.

Dzisiaj, doktorze, drogą, kiedy świta,

w miejsce, gdzie Matki łono nieskalane,

duch twój jak pielgrzym na koniec zawita.

Roztoczą róże wonie niesłychane,

a ty cnót bukiet, co pięknie rozkwita,

niemal w sekrecie położysz przed Panem.

Z wielką miłością

Tata

Postscriptum mamy

5 kwietnia 2001 r.

Najdrożsi Jorge, Paola i Diego!

Tata prosi mnie, żebym opowiedziała Wam coś o dziadku jako postscriptum do napisanych do Was przez niego listów i nie wiem, od czego zacząć, dlatego że… mam tak wiele wspomnień! Dzisiaj rano, podczas zamknięcia procesu, w sali tronowej Pałacu Arcybiskupiego, kiedy odczytywano dokumenty,

przypomniałam sobie dzień, w którym go poznałam.

Miało to miejsce w tym samym domu. Byłam trochę zdenerwowana, jak każda kobieta, która ma poznać swojego przyszłego teścia… Zupełnie nie spodziewałam się tego wszystkiego! Postrzegamy świętość jako coś odległego, a następnie okazuje się, że jest ona tutaj, pośród nas…

Wydał mi się starszym człowiekiem, dlatego że nim był. Sympatyczny, wykształcony, przystojny — w młodości musiał być bardzo przystojny — wciąż o dobrej prezencji mimo wieku, w białej marynarce i dobrze zawiązanym krawacie, o ciepłym i wyrazistym głosie i bardzo żywych zielonych oczach; pogodny mężczyzna o wielkiej wewnętrznej elegancji…

Był *człowiekiem znającym świat* i miał w sobie *coś* bardzo

szczególnego… Zrozumcie mnie dobrze, był człowiekiem *znającym świat*, ale nie *należącym do świata*, dlatego że był sympatyczny, ale nie lekkomyślny, był zabawny, ale w żaden sposób nie powierzchowny. To odzwierciedlało się nawet w jego sposobie ubierania się: poprawnym, bez luksusów, niekiedy klasycznym, innym razem sportowym, w zależności od okoliczności…

Następnie, w miarę upływu czasu, odkrywałam nowe cechy jego osobowości. Na przykład, niezliczone drobiazgi wynikające z miłości. W tych ostatnich miesiącach, rozmawiając z ciocią Clemen, wspominałam wiele z nich… Zwracało moją uwagę, że kiedy jechał do Meksyku, zabierał ze sobą igłę i szpulkę nici, żeby przyszywać sobie guziki i nie sprawiać kłopotów swojej córce.

To właśnie nazywam… *drobiazgiem*.

Elegancja, do której odnosiłam się powyżej, nie była kwestią strojów, tylko czegoś głębszego. Była owocem jego miłości w stosunku do innych (**nie ma nic gorszego** — mówił z wdziękiem — **niż źle ubrany starzec**), a także owocem jego wrodzonego dobrego smaku i jego doskonałej wytworności w rozmowie. Nigdy nie słyszałam, żeby powiedział jakieś przekleństwo. Nigdy! Umiał milczeć, umiał ustępować, umiał się uśmiechać…

Inny drobiazg, ważniejszy niż się wydaje. Był niezwykle punktualny. To jest miłość w stosunku do innych, przede wszystkim u kogoś *ważnego* jak on. Takie postępowanie oznacza, że komuś nie jest wszystko jedno, czy inni muszą na niego czekać i nie stawia się ponad innymi. Jest to również dowód pokory.

Co roku udawał się na pierwsze rekolekcje, jakie organizowano.

Mówił pół żartem, pół serio: **w moim wieku lepiej udać się na pierwsze rekolekcje, bo może być tak, że drugich nie doczekam**. Wydaje mi się, że widzę, jak wychodzi przez ogród, szczęśliwy i zadowolony, z walizką w ręku, szarej kurtce i spodniach w kratkę…

Poznałam go, kiedy był wyraźnie starszy i miał już nieco pochylone plecy. Starał się jednak trzymać prosto. Nie z próżności, tylko dla umartwienia. **Mocno się pochylam** — mówił — **ale staram się poprawiać.**

Nie był jedną z tych naukowych znakomitości, które umieją rozprawiać tylko o swojej dziedzinie. Był człowiekiem wykształconym i rozmowa z nim o sztuce, architekturze, malarstwie (przede wszystkim francuskim) była przyjemnością. Uwielbiał zapraszać przyjaciół do domu na obiad, dlatego

że uważał, że zabieranie ich do restauracji byłoby niegrzeczne.

Tutaj dawał z siebie wszystko, żeby ich dobrze przyjąć i żeby zaoferować im to, co najlepszego umiał zrobić w kuchni: kurczaka w sosie pomarańczowym, musakę, zgodnie z przepisem, który dał mu przyjaciel, pan Samuel… Chociaż teraz, kiedy o tym myślę, nie wiem, czy nie dlatego nie lubił jeść w restauracjach, że był bardzo skromny czy też dlatego że był wielkim domatorem, albo z obu tych powodów naraz.

Kiedy jadł poza domem, na przykład, na jakimś weselu, umiał docenić to, co mu podawano, dlatego że pytałam go później o jadłospis i opowiadał mi, co było na pierwsze danie, co na drugie danie, co na deser… a na koniec mówił mi z czułością:

— Jednak ja jestem pewien, kochaniutka, że ty zrobiłabyś to o wiele lepiej.

Inny *drobiazg*. Kiedy przygotowywał specjalny obiad dla swoich gości, sam jadł bardzo niewiele. Tłumaczył się, mówiąc, że próbował już dań w kuchni, ale myślę, że nie o to chodziło. Było to poświęcenie, które ofiarowywał Panu.

Był w Stanach Zjednoczonych, w Europie, we Francji i dało się zauważyć jego głęboką znajomość miejsc i zwyczajów. Umiał rozpoznać różne marki wina. Niemniej jednak, pił wino bardzo rzadko. Nigdy zaś nie widziałam, żeby pił mocniejsze trunki jak gin, whisky albo podobne.

Nie grymasił. Nigdy nie powiedział: „Guiselo, chcę, żebyś jutro przygotowała mi to i to”. Nie miał manii ani jeśli chodzi o jedzenie, ani o żadne inne sprawy. Kiedy siadał do stołu, jadł wszystko i wszystko mu smakowało i wszystko wydawało mu się dobre, chociaż wiedziałam, że nie

lubi wątróbki, a uwielbia lody. Aha, i słodycze!

Dlatego w Wielkim Poście nie jadł słodyczy. Jednak żeby zdać sobie z tego wszystkiego sprawę, trzeba bardzo zwracać na to uwagę, dlatego że zachowywał się bardzo naturalnie. Aha, zauważcie, że nie palił. Przestał to robić w młodości.

Pamiętam tak wiele spraw! Był taki ludzki… W jego sercu matka zajmowała bardzo szczególne miejsce. Mówił nam o niej wiele w ostatnich latach swojego życia. Wspominał, że była **siwa, drobniutka, w najwyższym stopniu oddana Bogu i że bardzo kochała Maryję Dziewicę.**

Miał słabość do swoich wnuków. Kiedy umierał, miał ich dwadzieścioro jeden. Wydaje mi się, że widzę Was troje u jego boku, rozciągniętych na dywanie i bawiących się kolekcją dinozaurów.

Niekiedy pokazywał Wam ilustracje z Don Kiszota. Innym razem tłumaczył Wam Biblię albo mówił francuskie słówka… Kiedy tylko mógł, woził Jorge samochodem jako pilota i mówił wymyślonym językiem, pamiętacie? A kiedy widzieliście jakieś dziecko na ulicy, zatrzymywał się, żeby je zapytać:

— Dopo kąpą dąpą ipi dziepe szepe?

W 1996 roku przygotował broszurkę z radosnymi tajemnicami Różańca i muzyką bożonarodzeniową. Jakże się cieszył, kiedy gromadził swoje najmłodsze wnuki przed Wigilią i opowiadał im historię o Dzieciątku Jezus!

Mnie kochał zawsze jak córkę. Z jakąż mądrością, z jakże subtelną inteligencją opowiadał mi o religii przed moim chrztem! Z jakąż delikatnością udzielał mi rad przed moim zamążpójściem!

Miał dar rady. Wypowiadał odpowiednie słowo w odpowiedniej chwili i udzielał trafnej rady, jeśli chodzi o każdy problem: dotyczący rodziny, dzieci, małżeństwa. **Posłuchaj, jeśli musisz to zrobić, zrób to w ten sposób…** Nigdy się nie bał. I był bardzo szczery.

Dlatego to ja szukałam go przed wyjściem za mąż za tatę, dlatego że był jedynym człowiekiem, który odważał się mówić jasno, nazywając rzeczy po imieniu i umiejąc dostrzegać dobrą stronę innych osób.

W jednym ze swoich listów pisał o Maríi Raskin de Piñol — kobiecie, którą bardzo cenił, ponieważ pomagała mu w wielu charytatywnych dziełach: **Zwykle mówię to Mary Piñol, kiedy usiłuje zamknąć drzwiczki samochodu, co rzadko jej się udaje: To dlatego, że pani, moja Mary, jest stworzona do otwierania drzwi a nie do ich**

zamykania. Taki jest obraz pani serca.

Czy widzicie, jak pięknie mówił? I oczywiście, nigdy nie słyszałam, żeby kogoś obmawiał albo źle mówił o kimkolwiek, chociaż ledwie kogoś zobaczył, znał go do głębi. Natychmiast. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy rozmawiałam z pewną moją przyjaciółką, a dziadek powiedział do niej:

— Posłuchaj, masz takie oczy, jakbyś była przy nadziei.

Była zaskoczona. I rzeczywiście była w tym stanie… Sama o tym nie wiedziała!

Nie przejmował się również ludzkimi względami ani nie myślał: *po co będę komuś o tym mówić*… Z delikatnością podchodził do mojej przyjaciółki i mówił: **Twój syn oddycha otwartymi ustami**. A do drugiej: **Posłuchaj, twój syn źle chodzi.**

Byłoby dobrze, żeby obejrzał go jakiś ortopeda.

Kiedy ktoś z rodziny przeżywał radość lub ból, spotykał się z nim, dlatego że był „patriarchą rodziny”, jak mawiała ciotka Clarita. I starał się przybliżać nas wszystkich do Pana. Dzięki niemu jestem katoliczką i coraz bardziej przekonuję się o tym, co mówi ciotka Uca: „kiedy jest ktoś, kto poświęca się Bogu w rodzinie, ostatecznie prowadzi całą rodzinę do zbawienia”. Oby Bóg zechciał, żeby tak było.

Cóż więcej mogę Wam powiedzieć? Miał wielkie nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny Różańcowej z Quetzaltenango, przed którą tak często modliła się babcia Clemencia. Ty zapewne już nie pamiętasz, Paola, dlatego że miałaś wtedy dwa albo trzy lata, ale przez wiele dni brał Cię za rękę i prowadził do krzaków róż w ogrodzie, ścinał

najpiękniejsze róże, jakie widział, a potem w domu podnosił Cię na rękach, żebyś złożyła je u stóp Maryi Dziewicy.

Tysiące osób w Gwatemali wspominają go z tak wielką miłością i wdzięcznością… Przyzwyczaiłam się do tego, że kiedy szliśmy ulicą, podchodziła jakaś pani: „Panie doktorze, pan uleczył moje dziecko” albo przychodził jakiś mężczyzna, żeby mu podziękować, albo Indianka, żeby powiedzieć: „pan uratował mi życie, kiedy byłam małą dziewczynką”.

On słuchał ich z miłością, dziękował Bogu i uśmiechał się.

Zawsze był uśmiechnięty.

Mam wyryty w duszy ten uśmiech.

Mama

[1] Hiszp. *mar Cantábrico*. Tak Hiszpanie nazywają południową część Zatoki Biskajskiej (przyp. red.).

[2] Dosł. Zimna Ziemia. Określenie zachodniej Gwatemali (przyp. tłum.).

[3] Hiszp. *Casa de los Leones* (przyp. tłum.).

[4] Antigua (Antigua Guatemala, La Antigua) – miasto w środkowej Gwatemali, kilkanaście kilometrów na zachód od stolicy państwa (przyp. tłum.).

[5] To, co „pozostało z blasku" tego miasta, powstało później niż w 1541 roku, a zostało zniszczone w wyniku trzęsień ziemi w 1773 roku. W nocy z 10 na 11 września 1541 r. zagładzie uległo zaś miasto Santiago de Los Caballeros de Guatemala (ówczesna stolica hiszpańskiej kolonii Gwatemala, obejmującej prawie całą Amerykę Środkową). Przyczyną katastrofy był wybuch wulkanu,

który spowodował zejście na miasto lawiny błotnej. Nie odbudowano go. W pobliżu (ok. 8 km od dawnego Santiago) powstało nowe miasto o tej samej nazwie, również będące (przez ponad 200 lat) stolicą kolonii Gwatemala. Po 1773 roku nowe Santiago, w znacznej mierze zrujnowane, przestało pełnić rolę stolicy. Jej funkcje przejęła Nowa Gwatemala (hiszp. Nueva Guatemala), zbudowana od podstaw na wschód od Santiago. Jest ona (od pewnego czasu bez przymiotnika „Nowa” w nazwie) stolicą do dziś. Byłą stolicę zaczęto nazywać Antigua Guatemala, czyli Stara Gwatemala (przyp. red.).

[6] Wysoki funkcjonariusz w koloniach hiszpańskich (przyp. tłum.).

[7] Jeden z regionów w Gwatemali (przyp. tłum.).

[8] Quetzal – waluta gwatemalska (przyp. tłum.).

[9] Kiedy kreśliłem te linijki, nie wyobrażałem sobie, że tak szybko spełni się wielowiekowy sen gwatemalskiego ludu o uznaniu za świętego kogoś z Gwatemali. Brat Piotr, beatyfikowany w 1980 roku, został kanonizowany w lipcu 2002 roku.

[10] Plastron – szeroki krawat, zakrywający gors (przyp. tłum.).

[11] Chodzi o słynny w Gwatemali budynek zwany po hiszpańsku *Portal del Comercio* (przyp. tłum.).

[12] Lando – rodzajczterokołowego pojazdukonnegoz siedzeniamidlapasażerówumieszczonymi naprzeciwsiebie (przyp. red.).

[13]*Kwiat kawy*, walc Germána Alcántary (1863–1910),

gwatemalskiego kompozytora (przyp. tłum.).

[14] Juan José Ortega y Carrascal (1856–1934), gwatemalski lekarz i polityk, dyrektor szpitala, dziekan uniwersyteckiego wydziału medycyny, deputowany i ambasador (przyp. tłum.).

[15] José Cándido Piñol y Batres (1878–1970), biskup od 1913 r. (przyp. tłum.).

[16] Rodolfo Robles (1878–1939) – gwatemalski lekarz, naukowiec i polityk, odkrywca ślepoty rzecznej (przyp. tłum.).

[17] Miasto nad Atlantykiem, największy port morski Gwatemali (przyp. tłum.).

[18] *Piękna Gwatemala* – mazurek skomponowany przez Germána Alcántarę (przyp. tłum.).

[19] Bazylika Najświętszego Serca Jezusowego na wzgórzu Męczenników (Montmartre), wybudowana w XIX wieku (przyp. tłum.).

[20] Dawny końcowy dworzec kolejowy linii Paryż – Orlean, funkcjonujący w latach 1900–1986 (przyp. tłum.).

[21] W „Paryżu owych lat” (1920–1922) takie spotkanie nie było możliwe. W okresie 1914–1922 Chagall przebywał w Rosji i na Białorusi, Modigliani zaś umarł w styczniu 1920 r. na gruźlicę (przyp. red.).

[22] Skrót nazwy *Certificat d’études physiques, chimiques et naturelles* – certyfikatu funkcjonującego we Francji w latach 1893–1960 (przyp. tłum.).

[23] W powstałej w 1921 r. federacji zachowano stanowisko prezydenta w

każdym z trzech państw członkowskich (przyp. red.).

[24] Nazwy te to w języku hiszpańskim „woda” i „ogień” (przyp. tłum.).

[25] Dziennik popołudniowy wydawany w Gwatemali w latach 1922–1985 (przyp. tłum.).

[26] Miguel Ángel Asturias przetłumaczył z francuskiego nazwę rue du Dragon (przyp. tłum.).

[27] Termin medyczny. Oznacza zanik, niedowład, osłabienie tkanek organizmu. Autor użył tu przenośni, wykorzystując ten wyraz do określenia stanu zaangażowania religijnego swego ojca we wczesnym okresie jego życia (przyp. red.).

[28] Franc. „wielki świat” (przyp. tłum.).

[29] Franc. ogłada; umiejętność zachowania się w każdej sytuacji (przyp. red.).

[30] Rodzaj chłopów pańszczyźnianych (przyp. tłum.).

[31] W krajach hiszpańskojęzycznych 28 grudnia jest dniem, w którym robi się komuś żarty, podobnie jak w Polsce na prima aprilis, czyli 1 kwietnia (przyp. tłum.).

[32] San Juan Chamelco – miasto w środkowej Gwatemali, w departamencie Alta Verapaz, liczące około 21 tys. mieszkańców; San Luis las Carretas – wioska w departamencie Sacatepéquez. Tutaj prawdopodobnie nazwy te zostały użyte jako symbole niewielkich miejscowości gwatemalskiej prowincji (przyp. tłum.).

[33] Miasto w departamencie Gwatemala (przyp. tłum.).

[34] Gwatemalski dziennik założony 19 czerwca 1920 r. przez Clemente Marroquína Rojasa (przyp. tłum.).

[35] Okres w historii Gwatemali od października 1944 r. do czerwca 1954 r. (przyp. red.).

[36] Żył w latach 1925–2008 (przyp. tłum.).

[37] Żył w latach 1922–2007 (przyp. tłum.).

[38] Autor błędnie uznał rok 2000 za pierwszy rok nowego, XXI wieku. W rzeczywistości nowe stulecie rozpoczęło się 1 stycznia 2001 roku (przyp. red.).

[39] Zdrobnienie imienia Ernesto (przyp. tłum.).

[40] Zawartą w książce *Przyjaciele Boga* (przyp. tłum.).

[41] Po polsku koniczyna. Nazwa jednego z sektorów, na które dzieli się miasto Gwatemala (przyp. tłum.).

[42] Chodzi o trzęsienie ziemi w Gwatemali z 4 lutego 1976 r., o sile 7,5 stopnia, odczuwalne również w Belize, Salwadorze, Hondurasie i Meksyku, które spowodowało śmierć ponad 20 tysięcy osób i zrównało z ziemią jedną trzecią stolicy kraju (przyp. tłum.).

[43] Tytuł po polsku: *Honor życia: świadectwo* (przyp. red.).

[44] Tytuł po polsku: *Przybycie na świat: ukryte życie od zapłodnienia do narodzin* (przyp. red.).

[45] Św. Josemaría Escrivá, *To Chrystus przechodzi*¸ 45.

[46] W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: *casados: casa dos* (przyp. tłum.).

[*] 15 września w Gwatemali obchodzony jest Dzień Niepodległości — święto narodowe (przyp. tłum.).

[*] Franc. ‘Paryż — moje serce’ (przyp. tłum.).

[*] Łac. *Bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem* (2 Tm 4, 7) (przyp. tłum.).

pdf | dokument generowany automatycznie z https://opusdei.org/pl-pl/article/ernesto-cofino-szkic-biograficzny-czlowieka-z-opus/ (30-01-2026)